Zabójcze hulajnogi • PISF: życie na bogato • Rozmowy o odchodzeniu
Dzieci księży • Francuska gorączka • Sława Przybylska: jeszcze śpiewam

POLITYKA

POLITYKA.PL

LIDER SPRZEDAŻY

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 44 (3588), 28.10–3.11.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

ILUSTRACJA MAGDALENA MAMAJEK-MICH

TRUMP DZIEŃ SĄDU

3 listopada Amerykanie zdecydują o przyszłości politycznej prezydenta

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 44

Wydanie w sprzedaży do 3.11.2026

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Lenovo



Przywództwo jest już tutaj.

Wspieraj innowacje od wewnątrz dzięki **Lenovo Copilot+PC**

Dowiedz się więcej

Copilot+PC

Niektóre funkcje komputerów Copilot+PC wymagają bezpłatnych aktualizacji.
Zobacz: aka.ms/copilotpluspcs.

eprasa.pl 9f2fdbac8e

POLITYKA

w numerze 44 28.10–3.11.2026



© SHUTTERSTOCK

14
Kamikadze na hulajnodze

Tematy tygodnia

10 Tomasz Zalewski **Donald Trump: dzień wielkiej próby**
14 Natalia Sawka **Hulajnogi: piekielnie szybkie, śmiertelnie niebezpieczne**

Polityka

18 Michał Danielewski **Ile ważą wyborcze głosy**
21 Anna Dąbrowska, Violetta Krasnowska **PISF: życie na bogato**

Rozmowy o odchodzeniu

24 **Anja Franczak** o dobrej śmierci i godnym umieraniu
28 Dr **Tomasz Mazur** o tym, jak dobrze żyć bez gwarancji szczęśliwego zakończenia

Społeczeństwo

32 Filip Zagończyk **Dzieci księży**
35 Martyna Bunda **Polska Fundacja Narodowa próbuje odzyskać imię**

Rynek

40 Joanna Solska **Zablokowane zboże**
43 Paweł Walewski **Śmigłowce dla LPR: dlaczego wciąż nie udało się ich kupić**
46 Cezary Kowanda **Jak się mieszka w TBS – i ile to kosztuje**

Świat

52 Marek Ostrowski FRANCJA **Kto podpala młodych**
56 Paweł Reszka UKRAINA **Wołyń: między dziś a wczoraj**
59 Paulina Wilk INDIE **Kuchenne rewolucje**

Nauka/projektpulsar.pl

62 Rozmowa z dr **Tatianą Witkowską** o tym, czym się ostatnio straszy ludzi w sieci
65 Agnieszka Krzemińska **Przemoc sprzed wieków: jak ją poznać, jak ją badać**

Historia

68 Prof. **Krzysztof Pomian** o Październiku '56 i o tym, co z niego zostało
71 Andrzej Krajewski **Dzieje bombardowań**

Kultura

78 Rozmowa ze **Sławą Przybylską** o 95. urodzinach i 70-leciu na scenie
82 Michał R. Wiśniewski **Żałoba w internecie**
85 **Joe Hill** o tym, jak się tworzy opowieści grozy

Sport

88 Marcin Piątek **Siatkarski przepis na sukces**

Ludzie i style

96 Wojciech Bońkowski **Mistrzostwa sommelierów**
97 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **74** Afisz
- **91** Koziołek
- **92** Orliński
- **93** Agata Passent
- **94** Mizerski
- **94**, **98** Galeria POLITYKI
- **95** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

© OKŁADKA: BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS, GETTY IMAGES (2)

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Gry Braunem

Mariusz Janicki

W ostatnich dniach mocno przyspieszył proces uzdatniania Grzegorza Brauna do roli koalicjanta w ewentualnym przyszłym rządzie prawicy. W tej akcji jest mnóstwo nieszczerości i niedomówień, ale bez 40–45 posłów Korony Polskiej, a tyle dają jej teraz wyborcze sondaże, prawicowe puzzle władzy nie dają się ułożyć, a jeszcze jest tzw. pakt senacki. Zupełnie więc nie dziwią sugestie prezydenta Nawrockiego, że Braun przynależy do normalnej polityki i trzeba go brać pod uwagę na tych samych zasadach jak innych. Już w kampanii wyborczej w zeszłym roku było jasne, że Braun to istotna część politycznych zasobów Nawrockiego, a w 2027 r. prezydent będzie mógł przedstawić swojego premiera z gotowym poparciem Korony w wianie, inni mogą go nie mieć. Dlatego Nawrocki mężnie zniósł określenie „szmaciarze", jak nazwał Braun ludzi z jego kancelarii.

Widać też lawirowanie polityków z obozu Jarosława Kaczyńskiego, który sam wielokrotnie odżegnywał się od Brauna, także z powodu, jak sugerował, sprzeciwu administracji amerykańskiej, widzącej w szefie Korony antysemitę. Ostatnio jednak Adam Bielan powiedział, że „Nigdy żaden Amerykanin nic mi nie powiedział na temat Brauna i nie będą nam dyktować, jak będzie wyglądała kolejna koalicja rządowa". Niewykluczone, że ta nagła odwaga europosła wynika z politycznych kłopotów Trumpa przed wyborami połówkowymi (o tym więcej s. 10). Zaraz potem Bielan poddał jednak Brauna rutynowej krytyce za prorosyjskość i wyraził nadzieję, że wyborcy go w końcu opuszczą.

Jak to często u Bielana i innych spin macherów PiS, części jednej wypowiedzi są adresowane do różnych odbiorców. Ta pierwsza skierowana jest do bazowego elektoratu PiS i przetłumaczona na język praktyczny brzmi: nie martwcie się, w razie konieczności zrobimy koalicję z Braunem, nie demobilizujcie się, idziemy po władzę i Amerykanie nam w tym nie przeszkodzą. Druga część ma zwodzić mniej zaawansowanych wyborców: Braun trzyma z Putinem, głosujcie na nas, abyśmy go nie musieli brać do władzy. Stwierdzenia, że Ameryka nie ma nic do gadania w sprawie Brauna, nie napotkały żadnej negatywnej reakcji Kaczyńskiego, przeciwnie – prezes zapewnił, że jego relacje z Bielanem są kwitnące; zresztą samo hasło PiS „każdy, byle nie Tusk" zawiera w sobie Brauna. Na prawicy z reguły nie ma przypadków, są tylko znaki. Dlatego ta podwójna gra PiS wyraźnie zaniepokoiła Mateusza Morawieckiego, który lansuje hasło, że jego Rozwój Plus zabezpiecza Polskę zarówno przed Tuskiem, jak i Braunem.

Strona rządowa natomiast w kontekście wyborów straszy głównie Grzegorzem Braunem i skleja go z Nawrockim – taki tam jest plan. Ten plan jest dla PiS wygodny, bo automatycznie przesuwa drużynę Kaczyńskiego w kierunku centrum „dla niezdecydowanych". Powstaje bowiem alternatywa: niedopuszczalny w ogóle Braun lub bardziej dopuszczalny PiS, choć to właśnie ta partia ma projekt wielkiej zemsty i zabetonowania nieliberalnego systemu, co Kaczyński wielokrotnie powtarza. Także Przemysław Czarnek obiecuje, że „posprząta Polskę", w tym polską szkołę. Kaczyński chowa się za „czarnym ludem" Braunem, chętnie nim straszy, ale po cichu ma plan dogadania się z nim lub jego neutralizacji. Jest przekonany, że na jesieni 2027 r. i tak to on będzie rozdawał karty.

Dlatego plan KO i reszty rządzącej koalicji na przyszłoroczną kampanię, polegający przede wszystkim na biciu w Nawrockiego i przestrzeganiu przed prorosyjskim Braunem, może się okazać niewystarczający. To nie Nawrocki będzie startował w 2027 r. w wyborach i mimo wszystko to nie Braun jest głównym zagrożeniem dla demokratycznego porządku, tylko wciąż „stary dobry PiS". Ustawianie przez Tuska celowników na Nawrockiego z jednej, a na Brauna z drugiej strony może dawać partii Kaczyńskiego, także Rozwojowi Plus, przestrzeń na budowanie „umiarkowanej", „eksperckiej" narracji o naprawie gospodarki i finansów państwa. Bo od pewnego czasu, zwłaszcza od momentu obniżenia ratingu Polski przez Moody's, obecny jest w opowieści PiS podbijany wątek: nieudolności rządu Tuska bardziej niż jego ogólnej niemoralności. Widać to było przy okazji głosowania wotum nieufności wobec ministra Domańskiego, który nieprzypadkowo w tej strategii staje się głównym, obok Tuska, przeciwnikiem.

Obóz władzy wydaje się dostrzegać te zamiary PiS, uruchamia inne tematy poza kwestią bezpieczeństwa. Temu służy awansowanie Domańskiego, a odejście z rządu Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz może pomóc w spójniejszym przekazie gospodarczym rządu (więcej o tej dymisji s. 6). Stąd także przegłosowanie nieznacznej, jednak obniżki podatków (zamiast podwyższenia kwoty wolnej) czy ustaw aborcyjnych, choć dalekich od dawnych zapowiedzi liberalizacji (więcej s. 6).

Nieprzychylne na ogół reakcje organizacji kobiecych pokazują, że sukces jest tu umiarkowany. Działa raczej odwrotny paradoksalny mechanizm: zrobienie w końcu czegoś przypomina, jak późno to zrobiono i że to tylko erzace dawnych obietnic (a jest jeszcze wetujący Nawrocki). Podobnie, jeżeli akcja w TK będzie się zbytnio przeciągać – na „smoleńskiej" zasadzie Kaczyńskiego, że „coraz bardziej zbliżamy się do prawdy" – może to przynieść u wyborców KO więcej złości niż radości. Bo zwłaszcza w polityce działa zasada, że kto szybko daje, ten dwa razy daje. Dlatego przedwyborczy finisz KO i całej rządzącej koalicji, chcącej w ostatnim roku nadrobić stracony czas metodą „wszystko, wszędzie, naraz", będzie wymagał politycznego wyczucia, aby nie przegrzać i nie zirytować wyborców. Ta ostrożność dotyczy także straszenia Braunem.

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Albatros travel

Albatros 40 lat

3 posiłki dziennie



Tybet

w poszukiwaniu mitycznej krainy Shangri-La

Od zielonych krajobrazów Syczuanu po rozrzedzone powietrze Tybetu, leżącego na dachu świata, czyli wspaniała podróż przez jedne z najbardziej fascynujących zakątków naszej planety.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do zachodnich Chin. **Dz. 2** Chengdu – przylot i kolacja powitalna. **Dz. 3** Chengdu – zwiedzanie miasta, pandy wielkie, świątynia Wuhou i ulica Jinli Ancient Street. **Dz. 4** Chengdu – Xining. Lot do Xining, zwiedzanie miasta i wejście na pokład ekspresu Shangri-La. **Dz. 5** Przez Wyżynę Tybetańską do Lhasy – rezerwat przyrody Kekexili, najwyżej położona stacja kolejowa na świecie, przełęcz Tanggula i przyjazd do Lhasy. **Dz. 6** Lhasa – Pałac Potala, świątynia Jokhang, ulica handlowa Barkhor i Norbulingka. **Dz. 7** Lhasa – klasztory Drepung i Sera oraz buddyjski obiad. **Dz. 8** Lhasa – jezioro Yamdrok – Lhasa. Wycieczka nad jezioro i wizyta w wiosce. **Dz. 9** Lhasa – Chengdu. Lot do Chengdu, ulica Kuanzhai i herbata w Parku Ludowym. **Dz. 10** Chengdu – Leshan – Chengdu. Wielki Budda w Leshan i świątynia Lingyun. **Dz. 11** Chengdu – nowoczesne życie miasta, Dongjiao Memory i kolacja pożegnalna. **Dz. 12** Chengdu – Warszawa. Powrót do domu.

12 dni | Wyloty z Warszawy 10/06, 28/10 2027

od 15.998,-

NOWOŚĆ



NOWOŚĆ

Malta – wyspa rycerzy maltańskich

Wybierz się na Maltę – złotą wyspę Morza Śródziemnego, gdzie tysiące lat historii, piękne miasta i niezwykłe skarby kultury tworzą wyjątkową całość.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy na Maltę. Przejazd do hotelu i czas na odpoczynek. Powitalna kolacja z lokalnymi specjałami. **Dz. 2** Zwiedzanie Valletty – stolicy wpisanej na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, z katedrą św. Jana. **Dz. 3** Średniowieczna Mdina, Rabat i smaki Malty. **Dz. 4** Czas wolny. **Dz. 5** Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 10/04 2027 | od 5.498,-



NOWOŚĆ

Praga i opera Nabucco oraz koncert

Dwa wspaniałe, muzyczne przeżycia w złotym mieście.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Pragi – zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. **Dz. 2** Rejs po Wełtawie i kameralny koncert muzyczny. **Dz. 3** Spacer po kompleksie zamkowym na Hradczanach i wieczorna opera „Nabucco". **Dz. 4** Powrót do domu.

4 dni | Wylot z Warszawy 25/04 2027 | od 4.498,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL41**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Ministra z rządu, partnerom lżej



Minister funduszy i polityki regionalnej **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz** ogłosiła, że odchodzi z rządu. Zaskoczeń brak. Była to najbardziej spodziewana decyzja pod słońcem, a niewiadomą pozostawał tylko jej termin oraz rozwiązanie zagadki, czy ministra odejdzie sama, czy też zostanie zwolniona. Bezpośrednim powodem rezygnacji Pełczyńskiej było głosowanie klubu Polski 2050, który wbrew jej woli w większości opowiedział się za zniesieniem limitu kadencji dla wójtów, burmistrzów i prezydentów miast. W konsekwencji szefowa postanowiła ewakuować się nie tylko z rządowego, lecz również z partyjnego kapitańskiego mostka. Choć może słowo „ewakuacja" nie jest tu najtrafniejsze, ponieważ wedle samej Pełczyńskiej jej odejście to dowód na to, że „wartości są ważniejsze niż stołki". W innej zaś wersji nie odeszła, tylko została „skazana na wygnanie za myślozbrodnię". Mocne to słowa, idealnie wpisujące się w pasywno-agresywny styl komunikacji byłej ministry, który sympatii w obozie rządowym raczej jej nie przysparzał. Wraz z Pełczyńską-Nałęcz do dymisji podał się również jej zastępca w resorcie funduszy **Jan Szyszko**. Tutaj również nie obyło się bez odezwy o „zaniku moralnego kompasu" w koalicji 15 października.

Pełczyńska-Nałęcz była niezłą szefową resortu, a forsowana przez nią skutecznie ustawa o jawności cen deweloperskich zapisze się jako rozwiązanie choć trochę cywilizujące rynek mieszkaniowy. Bez wątpienia jest w ekipie Donalda Tuska cała gromada gorszych od niej ministrów. Co nie zmienia faktu, że w polityce poruszała się bez mapy. Do tego w irytującym stylu osoby wyrwanej z wieloletniej hibernacji, która jest szczerze zadziwiona i oburzona tym, według jakich zasad to wszystko działa. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że najlepiej czułaby się jako szefowa rządu, narzucająca priorytety i ustawiająca ludzi do pionu. Problem w tym, że aby zostać premierem, należy najpierw wygrać wybory, na co w przypadku Pełczyńskiej-Nałęcz raczej się nie zanosi.

Trudno też nie zauważyć, że po odejściu ministry wszyscy koalicjanci odetchnęli z ulgą. Na czoło partii wraca zaś już oficjalnie ojciec założyciel Szymon Hołownia. Pierwsze zadanie: obronić liczbę ministerstw dla Polski 2050. Łatwo nie będzie, ale pewnie się uda, bo wszczynanie przez partnerów wojny o jeden ministerialny fotel byłoby rok przed wyborami mocno nierozsądne. A Pełczyńska-Nałęcz? Wraz z Janem Szyszką nie mają ani pieniędzy, ani ludzi. Są jak bohaterowie „Ziemi obiecanej": ona nie ma nic i on nie ma nic. A czy to będzie akurat tyle, by rozpocząć nowy projekt polityczny, o tym się niechybnie wkrótce przekonamy.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Czerwona kartka

Dwa dni przed szóstą rocznicą wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej Sejm przyjął dwie ustawy aborcyjne. Pierwsza z nich – wspólny projekt posłów Lewicy i KO – dotyczy zniesienia kar za pomoc w aborcji, czyli np. za opłacenie lub przekazanie kobiecie w niechcianej ciąży tabletek do aborcji farmakologicznej. Nie znosi jednak kar dla lekarzy za wykonanie aborcji z przyczyn innych niż przewidziane w ustawie. Druga ustawa przywraca przesłankę dopuszczającą terminację w przypadku ciężkiej wady płodu – to powrót do sytuacji sprzed wyroku zaostrzającego prawo.

Wyniki głosowania (pierwszą ustawę poparło 217 posłów, drugą – 233) są jednak zaskoczeniem. Po przegranym w 2024 r. głosowaniu nad ustawą częściowo dekryminalizującą aborcję projekty leżały zamrożone. Rok przed wyborami presja na realizację obietnic jest jednak większa. Zwłaszcza po skandalu, w którym ujawniono wysokość zarobków członkiń prezydium komisji nadzwyczajnej – łącznie 277 tys. zł za 800 dni bierności.

Poza politykami koalicji rządzącej, którzy świętowali „kolejny sukces na drodze działania na rzecz kobiet", euforii po stronie społecznej nie było. Aktywistki Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, a także nowe pokolenie działaczek pro-choice, czyli Fundacja Widzialne, przyjęte ustawy nazywają „ochłapem". Drobną korektą, która niewiele wnosi. Zamiast uspokojenia nastrojów wydarzyło się więc coś zupełnie innego: w rocznicę wyroku z 22 października 2020 r. w ponad 20 miastach odbyły się protesty, w czasie których wręczano rządowi „czerwoną kartkę" za brak obiecywanej legalnej aborcji do 12. tygodnia. W demonstracjach uczestniczyło już kolejne pokolenie dziewczyn oraz kobiet: głównie zetki i pokolenie alfa. Pod Sejmem Zofia Marcinek, jedna z działaczek Aborcyjnego Dream Teamu, podkreślała: „Żadna ustawa nie może i nie powinna regulować dostępu do aborcji. Tak jak nie reguluje dostępu do leczenia kanałowego albo wazektomii, którą może w Polsce zrobić każdy. (…) Hasło »aborcji powinno być jak najmniej« jest puste. Aborcji powinno być tyle, ile ich potrzeba, nawet jeśli jestem już w 13. tygodniu. Nawet jeśli nie mam zaświadczenia od premiera, księdza, rabina".



Obie ustawy prawdopodobnie zawetuje prezydent Nawrocki. Chociaż jego rzecznik Rafał Leśkiewicz na razie daje małą nadzieję na inny obrót spraw, wspominając o „gotowości na rozmowę". Trudno jednak sobie wyobrazić, by prawo aborcyjne mogło ulec w tej kadencji nawet drobnej korekcie. (AGSZCZ)

© MARYSIA ZAWADA/REPORTER, KRZYSZTOF ZATYCKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Poziom wyżej



Michał Fedorowicz
Przewodniczący Europejskiego Kolektywu Analitycznego Res Futura

Skoro przemoc w szkołach nie jest już dla nas wyłącznie wiadomością z zagranicy, warto przyjrzeć się temu, jak staje się powodem do „dumy" młodych ludzi. Najczęściej dziecko po prostu gra. Może jednak trafić do grupy, która przejęła z gier system nagród i awansów. Za pochwałę przemocy dostaje tam uznanie, wyższą rangę, miejsce w drużynie. Znajome reguły, tylko gra nazywa się już „radykalizacja". Nie trzeba jej instalować.

Poziom pierwszy. Samotność. Nie każdy zaczyna w tym miejscu, ale łatwo tu trafić. Dziecko siedzi w swoim pokoju, a dorośli cieszą się, że przynajmniej nie włóczy się po mieście. Telefon świeci, drzwi są zamknięte. Spokój.

Poziom drugi. Drużyna. Na Discordzie, w Robloxie i na Telegramie można znaleźć znajomych, wspólne zajęcie i uznanie. Można też trafić do grupy, w której punkty zdobywa się za pochwałę przemocy. Ranga na serwerze niewiele mówi dorosłym. Dla dziecka może być dowodem, że wreszcie ktoś się z nim liczy. W Estonii liderem międzynarodowej siatki neonazistowskiej okazał się 13-latek o pseudonimie „Commander". W Niemczech w 2025 r. rozbito neonazistowską komórkę terrorystyczną, w której najmłodszy miał 14 lat.

Poziom trzeci. Idole. Na kanałach Terrorgramu, neonazistowskiej sieci na Telegramie, zamachowców nazywa się „świętymi" i układa rankingi według liczby ofiar. Brenton Tarrant w 2019 r. transmitował zamach w Christchurch z kamery na kasku, jak w strzelance. Napastnik z Halle dopisał do manifestu listę „osiągnięć". W Gliwicach 18-latek publikował na TikToku zdjęcia masowych morderców. W prokuraturze tłumaczył, że chciał tylko zdobyć popularność i zasięg. Tylko.

Poziom czwarty. Mapa. W Robloxie i Minecrafcie badacze znajdowali odtworzone miejsca zamachu w Christchurch. W Polsce w tygodniu, w którym doszło do ataków nożowników w Ostrołęce i pod Wyszkowem, policja zatrzymała ucznia, który w Robloxie zbudował makietę własnej szkoły, a w domu miał broń, amunicję i noże.

Tryb ochrony. Ograniczony w polskiej wersji językowej. 13-latka spod Wąbrzeźna, który miał zapowiadać w Robloxie atak na szkołę, zgłosił gracz ze Szwecji. Polska szkoła nie ma pełnowymiarowego przedmiotu z edukacji medialnej, to ledwie „moduł" dodany dopiero od września tego roku do podstawy programowej. W Wielkiej Brytanii szkoły od 2015 r. mają ustawowy obowiązek przeciwdziałania radykalizacji. W polskiej wersji do psychologa szkolnego jest kolejka, a dorośli wciąż wypatrują zagrożenia za oknem. Telefon dziecka leży obok. Platformy po każdej tragedii obiecują szybciej blokować konta. Do następnej tragedii zdążymy się uspokoić.

Kod na wygraną. Sam zakaz gier nie wystarczy. Platformy nie wymyśliły samotności, nudy i głodu uznania. Trzeba dać dziecku szansę, żeby poza ekranem też mogło do czegoś dojść i być komuś potrzebne. To trudniejsze niż odebranie telefonu. Wymaga czasu, uwagi i dorosłych, którym nie wystarcza tylko to, że za drzwiami jest cicho.

Wyrok rażąco niesprawiedliwy

Osiem lat więzienia za spowodowanie wypadku, w którym trzyosobowa rodzina spłonęła żywcem, to wyrok, który kłóci się z poczuciem sprawiedliwości. Jednocześnie najwyższy, jaki mógł zapaść w tych okolicznościach procesowych. „Jedynym winnym i odpowiedzialnym za to, co się wydarzyło, jest **Sebastian M.**" – powiedziała sędzia Renata Folkman. Wyrok zapadł w Piotrkowie Trybunalskim 21 października, nieco ponad rok od początku procesu i trzy lata od tragedii na autostradzie A1 w pobliżu tego miasta. Wieczorem 16 września 2023 r. w Kię, którą rodzina ze Śląska wracała znad morza, uderzyło tuningowane aż do osiągów sportowych BMW Sebastiana M. Tuż przed wypadkiem M. miał na liczniku od 315 do 329 km/h. Gnał tak, że inni kierowcy nie byli nawet pewni, co ich wyprzedziło, a kierujący Kią do końca nie miał świadomości, że zbliża się śmierć. Siła uderzenia dodała prędkości prawidłowo



jadącej Kii, doprowadziła do zapłonu, po czym auto uderzyło w balustradę i zamieniło się w kulę ognia. 37-letnia Martyna, jej mąż, 40-letni Patryk i pięcioletni syn Oliwier spłonęli żywcem.

„O żadnej sprawiedliwości nie ma mowy" – stwierdziła matka Martyny, a pełnomocnik rodziny mec. Łukasz Kowalski mówił, że gdyby przepisy pozwalały żądać 20 czy 30 lat pozbawienia wolności, o taką karę by wystąpił. „Osiągnęliśmy wszystko, na co pozwalało prawo" – podsumował prokurator Aleksander Duda. Nie oskarżył Sebastiana M. o zabójstwo z zamiarem ewentualnym, bo musiałby udowodnić, że kierowca przewidywał możliwość śmierci człowieka i na nią się godził, a o to – choć „na logikę" jest oczywiste – przed sądem trudno.

M. został skazany za nieumyślne spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Według art. 177 par. 2 osiem lat to najwyższy wymiar kary za to przestępstwo, maksymalny jest też zasądzony 15-letni zakaz prowadzenia (bo M. był trzeźwy), a 2,5 mln zł zadośćuczynienia dla krewnych ofiar to nieco więcej, niż żądała prokuratura. Na wcześniejszym etapie procesu kwalifikację prawną czynu mógł zmienić sąd, ale na to się nie zdecydował, obrona zaś i tak zapowiedziała apelację.

Sebastian M. przebywa w areszcie. Jeśli wyrok się uprawomocni, o warunkowe wyjście na wolność będzie mógł się ubiegać po odbyciu trzech czwartych kary, czyli po niespełna pięciu latach, bo na poczet kary sąd zaliczył mu dotychczasowy pobyt za kratkami. (ZBOR)

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Pelé postępu

Wbrew większości prognoz Luiz **Inácio Lula da Silva**, urzędujący prezydent Brazylii i legenda latynoamerykańskiej lewicy, wygrał drugą turę wyborów prezydenckich i zostanie po raz czwarty przywódcą kraju. Zdobył 51,8 proc. – tzn. 64,2 mln głosów, co jest rekordem w historii wyborów prezydenckich w tym kraju. Przewaga nad rywalem, faszyzującym senatorem Flaviem Bolsonaro, wyniosła 4,4 mln głosów, a frekwencja w drugiej turze była niewiele większa niż w pierwszej – o ok. 2 proc.

„Lula zatrzymuje reakcyjną falę", „Lewica latynoamerykańska oklaskuje »Pelégo postępu«", „Odwrócenie wyniku przez Lulę to porażka Trumpa" – oto miejscowe tytuły prasowe, od razu z komentarzami. Po raz pierwszy w wyborach w Brazylii kandydat, który przegrał pierwszą turę, wygrał drugą. Ludzie, nie oglądając się na sztaby wyborcze i speców od kampanii, wzięli sprawy w swoje ręce. Przez trzy tygodnie dzielące obie tury milionami wychodzili na ulice pod hasłami obrony demokracji i suwerenności (tej ostatniej zagraża skrajna prawica gotowa podać Trumpowi na tacy m.in. metale ziem rzadkich). Kluczową rolę odegrali młodzi – w stolicach stanów codziennie organizowali akcje i manifestacje. „Zwycięstwo zawdzięczam zbuntowanej młodzieży" – powiedział Lula w pierwszej powyborczej mowie do swoich zwolenników. Przełomowy charakter miała kampania w mediach społecznościowych. „Armia Luli", jak ją ochrzczono, kierowana przez deputowanego André Janonesa, zmobilizowała miliony użytkowników platform cyfrowych.

Bolsonaro nie uznał wygranej rywala i żąda anulowania wyborów. Powodem jest ich przedłużenie o dwie godziny. Oba sztaby wystąpiły do sądu wyborczego o wydłużenie czasu głosowania, choć z różnych powodów. Sztab Luli – ponieważ w niektórych rejonach wyborcy nie mogli dojechać do lokali wyborczych, gdyż władze lokalne nie zapewniły wystarczającej liczby autobusów. Sztab Bolsonara – z powodu gigantycznych ulew na południu kraju (tam ma najwięcej zwolenników). Decyzja o przedłużeniu głosowania nadeszła z sądu wyborczego najwyższej instancji minutę po ustawowym zamknięciu lokali. W Brazylii głosowanie jest elektroniczne i po wyłączeniu systemu nie można go zrestartować – tak się stało w części lokali. To będzie zapewne podstawą do kwestionowania wyniku. Cztery lata temu ojciec Flavia Bolsonaro, Jair, były prezydent, też przegrał z Lulą i podjął nieudaną próbę zamachu stanu. Odsiaduje w areszcie domowym wyrok 27 lat pozbawienia wolności. Jeszcze nie wiadomo, czy Flavio będzie chciał pójść w ślady ojca.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



Wyścig pokoju

Po wielomiesięcznych próbach pokonania Iranu Donald Trump znowu wcisnął gaz do dechy w wyścigu do pokoju między Rosją a Ukrainą. Tak jak kilka razy wcześniej zależy mu na szybkim zakończeniu wojny, niezależnie od warunków terytorialnych, humanitarnej ceny i geopolitycznych skutków. Przyspieszenie ma związek z odbywającymi się już za tydzień wyborami do Kongresu (s. 10), ale świadczy też o podejściu Trumpa do Rosji, **Władimira Putina** i spraw światowych. Prorosyjska retoryka, antyukraińskie gesty i zapowiedź konferencji samozwańczej „wielkiej trójki" (Stany Zjednoczone, Rosja i Chiny) dają powód, by jeszcze poważniej martwić się o cele Trumpa, który zanim odejdzie, chce jeszcze bardziej zdemolować światowy porządek w imię pokoju pod swoim patronatem.

Gdy na Kijów i inne miasta Ukrainy spada niemal codziennie grad rakiet, Trump uważa, że Putin chce pokoju, a Wołodymyr Zełenski zmarnował wiele szans na zakończenie wojny. Gdy w nalotach codziennie giną cywile, wysłany do Petersburga **Steven Witkoff** chwali Putina za humanitaryzm. To wywołało szok w Kijowie, Europie i u rozsądnej (nie tylko demokratycznej) części Kongresu, ale dowodzi, że nie ma takiej rzeczy, której Trump nie powie – a może i nie zrobi – w imię dealu. Im bardziej prezydent USA ściga się z czasem, tym wyższe koszty ponosi Ukraina – od opóźnionych dostaw uzbrojenia, przez finansowanie rosyjskiej wojny zakupami oleju napędowego na amerykański rynek, po ograniczenie dostępu do satelitarnej łączności, za którą płaci Europa, w tym Polska. O to, kto odciął militarnego Starlinka, trwa w Waszyngtonie kłótnia, ale po powszechnej krytyce w kręgach polityczno-medialnych USA łączność przywrócono. Sam Trump mógł się zorientować, że antyukraińskość już nie działa, i na ostatniej prostej postarał się o ocieplenie swojego wizerunku.

Nieoczekiwanie małżonka prezydenta Melania Trump ogłosiła, że odegrała rolę „wyłącznego pośrednika" przy ustanowieniu rozejmu obejmującego odcięte od zaopatrzenia miasto Oleszki na południowym brzegu Dniepru w obwodzie chersońskim. W jej oświadczeniu trudno znaleźć winnego sytuacji, za to mowa jest o ewakuacji chętnych do Rosji oraz o pokazaniu wszystkiego przez „niezależne media".

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

© NATACHA PISARENKO/AP/EAST NEWS, KRISTINA SOLOVYOVA/IMAGO/EAST NEWS, PIERRE CROM/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Huti i Epstein

Jemeńscy rebelianci potrafią trafić z propagandą. Szyicka organizacja Huti kontroluje dziś znaczną część Jemenu i cieśninę Bab al-Mandab łączącą Morze Czerwone z Oceanem Indyjskim. Od 2014 r. z różnym nasileniem prowadzi ona wojnę domową przeciw uznanemu międzynarodowo rządowi jemeńskiemu, wspieranemu głównie przez Arabię Saudyjską. Od września Saudyjczycy i Huti atakują się bezpośrednio – militarnie jest klincz, ale propagandowo to Huti są górą.

Gdy ostatnio Arabia Saudyjska oskarżyła Huti o próbę ataku dronowego na Mekkę, święte miasto islamu, ci odpowiedzieli skuteczniej, zarzucając Saudyjczykom bliskie relacje z Jeffreyem Epsteinem. Chodzi o amerykańskiego bankiera, Żyda (co ważne w tej historii), który w 2019 r. popełnił samobójstwo w areszcie, oczekując na proces w sprawie handlu nieletnimi wykorzystywanymi seksualnie. Otóż Huti wśród dokumentów upublicznionych przez Departament Sprawiedliwości USA znaleźli dowody na to, że Epstein dostał (kupił?) od saudyjskiej rodziny królewskiej wyszywane tkaniny okrywające wcześniej Al-Kabę, czyli najświętsze miejsce islamu – to ten niewielki, kanciasty budynek, wokół którego krążą pielgrzymi.

Saudyjczycy nawet nie próbowali tego dementować, a Huti bezlitośnie wpisali handel tkaninami w popularną w świecie arabskim teorię spiskową: Żydzi – wiadomo – rządzą światem, a Epstein na swojej wyspie stworzył coś w rodzaju „inkubatora" klasy rządzącej, do której teraz trzeba również zaliczyć Saudyjczyków.

Huti w swoim arsenale mają nie tylko pociski i drony, lecz również skuteczną propagandę. Jej aparat, zbudowany niemal od zera na wzór irański, to dziś cały system twórców pieśni, filmów, oświadczeń i wpisów na platformach społecznościowych. Huti mają kanały telewizyjne, strony internetowe, rozgłośnie radiowe, gazety. Wszystko to obudowane jest tzw. kulturowymi influencerami, którzy nieodpłatnie propagują hasła rebeliantów. Jak chociażby znany jemeński komik Mustafa Al-Moumr, niegdyś krytyk Huti – odkąd wyszedł z ich więzienia, nagrywa filmiki, na których wciela się w saudyjskiego następcę tronu (i faktycznego przywódcę) Muhammada bin Salmana. Na jednym z ostatnich Huti szturmują jego pałac i przystawiają mu broń do głowy (już ponad 400 tys. wyświetleń). ŁW



Płonąca jesień

Zwolennicy Listy Studenckiej świętują wyborcze zwycięstwo opozycji w Serbii

Wirus niezadowolenia krąży po Europie. „El País" doliczył się tu od połowy września 177 dużych protestów społecznych w 12 krajach, w cieniu francuskich manifestacji, które zyskały największy rozgłos z powodu przemocy, podpaleń i rabowanych sklepów. W ostatnią sobotę sięgnięto po nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Protestowało co najmniej 410 tys. osób, incydentów było mniej (zatrzymano tysiąc osób), co nie znaczy, że skanalizowane zostały rewolucyjne nastroje (s. 52). Podobnie we Włoszech, gdzie przed tygodniem doszło do ekscesów w Mediolanie. Sytuację pogarszał strajk transportowców i blokada autostrad. Teraz w Mediolanie (gdzie witryny sklepów profilaktycznie zabito deskami) porządku pilnowało dodatkowo 500 żołnierzy, a w całym kraju przeprowadzono operację na wzór wojskowy, z użyciem dronów i ciężkich pojazdów. Te doświadczenia się przydadzą, bo największa centrala związkowa CGIL wezwała do strajku generalnego 20 listopada.

We Francji i Włoszech zapalnikiem protestów była zapaść edukacji, galopujące koszty utrzymania i rozczarowanie niespełnionymi obietnicami. W Hiszpanii zaczęło się od czynszów i drożyzny na rynku mieszkaniowym, w tej sprawie od kilku tygodni działa miasteczko namiotowe w sercu Madrytu, fala gniewu doprowadziła do przedterminowych wyborów parlamentarnych, które odbędą się 29 listopada. Na razie w stolicy bezterminowo strajkują nauczyciele, zablokowali też autostradę. Na 11 listopada wyznaczony jest strajk generalny. Identycznie w Portugalii – trwają ustalenia, aby połączyć obie akcje. Tu także głównym tematem był kryzys mieszkaniowy, a stopniowo dochodziła „agenda francuska". W sobotę policja zlikwidowała miasteczka namiotowe w Lizbonie i Porto, co raczej nie ostudzi nastrojów.

W Atenach namioty przed parlamentem rozbili studenci (temat: czynsze i czesne), a licealiści skrzykują się w całym kraju na akcje. Symbolem greckiej edukacji stały się trzy przypadki zawalonych dachów szkół. W Tiranie tłum wychodził na ulice od końca maja, poszło o zagrażającą przyrodzie gigantyczną inwestycję nad Adriatykiem (firmowaną przez zięcia i córkę Donalda Trumpa) i o bandyckie stłumienie lokalnego protestu. Albańska „rewolucja flamingów" wobec obojętności władz radykalizowała postulaty, a najważniejszym stało się ustąpienie sprawującego czwartą kadencję socjalistycznego premiera Ediego Ramy. Przed dwoma tygodniami ruch wsparli studenci i licealiści, dołączyły też bojówki. Manifestacje objęły pięć miast i przerodziły się w rozruchy. W ferworze podpaleń ucierpiało m.in. ministerstwo edukacji, a podczas debaty nad brutalnością policji doszło w parlamencie do bijatyki. Będą przyspieszone wybory? Protestujący Serbowie doczekali się ich po blisko dwóch latach; w niedzielnym przedterminowym głosowaniu ich Lista Studencka – Studenci Zwyciężają wygrała z blokiem byłego prezydenta, prawicowego populisty Aleksandra Vučicia, zdobywając absolutną większość w parlamencie.

Młodzi Niemcy wkraczają na tę scenę jako ostatni, ale z przytupem. Manifestacje w 21 miastach, zapowiedziane na 31 października, organizuje inicjatywa „Gen Z regelt" (niem. Pokolenie Z bierze sprawy w swoje ręce). Wśród haseł pojawił się nowy wątek – przywracany w 2027 r. (na zasadach dobrowolności) pobór do wojska. WP

eprasa.pl 9f2fdbac8e

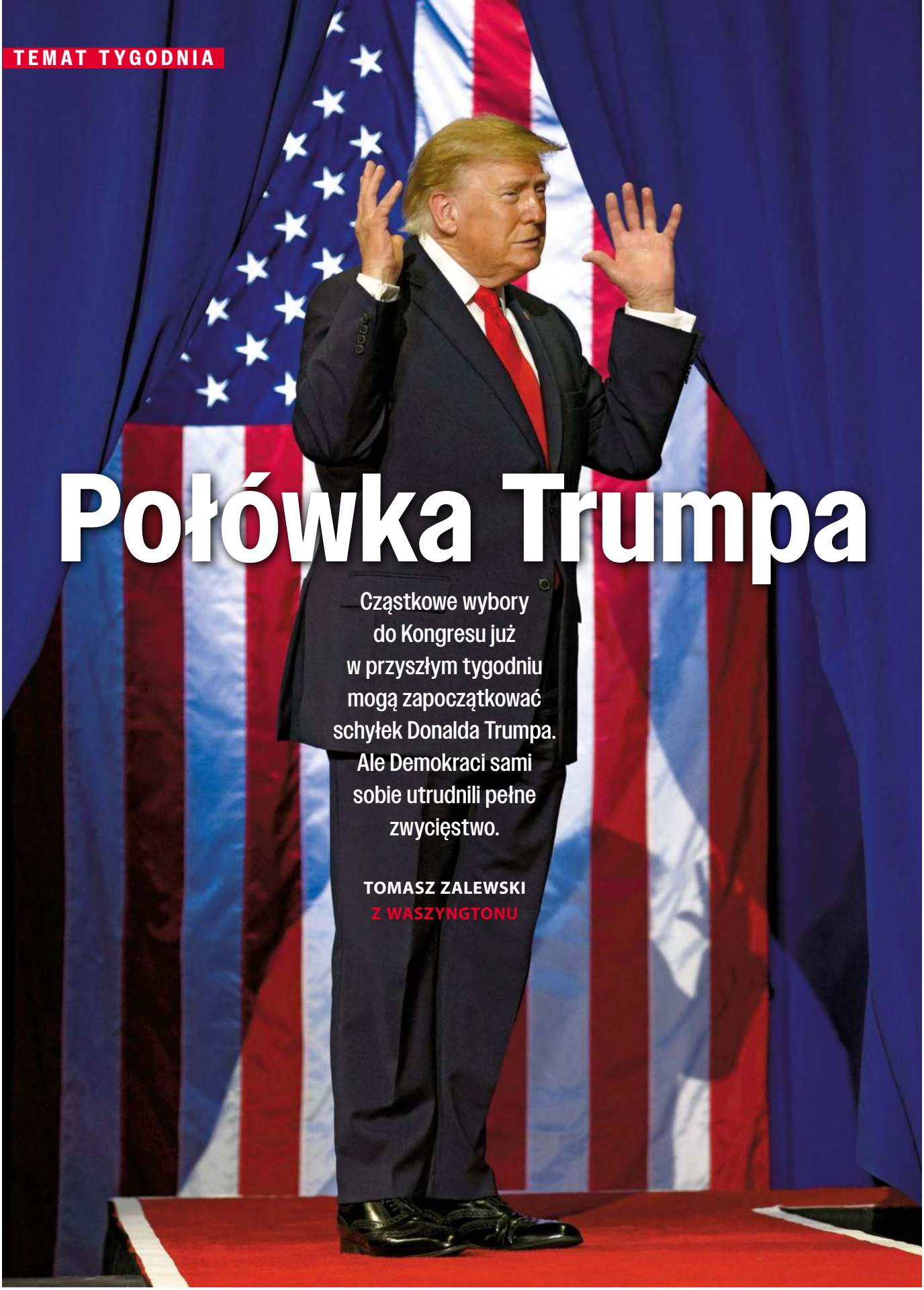

Połówka Trumpa

Cząstkowe wybory do Kongresu już w przyszłym tygodniu mogą zapoczątkować schyłek Donalda Trumpa. Ale Demokraci sami sobie utrudnili pełne zwycięstwo.

TOMASZ ZALEWSKI
Z WASZYNGTONU

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Kiedy J.D. Vance przybył do Tyler w Teksasie, jeden z witających go na lotnisku lokalnych notabli wzniósł okrzyk na jego cześć. „Ja też pana kocham – odpowiedział wiceprezydent – ale tylko platonicznie. Nie jestem Jamesem Talarico". Słuchacze nagrodzili dowcip śmiechem i oklaskami.

Talarico to kandydat Partii Demokratycznej na senatora w połówkowych wyborach do Kongresu, które odbędą się już 3 listopada. Republikanie sugerują, że jest gejem, ale nie tylko. Vance przypomniał też, że Talarico popiera osoby LGBT i dzieci transseksualne. „Nie chcielibyśmy wiedzieć, czego Talarico szuka, szperając w internecie" – dodał.

Teksas od 1988 r. nie wybrał do Senatu Demokraty – to twierdza Republikanów. Tymczasem 37-letni Talarico, były nauczyciel i prezbiteriański seminarzysta, dwa tygodnie przed wyborami prowadzi w sondażach przed stanowym prokuratorem generalnym Kenem Paxtonem. Jego republikański przeciwnik słynie z korupcji i ze skandali obyczajowych, ale wygrał partyjne przedbiegi dzięki poparciu Donalda Trumpa.

Talarico sprzyja panujący w USA klimat niezadowolenia z polityki Trumpa i wspierających go Republikanów. A wybory do Kongresu w połowie kadencji urzędującego prezydenta (ang. Midterms) są zwykle plebiscytem na temat jego rządów. Dwa tygodnie przed Midterms tak niskiego poparcia jak Trump (ok. 30–32 proc.) nie miał dotąd żaden amerykański prezydent, w wyborach tych zapowiada się więc katastrofa dla jego partii. Republikanie mogą stracić większość w Kongresie – niemal na pewno w Izbie Reprezentantów i niewykluczone, że też w Senacie.

Jeżeli tak się stanie, w dwóch pozostałych latach kadencji czekają Trumpa ciężkie czasy. Demokraci będą starali się paraliżować jego władzę lub nawet odebrać mu ją w drodze impeachmentu. A w Partii Republikańskiej może dojść do rozłamu i rewolty przeciw falandze MAGA.

Jako partia większości Demokraci zorganizują z pewnością przesłuchania członków kierownictwa administracji Trumpa w komisjach Kongresu, oskarżając ich o rozmaite nadużycia albo korupcję. Jeżeli zdobędą liczbową przewagę także w Senacie, będą blokować nominacje Trumpa na kluczowe stanowiska w rządzie i sądach federalnych. Gdyby udało im się uzyskać większość dwóch trzecich mandatów w Senacie, mogliby usunąć prezydenta z urzędu. Przejęcia tak znacznej większości nie uważa się za realne, ale gdyby dołączyło do nich kilkoro zbuntowanych Republikanów, nawet mniej wyraźna większość demokratyczna wystarczyłaby do pozbawienia Trumpa władzy. A usunięty z Białego Domu prezydent może stanąć przed sądem.

Miękiszony i lewaki

Nadzieja Demokratów w Teksasie, młody i charyzmatyczny Talarico, jest kandydatem atrakcyjnym. Pomaga mu rozczarowanie Trumpem licznych miejscowych Latynosów, którzy poparli prezydenta dwa lata temu. Republikanom pozostało atakować Talarico personalnie. Według nich on nie pasuje do Teksasu. W krainie kowbojów, amatorów rodeo i hodowców bydła nie ma miejsca dla polityków o wątpliwej męskości. Chłopięca uroda demokratycznego kandydata ułatwia zadanie Paxtonowi i jego stronnikom. Przeciw Talarico wyciągnięto nawet fakt, że jest wegetarianinem. Czyż Teksańczyk może nie jeść wołowiny?

Przedstawianie kandydatów Demokratów jako miękiszonów albo lewaków to rutynowa metoda Republikanów w czasach, gdy ich prezydent nie poprawia sytuacji materialnej Amerykanów. Zamiast mówić o gospodarce i drożyźnie, debatę kieruje się na tematy kulturowo-społeczne: prawa gejów i transseksualistów, przestępczość i imigrację. Republikanie odwołują się do lęków wyborców – przed obyczajową rewolucją, kryminalistami i odbieraniem im pracy przez imigrantów.

Działało to dwa lata temu, kiedy inflacja i chaos na otwartych przez Bidena granicach ułatwiły Trumpowi powrót do Białego Domu. Dziś już nie działa. Jak wskazują badania opinii, LGBT i imigracja to dla wyborców sprawy drugorzędne. Na czele plasuje się – obok drożyzny i wad ochrony zdrowia – korupcja Trumpa, bez skrupułów nadużywającego władzy dla bogacenia siebie i swojej rodziny. Aprobata dla jego osoby i polityki spadła do poziomu nienotowanego od 20 lat, czyli od czasu spadku poparcia dla George'a W. Busha wskutek wojny w Iraku i zaniedbań podczas huraganu Katrina.



James Talarico, młody i charyzmatyczny kandydat Demokratów z Teksasu

Stąd ponure dla partii Trumpa prognozy wyborów połówkowych. Z sondaży wynika, że Izba Reprezentantów, gdzie Republikanie mają na razie nieznaczną większość (218–214), niemal na pewno przejdzie w ręce Demokratów. Szanse na to polityczni bukmacherzy oceniają na 85–90 proc. Kierownictwo Republikanów pogodziło się już z tym, kierując gros funduszy na finansowanie kampanii do Senatu. To okopy Świętej Trójcy Republikanów – posiadają tam większość 53 do 47, ale też mogą ją stracić.

Jeszcze w ubiegłym roku uważano to za nieprawdopodobne, ale polityka Trumpa, z inwazją Iranu na czele, sprawiła, że w kilku stanach od dawna „czerwonych", czyli zdominowanych przez Republikanów, na Południu i środkowym Zachodzie, mandaty senatorskie mogą zdobyć Demokraci. – *O ile w wyborach połówkowych partia prezydenta traci zwykle średnio troje senatorów, o tyle tym razem straci prawdopodobnie sześcioro* – mówi Allan Lichtman z American University, który trafnie przewidział wyniki wszystkich wyborów prezydenckich od 1984 r. (z wyjątkiem ostatnich, w 2024 r.).

Sataniści i farmerzy

Teksas nie jest jedynym stanem, na który liczą Demokraci. W Kansas, skąd ostatni demokratyczny senator wybrany został 94 lata temu, nadzieją partii jest Adam Hamilton, pastor Zjednoczonego Kościoła Metodystycznego. Do niedawna ▶

© ALEX WONG/GETTY IMAGES, SANDRA DAHDAH/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 9f2fdbac8e





Od lewej: **mocni kandydaci Demokratów – pastor mega-Kościoła Zjednoczonych Metodystów Adam Hamilton z Kansas. Paraolimpijczyk Josh Turek z Iowa.**

▶ Republikanin, zmienił partyjne barwy oburzony okrucieństwem polowań na nielegalnych imigrantów przez agentów ICE i odbieraniem biednym świadczeń socjalnych.

Jego wybór jest odbiciem ogólniejszego trendu – ucieczki z republikańskiego obozu wielu pobożnych Amerykanów, w tym części religijnych fundamentalistów (*evangelicals*), którzy zrozumieli, że zachowanie i polityka prezydenta przeczą wartościom chrześcijańskim.

Hamilton idzie w sondażach łeb w łeb z ubiegającym się o reelekcję republikańskim senatorem Rogerem Marshallem. Poparcie jego Kościoła dla miejscowej parady równości naraziło go na atak Vance'a, który oskarżył kandydata, że promuje „satanizm" gejów i demoralizację dzieci. Miało to zneutralizować prozaiczne powody popularności Hamiltona. Sprzyja mu przede wszystkim niezadowolenie mieszkańców Kansas z podwojenia cen oleju napędowego, dotkliwie odczuwanego przez farmerów w tym stanie. A sfrustrowani są także szefowie zakładów mięsnych Cargill i National Beef, których pracownicy, przeważnie imigranci, z obawy przed aresztowaniami przestali przychodzić do pracy.

Rosnące ceny paliw pomagają demokratycznym kandydatom wszędzie, ale najbardziej w tradycyjnie republikańskich, rolniczych i rzadziej zaludnionych stanach. Jak w Iowa, gdzie kandydatka Republikanów Ashley Hinson z trudem odpiera ofensywę Demokraty, paraolimpijczyka Josha Turka. Na Alasce urzędujący senator republikański Dan Sullivan walczy z działaczką miejscowych tubylczych plemion Mary Peltolą.

Zależni od niezależnych

W Ohio, stanie kiedyś swingującym, ale od dekady krainie trumpistycznej prawicy (pochodzi stamtąd Vance), szanse na powrót do Senatu ma zasiadający tam poprzednio Demokrata Sherrod Brown. To rzecznik świata pracy rozczarowanego niespełnionymi przez Trumpa obietnicami odrodzenia tradycyjnego przemysłu. W Georgii, konserwatywnym stanie Pasa Biblijnego, za faworyta uchodzi ubiegający się o reelekcję demokratyczny senator Jon Ossoff. We wszystkich tych stanach w 2024 r. Trump wygrał zdecydowanie, zwykle z dwucyfrową procentową przewagą nad Kamalą Harris.

Niemal wszyscy wspomniani Demokraci walczący o mandat senatora prowadzą w sondażach ze swymi republikańskimi przeciwnikami, ale jest to przewaga minimalna. A w paru innych stanach, gdzie wynik wyścigu do Senatu wydawał się sprawą otwartą, Republikanie się cieszą, bo Partia Demokratyczna nie wystawiła tam umiarkowanych polityków, centrystów, którzy mieliby ogromne szanse na zwycięstwo, tylko kontrowersyjnych kandydatów ze swej lewicy.

Kandydatką na Florydzie została Angie Nixon, członkini Demokratycznych Socjalistów Ameryki (DSA), organizacji wciąż uważanej w USA za ekstremalną. W Michigan Abdul El-Sayed, muzułmanin egipskiego pochodzenia, rywalizujący z byłym republikańskim kongresmenem Mikiem Rogersem, nadal budzi nieufność. El-Sayed nie rozproszył podejrzeń o swoje koneksje z Bractwem Muzułmańskim – zaprzeczał, jakoby sympatyzował z tym ugrupowaniem, po czym zarzucał pytającym islamofobię. A po jego oświadczeniu, że „Izrael nie jest przyjacielem Ameryki", część demokratycznych działaczy w Michigan zapowiedziała, że nie będzie na niego głosować.

Jeżeli El-Sayed przegra, prognozowane przejęcie Kongresu przez Demokratów może się okazać fatamorganą. Sondaże czasem się mylą i według niektórych ekspertów nie doszacowują poparcia dla Republikanów. Spadek popularności Trumpa nie zawsze przekłada się na automatyczny spadek poparcia dla republikańskiego kandydata do Kongresu. O decyzjach wyborców w danym okręgu czy stanie decydują często lokalne okoliczności, bez związku z polityką Waszyngtonu.

Niewiadomą są preferencje wyborców niezależnych, a w tym roku deklaruje tak swoją polityczną tożsamość rekordowe 45 proc. Amerykanów. To wynik powszechnego zbrzydzenia polityką. Amerykanie mają dość obu partii, przekonani, że żadna nie chce lub nie jest w stanie poprawić ich bytu. Nie ufają także Demokratom, którzy popsuli sobie opinię konszachtami ze światem wielkich korporacji i naciskiem na kwestie kulturowe, zamiast skupić się na materialnej kondycji klasy średniej.

Właśnie dlatego zwycięstwo niezależnego kandydata może przeważyć szalę w Kongresie. Kluczowa może okazać się konserwatywna Nebraska, gdzie do Senatu kandyduje niezależny weteran marynarki wojennej Dan Osborne. To lewicowy populista maskujący swój progresywny program podejrzany dla konserwatywnych wyborców. Jeśli wygra, będzie prawdopodobnie głosował w Senacie z Demokratami. Przy remisie wyborczym triumf Osborne'a w Nebrasce może się okazać rozstrzygający.

Ja zawsze wygrywam

Republikanie są w panice. Trump, który udaje, że wszystko gra, bo „sondaże kłamią", wyruszył w tournée po kraju. W stanach swingujących wielu kandydatów nie życzy sobie jego obecności. Zatrzymuje się więc najczęściej na terenach zdominowanych przez MAGA, gdzie na wiecach pławi się w klimacie uwielbienia

eprasa.pl 9f2fdbac8e



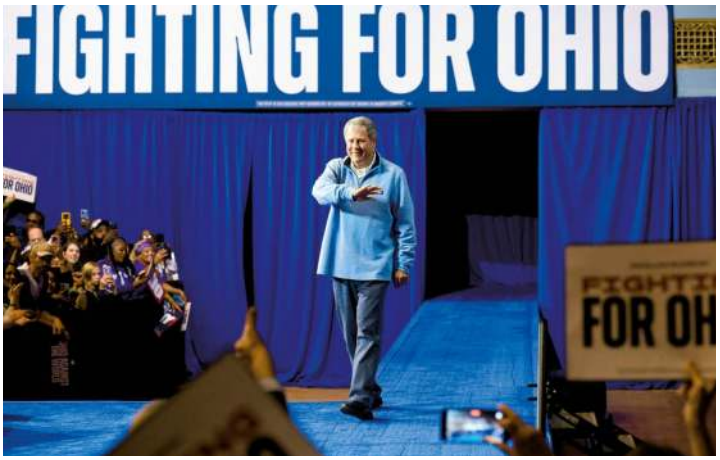

Działaczka miejscowych tubylczych plemion Mary Peltola z Alaski. Rzecznik świata pracy Sherrod Brown z Ohio.

dla swej osoby. Wygłasza tam niekończące się niezborne monologi, w których gromy na „komunistów" i „dżihadystów" mieszają się z szyderstwami o Demokratach.

Na jednym z wieców oświadczył, że jeśli Republikanie przegrają, Ameryka „zapłonie" jak ogarnięta zamieszkami Francja. W Ohio rozwodził się nad... pośladkami tamtejszego republikańskiego senatora Jona Husteda, z podziwem chwaląc ich umięśnienie – miało to dowodzić męskości senatora.

Sądząc z reakcji tłumów, Trump rozbawia swych fanów, zapewnia im rozrywkę, ale trudno ocenić, czy pomaga kandydatom. Dwa tygodnie przed wyborami przedstawił plan rekompensaty dla farmerów za wysokie koszty paliw, ale prawdopodobnie za późno. Kilka wieców zakłóciły głośne protesty, co ostatnio zdarzało się tylko podczas jego pierwszej kampanii w 2016 r. Prezydent wszędzie wzywa ich uczestników, aby głosując, „wyobrazili sobie, że ja także kandyduję w tych wyborach", co ma kandydatowi zapewnić sukces, gdyż „jak ja jestem na karcie wyborczej, oni zawsze wygrywają".

To oczywiście nieprawda, ale Trump zdaje się nieodparcie wierzyć w moc swego uroku showmana. Apel tego rodzaju ma jeden cel – skłonić apatycznych wyborców Partii Republikańskiej do głosowania. Jak zawsze, strategia jego kampanii opiera się na założeniu, że o wyniku wyborów zdecyduje nie zdolność przyciągnięcia niezdecydowanych, lecz frekwencja twardego trzonu własnego elektoratu.

Główną metodą w kampanii jest więc słowne opluwanie przeciwnika. Tegoroczna bije wszelkie rekordy, a najbardziej popisał się tu republikański kandydat na gubernatora Ohio, pochodzący z Indii biznesmen miliarder Vivek Ramaswamy. W przedwyborczym spocie, atakującym jego oponentkę Amy Acton, wykorzystał oskarżenia jej matki o rzekome kłamstwa na temat ich życia rodzinnego, chociaż sama oskarżycielka mijała się z prawdą (odebrano jej prawa rodzicielskie do córki; ojciec był oskarżony o gwałt na Amy). Żenujący spot skrytykowało nawet kilku polityków republikańskich.

W walce o Kongres coraz większą rolę odgrywają pieniądze. Demokraci początkowo zebrali ich więcej, ale zagrożonym klęską Republikanom przyszli w sukurs ich niezawodni przyjaciele miliarderzy.

Od lipca do września Elon Musk podarował 278 mln dol. grupom wspierającym kampanie republikańskich kandydatów. To więcej niż zebrało łącznie dziesięcioro tegorocznych kandydatów demokratycznych do Senatu. Od początku 2025 r. najbogatszy człowiek świata dał Republikanom łącznie 369 mln dol., stając się w ten sposób największym w historii USA indywidualnym sponsorem kandydatów w wyborach federalnych.

Trump liczył też, że Republikanie wygrają połówkowe wybory, jeśli w newralgicznych stanach zmieni się mapy okręgów wyborczych. Udało się to w minimalnym stopniu – głównie dzięki kontrofensywie Demokratów i sądom, które zablokowały takie próby w niektórych stanach. Potem wezwał do „federalizacji" wyborów, czyli przejęcia kontroli nad głosowaniem i liczeniem głosów przez swoją administrację. Z Białego Domu rozległy się pomruki o wysłaniu pod lokale wyborcze uzbrojonych agentów ICE, którzy mieliby nie wpuszczać tam nielegalnych imigrantów.

Byłaby to bezprecedensowa ingerencja rządu federalnego w wybory, które w USA są zdecentralizowane. Organizują je władze lokalne i stanowe, co ogranicza samowolę Waszyngtonu. Trump nie może tu liczyć na konserwatywny Sąd Najwyższy, gdzie nawet nominowani przez niego sędziowie w kwestiach wyborów nie są mu posłuszni.

Ograniczanie ruchów

Niewykluczone, że na 3 listopada Trump przygotowuje jakąś niespodziankę. Wskazuje na to odmowa zaproszenia na wybory międzynarodowych obserwatorów – pierwsza taka odmowa Białego Domu od 20 lat. Po prezydencie, który próbował zablokować pokojowy transfer władzy po porażce w walce o reelekcję, wiele można się spodziewać.

Panuje jednak przekonanie, że Trump nie zdecyduje się na siłową konfrontację. Co najwyżej spróbuje zakłócić procedury w drodze jakichś sabotaży czy cyberataków na wyborcze komputery. Eksperci zgadzają się natomiast, że w razie porażki Republikanów prezydent będzie na pewno rozgłaszał, że to fałszerstwo, i kwestionował wynik w sądach. – *Procesy sądowe, polityczna presja i powtarzanie zarzutów oszustwa mogą podważyć wiarę Amerykanów, że oficjalny rezultat wyborów jest prawomocny* – przewiduje politolog z Uniwersytetu Columbia Jonathan Collins.

Stawka tegorocznych Midterms jest olbrzymia. – *Trump zagraża naszej demokracji. Kongres nie może go całkiem zatrzymać. To tak jak z LeBronem Jamesem* (koszykarzem NBA – przyp. red.) *– trudno go powstrzymać na parkiecie, ale można mu ograniczyć swobodę ruchów. Można też ograniczać władzę Trumpa* – mówi Allan Lichtman. Jak zostanie ograniczona, zależy od wyniku wyborów, a ściślej od skali przewidywanej wygranej Demokratów. Przejęcie przez nich większości w obu izbach Kongresu miałoby ogromne konsekwencje dla Ameryki. A pewnie i dla świata.

TOMASZ ZALEWSKI

© KYLE RIVAS/GETTY IMAGES, SCOTT OLSON/GETTY IMAGES, NATHANIEL WILDER/BLOOMBERG/GETTY IMAGES, DUSTIN FRANZ/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Kamikadze na hulajnodze



ILUSTRACJA **MAGDALENA MAMAJEK-MICH**

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Służąca do zabawy hulajnoga w wersji elektrycznej to sprzęt stanowiący śmiertelne zagrożenie. Tylko w tym roku zginęło na hulajnogach już 20 osób, ponad 1 tys. doznało urazów. Policja i przepisy nie nadążają za *kukiriniarzami*.

NATALIA SAWKA

Bartek z zazdrością patrzył na kolegów, oglądał filmiki w necie i też marzył o hulajnodze. Po komunii miał trochę pieniędzy. Za mało na nową hulajnogę, ale w sam raz na taką z wypożyczalni. Sprawę załatwił bez wiedzy rodziców.

W wypożyczalni zostawił rower, plecak i telefon. Zapłacił i wskoczył na swoją wymarzoną hulajnogę. Serwis – zdaniem matki chłopca – nie zapytał 10-latka ani o zgodę rodziców, ani o to, czy ma choćby kartę rowerową. – *Hulajnoga nie miała założonej blokady ograniczającej prędkość pojazdu. Mogła się rozpędzić do 60 km na godzinę* – opowiada Anna Potwardowska, mama Bartka. Taka prędkość dla hulajnogi elektrycznej jest trzy razy wyższa niż dopuszczalna przez polskie prawo. To nawet więcej niż po mieście mogą jeździć samochody. A co dopiero kawałek metalu na dwóch malutkich kółkach, które blokują się na byle wyboju. Trudno się dziwić, że chłopiec nie zapanował nad taką siłą, kiedy przednie koło wpadło w wyrwę. Dzieci w takich sytuacjach działają instynktownie. Kiedy tracą równowagę, zamiast puścić kierownicę, tym bardziej kurczowo się jej trzymają. To dlatego, kiedy upadają, nie próbują nawet chronić głowy. Głowa Bartka uderzyła w krawężnik. Nie była chroniona żadnym kaskiem.

Kiedy jego mama przyjechała na miejsce, stan chłopca był krytyczny. – *Syn na przemian tracił i odzyskiwał przytomność. Uświadomiłam sobie, że moje dziecko jest jedną nogą w grobie* – mówi kobieta. Ratownicy przewieźli go z Płońska do szpitala w Ciechanowie (36 km), gdzie spędził jakieś półtorej godziny na izbie przyjęć. Okazało się, że tamtejszy szpital nie jest w stanie odpowiednio się nim zająć. Skala obrażeń była zbyt duża i skomplikowana. Przewieziono go do Warszawy.

Rodzice Bartka od początku byli przeciwni hulajnogom elektrycznym. Syn nie dostał takiego prezentu na komunię, ale – jak opowiada mama chłopca – na hulajnogach jeździli prawie wszyscy koledzy. – *Nigdy byśmy się na to nie zgodzili. Wiedzieliśmy, że to niebezpieczne. Tłumaczyliśmy Bartkowi tysiące razy, że nie wolno. Ale dzieci czasem chcą czegoś spróbować na własną rękę* – wspomina kobieta. Walka o życie chłopca trwała dwa lata. Skutki wypadku odczuwa do dziś. Lekarz uprzedził rodziców, że u chłopca w ciągu trzech lat od wypadku może się rozwinąć padaczka pourazowa.

Pani Anna opowiada to wszystko ku przestrodze. Ale – jak widać po statystykach – jedna opowieść nic nie zmienia. Co prawda rząd zajął się sprawą i wprowadził obowiązek jazdy w kaskach dla dzieci do 16. roku życia. Jednak krzywa wypadków i zgonów ciągle rośnie, bo problemem nie jest brak kasku, ale sprzęt, który nigdy nie powinien trafić w ręce dziecka.

Subkultura kukiriniarzy

Hulajnogi elektryczne sprzedają się jak ciepłe bułeczki, bo są piekielnie szybkie i zrywne jak samochód wyścigowy, no i szalenie modne. Dają też złudne poczucie bezpieczeństwa, bo są proste w obsłudze. Stajesz, dodajesz gazu i jedziesz. A tego gazu można dodać naprawdę dużo, bo większość towaru nie ma żadnej homologacji, ograniczników ani zabezpieczeń. A montowane w hulajnogach baterie są mocniejsze niż w dużo cięższych rowerach elektrycznych.

Żeby legalnie jeździć np. motorowerem, trzeba ukończyć kurs, zdać egzamin, a potem zarejestrować i ubezpieczyć pojazd. Hulajnoga formalnie nie podlega tym wszystkim obowiązkom. W prawniczym żargonie jest to UTO, czyli urządzenie transportu osobistego. Tyle że większość hulajnóg z UTO nie ma nic wspólnego. Można się na nich rozpędzić nawet do 100 km na godzinę, czyli jechać pięć razy szybciej, niż przewidują przepisy. Trudno się dziwić, że dzieci to fascynuje. Ich mózgi jeszcze nie nauczyły się, czym to grozi.

W świecie nastolatków hulajnoga to kolejne urządzenie jak smartfon – ładujesz, włączasz i śmigasz. Im szybciej, tym lepiej. Jak szybko, rodzice często nawet nie wiedzą, bo sprytni producenci tak zbudowali oprogramowanie, żeby łatwo można było zmieniać ustawienia mocy. Kiedy tata próbuje się przejechać na sprzęcie synka, okazuje się, że hulajnoga jedzie przepisowe 20 km na godzinę. Kilka kliknięć w aplikacji i znowu pędzi jak rakieta. Raz na jednym kółku, raz pomiędzy przerażonymi przechodniami. Wystarczy wpisać w internet „kukiriniarze", a filmiki same wyskakują, bo to już nie są dzieci hulające na hulajnogach, ale subkultura, która ma wszystko i wszystkich za nic.

Rządzą nimi brawura i prędkość. Najmłodsi ich podziwiają, starsi nienawidzą. Wjeżdżają w pieszych na chodnikach, po których w zasadzie nie mają prawa jeździć. Popisują się, jeżdżąc na jednym kole pomiędzy samochodami. Ścigają się z autobusami i najczęściej wygrywają. No i popisowy numer – zabawa z „psami", czyli ucieczka przed policją (czym chwalą się w sieci).

Kukiriniarze wzięli się od marki KuKirin, produkującej hulajnogi elektryczne o parametrach, których niejeden samochód mógłby im pozazdrościć. Zresztą w sieci nie brak filmików nagrywanych z wnętrz samochodów, które wyprzedzane są przez hulajnogi.

Zestaw startowy każdego szanującego się kukiriniarza to: ciemny kask full face, czarna bluza z kapturem, puszka Monster oraz (u tych starszych) owocowy vape. Na chińskich hulajnogach jeżdżą głównie chłopcy. Dziewczyny to raczej rzadkość. Swoją ryzykowną jazdą chwalą się na TikToku, gdzie publikują nagrania z jazdy. Im bardziej brawurowa, tym lepiej. Pędzą po drogach szybkiego ruchu (np. po autostradzie) i organizują miejskie rajdy. Koszmar.

Oni sami widzą to w innych barwach. Z ich perspektywy to w sumie fajnie, ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ że nie siedzą w telefonach albo nie tracą życia na gry komputerowe. To, że ludzie się ich boją, a policja zaczyna na nich polować, raczej ich cieszy, niż odstrasza. – *Robimy terror na mieście* – chwali się jeden z nastolatków z twarzą ukrytą pod kominiarką i potężnym kaskiem. Ich hymnem jest znany wśród młodzieży wiralowy utwór polskiego wykonawcy Atsaba: „Hejtujesz Kukirina, mama ci nie pozwoliła". Kukirin to znak rozpoznawczy modnego nastolatka, którego rodzice nie tylko mają kasę, ale też są na tyle wyluzowani, że pozwalają swoim dzieciom jeździć szybko i na fajnym sprzęcie. I tak hulajnoga stała się symbolem statusu i narzędziem do budowania pozycji w grupie. Tym bardziej że wypasiona swoje kosztuje. Średnio 2 tys. zł. Taka z zasięgiem 80 km, która wyciągnie 65 km na godz., to wydatek rzędu 5 tys. zł. Używane są tańsze i dosyć powszechne, ale trzeba uważać, żeby nie trafić na powypadkową.

Bez blokady

Hulajnoga ma to do siebie, że wystarczy odrobina piasku na jezdni, troszkę wyższy krawężnik czy inna przeszkoda, by stracić nad nią panowanie. O tym, że nawet mała prędkość jest niebezpieczna, przekonał się miesiąc temu Maciej Kopiński, który pracuje w serwisie samochodowym w Krakowie. Jak mówi, jechał z prędkością 25 km na godz. – *Późno w nocy wracałem z pracy. Kierownica zaklinowała się między kamieniami, a hulajnoga wpadła w poślizg. Miałem stłuczone żebra i pozdzierane łokcie, kolana, barki* – opowiada. Na szczęście jechał w kasku. Gdy uderzył głową o ziemię, przez kilkanaście minut po upadku nie wiedział, co się z nim dzieje. Uderzenie musiało być bardzo mocne, skoro na kasku jest kilka wgnieceń. – *Czasem widzę w parku takich 14-latków, którzy pędzą na złamanie karku. Jeden kiedyś wyleciał zza zakrętu prosto na mnie. Jechał chyba z 50 km na godz. W ostatniej chwili odskoczyłem i się przewróciłem. Minął mnie o centymetr. Ważę 115 kg, moja hulajnoga kolejne 30. Gdybyśmy się zderzyli, mogłoby się to skończyć tragicznie* – wspomina mężczyzna, który hulajnogi nie odstawił, ale gdy nią jeździ, to zakłada ochraniacze.

Jak sam mówi, ograniczenie prędkości w hulajnogach to fikcja. Zdjęcie takiej blokady jest naprawdę proste. – *Wszystko zależy od producenta. W części hulajnóg blokadę zdejmuje się przez wgranie nowego oprogramowania, w innych wystarczy odpowiednia kombinacja przycisków, to są hulajnogi wyposażone w tzw. magic switch* – opowiada Kopiński. Podkreśla, że takie hulajnogi można legalnie kupić w polskich sklepach i na każdym portalu aukcyjnym. Tylko choć ich sprzedaż jest legalna, to używanie już nie. Ale to przecież nie jest problem sprzedawców.

A pomysłowość jeżdżących na hulajnogach nie zna granic. W Wieluniu w województwie łódzkim policja zauważyła, że pędzący hulajnogą elektryczną nastolatek nie miał obowiązkowego kasku. Ale uwagę funkcjonariuszy bardziej



zwrócił fakt, że 15-latek przewoził ze sobą fotel biurowy. Policja przekazała sprawę do sądu rodzinnego. Nastolatki z gminy Baboszewo rozpędziły karuzelę za pomocą hulajnogi elektrycznej. Przykład zaczerpnęły z internetu. Tyle że im poszło gorzej. W trakcie zabawy 14-latka zderzyła się głową z innym dzieckiem, straciła przytomność i trafiła do szpitala. Na hulajnodze można też pojechać w góry, jeden z użytkowników pochwalił się zdjęciem swojego Kukirina ze szczytu Chełmiec, który ma 851 m n.p.m.

We Władysławowie pod Elblągiem 20 października grupa nastolatków urządzała sobie wyścigi. Jeden z 15-latków, którego hulajnoga nie miała oświetlenia, a on sam był bez odblasków, wjechał pod koła samochodu. Kierowca Opla był trzeźwy. Chłopca nie udało się odratować.

Skala wypadków jest tak duża, że jeden z nich nieumyślnie widzowie dostali *na lajwie*. 26 września w Kościerzynie przy ul. Kartuskiej reporter TVP Info Miłosz Sieliwończyk nadawał na żywo relację. Kiedy on opowiadał o śmiertelnym wypadku z przeszłości, jego kamerzysta nakręcił dramatyczną scenę potrącenia 14-latki na hulajnodze. Dziewczynka uderzyła w przednią szybę i przetoczyła się po dachu pojazdu. Sprawca wypadku, 21-latek bez prawa jazdy, uciekł. Ale po kilku minutach wrócił na miejsce zdarzenia.

Cyfry grozy

Wypadki z udziałem hulajnóg to już codzienność. Według Komendy Głównej Policji do 21 października odnotowano 1311 wypadków oraz 20 ofiar, w tym czworo dzieci. Są takie szpitale, w których 7 na 10 młodych pacjentów z wypadków to ci od hulajnóg. Skala tragedii była tak duża, że to lekarze przewalczyli zmiany, których wcześniej nie dało się wprowadzić latami. Wspomniany już obowiązek jazdy w kaskach do 16. roku życia. No i zakaz jazdy na hulajnogach do 13. roku życia. Kaski trochę pomogły. Ale zakaz jazdy jest właściwie martwy.

Eksperci z Uniwersyteckiego Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Białymstoku podkreślają, że konsekwencje upadków są znacznie poważniejsze niż uszkodzenia układu kostno-stawowego. Poza typowymi otarciami czy złamaniami pacjenci przyjeżdżają z ciężkimi urazami czaszkowo-mózgowymi. A tak się składa, że mózg jest jedynym organem, który się właściwie nie regeneruje. Ręka się zrośnie, mięsień można zrehabilitować, ale uszkodzony się nie naprawi. – *Mózg bardzo trudno się leczy. To wymaga naprawdę ogromu pracy, a skutki wypadku odczuwa nie tylko poszkodowany. Zmienia się życie jego rodziców, bliskich, przyjaciół* – opowiada neurochirurg dr n. med. Łukasz Rákász.

Czasem wypadek jest łagodniejszy. Łagodniejszy, czyli pacjenci mają pęknięcia kości czaszki, wewnątrzczaszkowe krwiaki, stłuczenia mózgu, płuc czy śledziony. Leczenie to nie jest jedna wizyta w szpitalu, często trwa wiele lat, wymaga rehabilitacji, a niektóre następstwa mogą pozostać na całe życie. Może to oznaczać trwałe deficyty poznawcze lub ruchowe

© SHUTTERSTOCK, LECH GAWUC/REPORTER

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Ponury bilans

Od marca 2026 r. po drogach publicznych hulajnogami mogą jeździć osoby, które ukończyły 13 lat. Młodsze dzieci tylko pod opieką dorosłego. Wszyscy poniżej 18 lat muszą mieć kartę rowerową lub prawo jazdy, a do 16. roku życia można jeździć tylko w kasku. Dopuszczalna prędkość to 20 km na godz. W 2025 r. było 1158 wypadków, rok wcześniej odnotowano 752 zdarzenia. Zginęło 11 osób, a 1055 zostało rannych. Niepokoi zwłaszcza wiek sprawców. Dzieci w wieku 7–14 lat spowodowały 243 wypadki, a nastolatki w wieku 15–17 lat kolejne 149. Łącznie nieletni odpowiadali wtedy za ponad 60 proc. wypadków spowodowanych przez kierujących hulajnogami elektrycznymi.



u dzieci, które będą wymagały ciągłej opieki rodziców lub osób trzecich.

Niebezpieczna jest już sama stojąca pozycja użytkowników hulajnóg, bo mają wyżej położony środek ciężkości, więc łatwiej tracą równowagę. – *Taka osoba ma głowę wysoko nad ziemią, a kiedy upada, to całe ciało z ogromną siłą uderza o ziemię. Im większa prędkość, tym groźniejsze mogą być skutki takiego upadku* – tłumaczy neurochirurg dr n. med. Łukasz Rákász. Przypomina też nagrania crash testów, czyli zderzeń samochodów. – *Te testy przeprowadzano przy 50 km na godzinę. Auta zgniatały się jak harmonijki. Podczas uderzenia na hulajnodze podobnie potężne siły działają na ludzki mózg. Tyle że w samochodzie chronią nas pasy bezpieczeństwa, poduszki powietrzne i karoseria, która pochłania część energii zderzenia. Na hulajnodze tego nie mamy* – tłumaczy lekarz. No i w samochodzie przyzwyczailiśmy się do zapinania pasów – jeśli tego nie zrobimy, auto zaczyna piszczeć i przypomina o niebezpieczeństwie. Na hulajnodze takich ostrzeżeń nie ma.

Lekarze apelują też, by pamiętać o dobrym zapięciu kasku, bo samo to, że dziecko ma go na głowie, nie oznacza, że tę głowę ochroni.

Dane Komendy Głównej Policji pokazują, że wypadków z udziałem hulajnóg elektrycznych gwałtownie przybywa. Od stycznia do września 2026 r. było ich o 23,2 proc. więcej niż w analogicznym okresie 2025 r. Rannych zostało 1099 osób. Dzieci i młodzież w wieku 7–18 lat uczestniczyły w 739 wypadkach, czyli blisko 60 proc. wszystkich zdarzeń. W tej grupie zginęły cztery osoby.

Hamownie i kary

Same dzieci i ich rodzice z problemem sobie nie poradzą. Na rosnącą liczbę wypadków chce odpowiedzieć resort infrastruktury, który przygotowuje pakiet nowych regulacji dotyczący użytkowania hulajnóg elektrycznych. Jednym z rozwiązań ma być szersze wykorzystanie tzw. hamowni, czyli urządzeń pozwalających sprawdzić, jaką prędkość może osiągnąć hulajnoga i czy usunięto z niej fabryczne ograniczenia. W sytuacji stwierdzenia modyfikacji konstrukcyjnych bądź usunięcia fabrycznych blokad policja będzie mogła taki pojazd zatrzymać.

Resort chce się też przyjrzeć sprzedaży hulajnóg, które już mogą się rozpędzać do dozwolonego limitu. Większe uprawnienia kontrolne ma dostać Transportowy Dozór Techniczny, a sprzedawcom sprzętu, w którym łatwo zmienić ustawienia napędu, mają grozić kary.

Pani Anna, mama Bartka, wspomina akcję, gdy podczas programu „Uwaga” telewizji TVN na bulwarach wiślanych do miejskich hulajnóg przymocowano papierowe klepsydry, upamiętniające dzieci, które straciły życie w tragicznych wypadkach na tych pojazdach. – *Po prostu serce pęka i ja się zastanawiam wtedy, gdzie są nasi rządzący* – mówi. I dodaje, że zupełnie nie rozumie rodziców, którzy decydują się na zakup szybkich hulajnóg dla swoich dzieci.

– *Lepiej te pieniądze przeznaczyć na cokolwiek, niż później oglądać własne dziecko w kostnicy czy siedzieć godzinami przy szpitalnym łóżku, trzymać je za rękę i modlić się o to, żeby dziecko przeżyło.* Piesi też coraz częściej modlą się, żeby przeżyć kontakt z kukiriniarzami.

NATALIA SAWKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Głos w wyborach w Warszawie liczy się dziś ponad dwa razy mniej niż w Elblągu. I tak będzie nadal, bo zmiany zatrzymał prezydent Nawrocki. Ale czy w ogóle są możliwe?

Ograbieni z

MICHAŁ DANIELEWSKI



Liczenie głosów w gdańskiej komisji wyborczej, 2023 r.

W jednym trzeba się z prezydentem Karolem Nawrockim zgodzić: prawo wyborcze i uczciwość wybrów nie mogą być przedmiotem partyjnego eksperymentu tylko po to, by zwiększyć swoje szanse wyborcze. Powyższe zdanie to część uzasadnienia do weta Nawrockiego wobec zmian w kodeksie wyborczym, które prezydent w swoim stylu podsumował gromką i zdecydowaną puentą: „Kuglowania wyborami nie będzie!". Szkopuł w tym, że z „kuglowaniem wyborami" mamy do czynienia już dziś. Więcej – owo kuglowanie jest zaszyte w polskim systemie wyborczym i sprawia, że od lat w różnych okręgach głos wyborcy ma różny wpływ na wynik wyborów.

Na tym nie koniec. Można argumentować, że obowiązujący system jest zaprojektowany tak, by premiować ugrupowania polityczne opierające swoją siłę na wyborcach z mniejszych ośrodków, natomiast karać partie z bastionami wyborczymi w wielkich miastach. Skrajnym przykładem jest zestawienie Elbląga z Warszawą – w wyborach z 2023 r. realna siła głosu w tych dwóch okręgach różniła się ponaddwukrotnie. W Elblągu na jeden mandat poselski przypadało nieco ponad 37 tys. głosów, w Warszawie – prawie 86 tys. Głos oddany w stolicy ważył więc ponad dwa razy mniej.

Wyborczy skansen

Ta rażąca dysproporcja wynika z trzech przyczyn. Po pierwsze, z dosypywania do puli okręgu warszawskiego głosów oddanych za granicą. Po drugie, z zachowawczej metody wyliczania mandatów na podstawie liczby mieszkańców szacowanej według Centralnego Rejestru Wyborców, a nie np. danych GUS ze spisu powszechnego, lub określania liczby mandatów na podstawie realnej liczby głosów oddawanych w danym okręgu. Po trzecie zaś, nawet te konserwatywne wyliczenia nie były aktualizowane od... 15 lat.

Od 2011 r. zdążyliśmy się jako społeczeństwo skokowo wzbogacić, udało nam się wybudować imponującą sieć autostrad, przenosimy się masowo z mniejszych ośrodków do wielkich aglomeracji, a polska „kartografia wyborcza" została zakonserwowana w świecie sprzed półtorej dekady.

– *W polskim systemie liczba mandatów w okręgu zależy od liczby mieszkańców, skoro więc przyjęliśmy taką normę, wypadałoby ją realizować. Dzisiaj w dużym stopniu tak się nie dzieje, ponieważ od czasu uchwalenia tych wartości w kodeksie wyborczym liczba ludności w poszczególnych miastach, miasteczkach, wsiach czy powiatach, a co za tym idzie, również w okręgach po prostu się zmieniła* – tłumaczy dr Maciej Onasz, politolog z Zespołu Badań Wyborczych Uniwersytetu Łódzkiego.

Co dodatkowo absurdalne, aby ten obowiązujący muzealny stan rzeczy choć odrobinę przystosować do rzeczywistości, zawsze potrzebna jest decyzja Sejmu o zmianie ustawy. Państwowa Komisja Wyborcza od lat cyklicznie apelowała o to do posłów i za każdym razem była spektakularnie ignorowana. A gdy zmian systemowych w tym roku wreszcie udało się dokonać, zawetował je prezydent Nawrocki. I tak wróciliśmy do punktu wyjścia. W wyborczym skansenie będziemy funkcjonować przez jeszcze co najmniej kilka następnych lat. A niewykluczone, że po prostu już zawsze.

Zapaszek insynuacji

Zawetowane zmiany w kodeksie wyborczym zakładały, że podziałem mandatów między okręgi wreszcie nie będzie się zajmował Sejm, tylko PKW, która co roku do 30 listopada w formie obwieszczenia ogłaszałaby liczbę posłów przypadającą na dany okręg. Samo wyliczanie tej liczby, czyli ustalanie tzw. normy

eprasa.pl 9f2fdbac8e

siły głosu



© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

przedstawicielskiej, odbywałoby się jednak na takich samych zasadach jak dotychczas. Nowelizacja w tym zakresie była więc tak naprawdę kosmetyczna, po prostu eliminowała z systemu dysfunkcjonalną konieczność zdobywania politycznej większości dla przeprowadzenia prostego działania matematycznego. Zresztą to rozwiązanie również spotkało się z krytyką prezydenta Nawrockiego, który argumentował, że urzędnicy nie powinni się zajmować wyborczą algebrą, zostawiając tę kompetencję politykom.

Inna sprawa, że obóz rządowy ułatwił Nawrockiemu decyzję o wecie, z niewiadomych przyczyn zwlekając aż trzy lata z przeprowadzeniem zmian i próbując wprowadzić je zaledwie rok przed kolejnymi wyborami. Po wtóre, wydaje się, że niepotrzebne było mieszanie w jednym akcie prawnym zmian dotyczących mandatów w okręgach z nowym trybem powoływania komisarzy wyborczych oraz rozszerzeniem katalogu osób uprawnionych do zasiadania w okręgowych komisjach wyborczych. W logice ostrego sporu politycznego tak szeroki pakiet dostarczony tak późno na biurko prezydenta był dla Karola Nawrockiego jak piłka wystawiona do pustej bramki. Nic dziwnego zatem, że z tej okazji skorzystał i ogłosił weto.

Jednocześnie nie zmienia to faktu, że unoszący się w argumentach Nawrockiego zapaszek insynuacji, jakoby większość sejmowa próbowała przez proponowane poprawki wpłynąć na wynik przyszłorocznych wyborów, nie wytrzymuje zderzenia z rzeczywistością. Jasne, zmiany w przyporządkowaniu mandatów wyglądają na masywne, bo dotyczą aż 23 okręgów. Do tego powierzchowny ogląd może wskazywać na polityczny wektor proponowanych korekt. Po jednym mandacie zyskałyby przecież m.in. okręg nr 19 obejmujący Warszawę i okręg nr 25 (Gdańsk), dwa mandaty więcej byłyby do wzięcia w okręgu nr 3 (Wrocław), aż trzy mandaty więcej w „obwarzanku warszawskim", czyli okręgu nr 20. Wszędzie tam w 2023 r. wygrywała KO. Po mandacie straciłyby natomiast np. okręgi lubelski (nr 6), chełmiński (nr 7), kielecki (nr 33), gdzie silny jest PiS.

Ale fakty są takie, że wpływ tych korekt na podział mandatów między partie w skali 41 okręgów byłby pomijalny. Więcej – gdyby analogiczną korektę demograficzną według wytycznych PKW przeprowadzić przed wyborami w 2023 r., to PiS zyskałby dwóch posłów w Sejmie.

Polityk boi się zmian

– *Nie można jednoznacznie stwierdzić, że postulowana zmiana byłaby korzystna dla konkretnej siły politycznej, jej ostateczny efekt byłby w ogromnej mierze losowy. Wbrew pierwszemu wrażeniu planowana korekta była też bardzo ograniczona. Nie zlikwidowałaby nierówności w sile głosu, a co najwyżej zaledwie trochę ją zmniejszyła. Nie ma mowy o wyborczej rewolucji* – mówi dr Onasz. – *Gdy założymy przybliżone wyniki głosowania, okazuje się, że choć w części okręgów „liberalnych" któreś z ważnych ugrupowań tego nurtu zyskuje, to z drugiej strony często traci mandat, np. ósmy czy dziesiąty, w okręgach „konserwatywnych". W ogólnym saldzie są to więc niewielkie różnice* – dodaje Onasz, który oszacował wpływ zmian na podział mandatów w okręgach według ostatnich sondaży.

I tak, biorąc za punkt wyjścia wyniki badania Opinii24 z początku października, gdyby zmiany w okręgach weszły w życie, po mandacie traciłyby KO, PiS i Lewica, jednego posła zyskałaby Konfederacja, dwóch – Rozwój Plus. Z kolei według danych z sondażu United Surveys PiS zyskałby trzy mandaty, a po trzy straciłyby KO i Korona Polska. Dwa mandaty zyskałaby Konfederacja, jeden – Rozwój Plus. Natomiast według danych z Pollstera trzech posłów więcej miałaby KO, jednego więcej PiS, dwóch straciłaby Konfederacja, a po jednym – Lewica i Korona Polska. I tak dalej. Jak widać, zmiany nie układają się w żaden wzór korzystny tylko dla jednej partii politycznej lub opcji ideowej.

Nasz rozmówca zwraca jednak uwagę na pewien paradoks: – *W ujęciu analitycznym interesuje nas wynik ostateczny w skali kraju, nie ma większego znaczenia, że w czterech okręgach partia zyska po jednym mandacie, a w czterech innych straci, bo w bilansie daje to zero. Niewątpliwie jednak dla posłów, którzy nie zdobyliby mandatów, to nie jest wyjście na zero, tylko stuprocentowa strata.*

Kto wie, być może właśnie ta detaliczna perspektywa jest najlepszym wyjaśnieniem tajemnicy, dlaczego politycy, ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ niezależnie od partyjnych podziałów, z tak wielką rezerwą podchodzą do zmian postulowanych przez PKW i ekspertów.

Gerrymandering? Już tu jest

Niemal zawsze, gdy mowa o zmianach w strukturze podziału mandatów poselskich, przywołuje się *gerrymandering*. To zapożyczony z amerykańskiej polityki termin, opisujący manipulacje granicami okręgów, by zagwarantować w ten sposób wygraną konkretnej partii. Metoda ma swój początek w XIX w., a nazwa wzięła się od nazwiska jej protoplasty, ówczesnego gubernatora Massachusetts Elbridge'a Gerry'ego i okręgu w kształcie salamandry, który powstał w wyniku podpisanej przez niego ustawy. Dziś *gerrymandering* stosują i Republikanie, i Demokraci, a walka na przerysowywanie granic okręgów przybiera często najdziwniejsze z dziwacznych, karkołomne geograficznie formy. Mimo to *gerrymandering* jest już w zasadzie usankcjonowaną tradycją i wyrokami sądów nieodłączną częścią systemu wyborczego w USA.

W Polsce klasyczny *gerrymandering* w wyborach do Sejmu jest w praktyce niemożliwy. Po pierwsze, dowolność w wytyczaniu granic okręgów ogranicza kodeks wyborczy, który stanowi, że nie mogą one naruszać granic wchodzących w skład okręgu powiatów i miast na prawach powiatu. Po drugie zaś, manipulacje na wzór amerykański mają największy sens w okręgach jednomandatowych, gdzie zwycięzca bierze wszystko. Natomiast jeśli potraktujemy ten termin szerzej, jako osłabienie siły głosu jednej grupy wyborców na rzecz wzmocnienia znaczenia grupy konkurencyjnej, wtedy dochodzimy do wniosku, że od lat mamy już z *gerrymanderingiem* do czynienia, choć nie używamy tej nazwy. Ba, ironią losu jest fakt, że w przyszłości można się raczej spodziewać określania tym mianem ewentualnych prób wyrównywania szans wyborczych.

W polskiej kulturze politycznej tak mocno przywykliśmy bowiem uważać, że to wielkie aglomeracje są uprzywilejowane w stosunku do mniejszych ośrodków, że z trudem przychodzi nam zaakceptować fakt, że może być odwrotnie. Tymczasem gdybyśmy poważnie podchodzili do bezdyskusyjnej przecież zasady, że siła głosu każdego wyborcy powinna być możliwie równa, oznaczałoby to skokowe wzmocnienie głosów oddawanych w wielkich miastach, a co za tym idzie, wzmocnienie formacji liberalno-lewicowych, które w metropoliach są najsilniejsze. Jak policzył na łamach OKO.press analityk Leszek Kraszyna, gdyby do podziału mandatów zastosować dane nie z rejestru wyborców, ale ze spisu powszechnego, stan posiadania koalicji 15 października po wyborach w 2023 r. urósłby do 251 mandatów. A gdyby zastosować kryterium realnej liczby głosów oddawanych w okręgach, KO, Lewica i Trzecia Droga miałyby w Sejmie reprezentację liczącą aż 255 posłów i posłanek.

Proponowane przez PKW zmiany w podziale mandatów

Zyskują:

Okręg nr 20 (Warszawa II). 15 mandatów (+3)
Okręg nr 3 (Wrocław). 16 mandatów (+2)
Okręg nr 13 (Kraków II). 15 mandatów (+1)
Okręg nr 19 (Warszawa I). 21 mandatów (+1)
Okręg nr 23 (Rzeszów). 16 mandatów (+1)
Okręg nr 25 (Gdańsk). 13 mandatów (+1)
Okręg nr 26 (Słupsk/Gdynia). 15 mandatów (+1)
Okręg nr 37 (Konin). 10 mandatów (+1)
Okręg nr 38 (Piła). 10 mandatów (+1)
Okręg nr 39 (Poznań). 11 mandatów (+1)

Tracą:

Okręg nr 1 (Legnica). 11 mandatów (-1)
Okręg nr 2 (Wałbrzych). 7 mandatów (-1)
Okręg nr 5 (Toruń). 12 mandatów (-1)
Okręg nr 6 (Lublin). 14 mandatów (-1)
Okręg nr 7 (Chełm). 11 mandatów (-1)
Okręg nr 9 (Łódź). 9 mandatów (-1)
Okręg nr 21 (Opole). 11 mandatów (-1)
Okręg nr 31 (Katowice II). 11 mandatów (-1)
Okręg nr 32 (Katowice III). 8 mandatów (-1)
Okręg nr 33 (Kielce). 15 mandatów (-1)
Okręg nr 34 (Elbląg). 7 mandatów (-1)
Okręg nr 35 (Olsztyn). 9 mandatów (-1)
Okręg nr 40 (Koszalin). 7 mandatów (-1)

Im dłużej politycy będą zwlekać z urealnieniem podziału mandatów sejmowych między okręgi, tym większe napięcie polityczne i społeczne będzie rodzić przyszła próba przeprowadzenia takiej korekty. Bo z biegiem lat dysproporcje będą rosły. A im będą większe, tym łatwiej populistyczna prawica zagra na emocjach, opisując zmiany jako próbę manipulacji wyborczej oraz spisek wielkomiejskich elit przeciw zwykłym obywatelom z małych miast.

Jeżeli istnieje znaczące ryzyko, że uprawnione zmiany mogą gwałtownie zachwiać zaufaniem do procesu wyborczego, rodząc masowe podejrzenia fałszerstw lub manipulacji, być może należy się pogodzić z rażącymi nierównościami w imię elementarnej stabilności systemu demokratycznego. Zwłaszcza w rzeczywistości, gdy efektowna dezinformacja roznosi się lotem błyskawicy w poprzek podziałów politycznych, a zaufanie do instytucji stojących na straży przestrzegania zasad jest radykalnie ograniczone. Mogliśmy to przecież obserwować na przykładzie wyborów prezydenckich w 2025 r.

Mniejsze zło?

Jeżeli jednak naszym celem jest elementarna dla zdrowej demokracji porównywalna siła głosu, aby preferencja każdego głosującego obywatela miała bardzo zbliżone znaczenie, to powinniśmy rozpocząć dyskusję o tym, że najlepszym rozwiązaniem byłoby odejście od rozkładu mandatów przed wyborami według bardzo zawodnych kryteriów, a podział między okręgi powinien następować już po głosowaniu, na podstawie liczby oddanych głosów.

– *To byłaby zmiana wręcz rewolucyjna, ale z punktu widzenia obywateli najbardziej korzystna. Jednak w takim wariancie bylibyśmy już w stanie wskazać, kto by zyskał. Byłyby to ugrupowania wielkomiejskie, bo największy przyrost mandatów nastąpiłby w Warszawie oraz w innych dużych ośrodkach. W stolicy na liczbę mandatów wreszcie miałyby wpływ głosy oddawane poza granicami RP – dzisiaj wpływają one mocno na sam wynik wyborczy w stolicy, ale zupełnie nie przekładają się na liczbę przypisanych jej mandatów. We wszystkich dużych ośrodkach znaczenie mieliby także obywatele głosujący tam na podstawie zaświadczenia o prawie do głosowania. Ostatnio było to 400 tys. osób w skali kraju, co w obecnym systemie jest całkowicie pomijane przy podziale mandatów. Przy takich zmianach siła głosu każdego obywatela byłaby bardzo wyrównana* – mówi dr Onasz.

Gdybyśmy jednak mieli stanąć w prawdzie, należałoby przyznać, że nic z tego nie będzie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jakość polskiej debaty o systemie wyborczym. Być może więc z obecnymi nierównościami należy się pogodzić jako z mniejszym złem, przyjmując, że racjonalna dyskusja na ten temat nie jest obecnie w Polsce możliwa.

MICHAŁ DANIELEWSKI

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Hollywood w PISF

Ruszyło rozliczanie byłego dyrektora Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej z czasów władzy PiS. Radosławowi Ś. prokuratura właśnie postawiła m.in. zarzuty niegospodarności i wyrządzenia szkody wielkich rozmiarów. Poznaliśmy szczegóły jego życia na bogato, „jak w filmie", za publiczne pieniądze.

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA



© GETTY IMAGES

Zacznijmy od scenerii wydarzeń. Polski Instytut Sztuki Filmowej (PISF) to państwowa instytucja, która dostaje pieniądze z budżetu państwa przez Ministerstwo Kultury plus 1,5 proc. zysków kin, dystrybutorów itp. To w sumie kilkaset milionów złotych rocznie, które PISF otrzymuje do rozdzielenia na wsparcie wartościowej produkcji filmowej w różnym jej stadium. Pensja jego dyrektora, zgodnie z ustawą o PISF i z uwagi na obowiązującą ustawę kominową, oscylowała w granicach 20–30 tys. zł miesięcznie. A to było za mało – jak wynika z audytu Krajowej Administracji Skarbowej (KAS), która weszła do PISF po odwołaniu w kwietniu 2024 r. Radosława Ś. (nominata Piotra Glińskiego z PiS, z karierą w Totalizatorze Sportowym) przez ówczesnego ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza

Ale były jeszcze dwie karty służbowe z limitem 40 tys. zł miesięcznie (Radosław Ś. w 2022 r. zwiększył limit z 20 tys. na 40 tys. zł). Wychodzi to wyraźnie w raporcie KAS z audytu w PISF. Skarbowcy sprawdzali zgodność z prawem gospodarowania środkami publicznymi w okresie od stycznia 2022 r. aż do odwołania Radosława Ś. Sprawozdanie z tych badań, do którego dotarła POLITYKA, liczy 199 stron, jest pełne tabel, wyliczeń i zestawień, które sprowadzają się do tego, jak szastano tam publicznym groszem. Audytem objęto wydatki prawie 116 mln zł. Z czego nieprawidłowości stwierdzono przy wydaniu aż 112 mln zł.

Życie na kartach

Sporo miejsca w raporcie zajmują wydatki ze służbowych kart płatniczych, z założenia do płatności ściśle związanych z działalnością PISF. Audytorzy szczegółowo sprawdzili wyciągi bankowe i dokumentację, na podstawie której rozliczano jego wydatki. Wyliczyli np., że w 2022 r. dyrektor PISF z karty służbowej wydał 632 tys. zł, większość na wyjazdy służbowe. W tym na transport 179 tys. zł, na hotele 175 tys. zł i na usługi gastronomiczne 109 tys. zł.

Rok później, w 2023 r., z kart dyrektora poszło 735 tys. zł, w tym transport 137 tys. zł, hotele 173 tys. zł, restauracje 150 tys. zł, ale też m.in. zakupy spożywcze i kosmetyczne 66 tys. zł. W ostatnich trzech miesiącach szefowania PISF, od stycznia do kwietnia 2024 r. – już za rządów Tuska – z kart służbowych Ś. wydał 326 tys. zł, do dnia odwołania, kiedy na lotnisku ▶

▶ w Stanach Zjednoczonych dowiedział się, że karta została zablokowana. Z czego zresztą do czasu audytu KAS nie rozliczył 284 tys. zł, czyli nie przedłożył żadnych dokumentów, które świadczyłyby o celowości tych wydatków. W sumie – jak wynika z audytu – Ś. w dwa lata 2022–23 z samych kart wydał ponad milion złotych i prawie wszystkie wydatki, bo ponad pół miliona złotych, z naruszeniem ustawy o finansach publicznych, a także wewnętrznych uregulowań, określonych zresztą przez samego dyrektora. A księgowa PISF mu to rozliczała, mimo że nie przedstawiał faktur, nie opisywał w żaden sposób wydatków – a powinien, by wykazać, że ponoszone są w sposób celowy i oszczędny, jak nakazuje art. 44 ustawy o finansach publicznych.

Przyjrzyjmy się temu, na co Radosław Ś. wydawał pieniądze publiczne. Bardzo często korzystał z Ubera i zwykle nie brał faktur. W 2022 r. 87 razy, a w 2023 – 169 i nie udokumentował tych przejazdów. Być może częściej korzystał z usług taksówkarskich, ale te wyjazdy akurat prawidłowo dokumentował. Zdarzały się dni, że zamawiał Ubera dziewięć razy. Są też kosztowne jednorazowe kursy, np. w marcu 2022 r. za 681 zł, a 1 listopada, w dzień ustawowo wolny od pracy, zamówił przejazd za 592 zł. Zostały rozliczone, mimo że nie wiadomo było, jaki związek z działalnością PISF ma ten wyjazd, a to powinno być szczegółowo opisane. Ś. sporo wydawał też na rachunki w restauracjach.

Jeśli już kontrolerzy znajdowali opis, to ogólnikowy: „zakup usługi gastronomicznej w ramach służbowego spotkania dyrektora z branżą filmową". I ani słowa o tym kto, gdzie, z kim i w jakim celu (znaleziono nawet rachunek na 800 zł z takiego spotkania z marca 2020 r., czyli szczytu covidu, gdzie wszystko było zamknięte, nawet szpitale).

Poczuj się jak gwiazda

Radosław Ś. dużo także jeździł po świecie. W dwa lata i cztery miesiące, które audytował KAS, odbył 49 podróży służbowych, z czego aż 18 do USA, a także do Meksyku, Kanady, Kolumbii, Singapuru i na Islandię. Korzystał z hoteli i restauracji o najwyższym standardzie. Od 20 do 24 stycznia 2022 r. za Luxury Collection Hotel w Beverly Hills za cztery doby zapłacił 8,7 tys. zł. Upodobał sobie ten akurat hotel, bo gościł tu w marcu i w listopadzie 2022 r., za co zapłacił z karty



Ś. płacił kartą służbową w klubie nocnym Raspoutine w Los Angeles

16 tys. zł – za łącznie siedem nocy. W styczniu 2023 r. poleciał do USA do urokliwego hotelu położonego tuż przy Parku Olimpijskim Utah – za cztery noce zapłacił służbową kartą 15 tys. zł. W październiku 2023 r. spędził też kilka dni w amerykańskim pięciogwiazdkowym hotelu Casa del Mar nad brzegiem oceanu w mieście Santa Monica. Z wyciągu bankowego dowiadujemy się, że za pobyt zapłacił 32,8 tys. zł (noc w tym hotelu kosztuje średnio 4 tys. zł). To cena niezbyt wygórowana, jeśli wierzyć reklamie hotelu: „Poczuj się jak gwiazda dzięki światowemu poziomowi obsługi", wnętrza też wyglądają na miarę gwiazd.

Wiele rezerwacji hotelowych było realizowanych na dwie osoby. Zdarzało się też, że dodatkowo także towarzyszyło im dziecko. Przy jednej z takich rezerwacji (dwoje dorosłych z dzieckiem) widać płatność za usługę hotelową, zrealizowaną przez serwis internetowy booking.com, za 24,8 tys. zł. Za jaki hotel i ile nocy nie wiadomo, bo Ś. nie przedłożył do rozliczenia faktury, ale z wykazu podróży służbowych wynika, że od 29 października do 5 listopada 2022 r. był w delegacji w USA.

Specjały kuchni japońskiej

Odpierając zarzuty ówczesnego ministra kultury, Ś. w oświadczeniu twierdzi, że „kartami służbowymi opłacane były (...) moje oraz pracowników PISF kolacje i spotkania lobbystyczne i integracyjne dla grup od kilku do kilkuset osób, w których uczestniczyli przedstawiciele branży filmowej". Jednak wiele z tych rachunków to kwoty po ok. 300 zł, co raczej wskazuje na to, że płacono za jedną czy dwie osoby. Przez dwa lata aż 17 razy Ś. gościł w restauracji w warszawskim DH Vitkac, gdzie wydał łącznie 9,7 tys. zł. To – jak czytamy na stronie restauracji – „nowoczesne, przeszklone wnętrze – urządzone ze smakiem i dbałością o każdy detal – oferuje piękną panoramę stolicy, która stanowi idealne tło dla potraw kuchni międzynarodowej".

Przez dwa lata za alkohol zapłacił ze służbowej karty 55 razy łączną kwotę 59 tys. zł. Zakupy alkoholu często wiązały się z wyjazdami służbowymi. Ś. płacił kartą służbową w klubie nocnym Raspoutine. Od 20 do 24 stycznia szef PISF był w delegacji w USA. W połowie wyjazdu zapłacił kartą 5,2 tys. zł we wspomnianym klubie. To jedno z najbardziej ekskluzywnych i tajemniczych miejsc na mapie nocnego życia West Hollywood. Jak można przeczytać w sieci, „wnętrze klubu jest niezwykle zmysłowe, kameralne i teatralne. Dominującym kolorem jest głęboka czerwień. Wystrój inspirowany jest barokowym, rosyjskim kabaretem – znajdziesz tu czerwony aksamit, rzeźbione drewno, zabytkowe żyrandole, skóry oraz witraże". Służbową kartą płacono też w Toy Room w Mumbaju.

W październiku 2022 r. Ś. poleciał na pięć dni do Indii. W połowie wyjazdu z jego karty opłacono trzy paragony, w tym w jednym z najbardziej rozpoznawalnych i ekskluzywnych klubów nocnych w Mumbaju. Wszystkie za alkohol – 4,2 tys. zł. Jak czytamy w mediach społecznościowych klubu, jego wizytówką jest Frank – niegrzeczny, imprezowy, pluszowy niedźwiedź, który „prowadzi" imprezy, robi szum na barze i jest głównym obiektem do zdjęć. Z audytu KAS możemy się też dowiedzieć, że Ś. jest wielbicielem sushi. W ciągu dwóch lat ze służbowej karty opłacił 32 wyjścia do restauracji serwujących specjał kuchni japońskiej. Łącznie z karty wydał na nie 16,7 tys. zł. Zaznaczmy raz jeszcze, że to wydatki bez faktur, więc mogło być więcej wyjść na sushi opłacanych kartą, ale niewykazanych w raporcie KAS, bo zostały prawidłowo rozliczone. To znów rachunki na średnio ok. 400 zł, więc – jak przeczuwają nasi rozmówcy – raczej dotyczyły wyjść najwyżej w dwie osoby, a nie kolacji służbowych dla środowiska filmowego w większym gronie, jak tłumaczył Ś.

© INSTAGRAM.COM/RASPOUTINE.LOSANGELES, INSTAGRAM.COM/CONCEPT_13, INSTAGRAM.COM/HOTELCASADELMAR

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Delegacja po prosecco

Mechanizm tworzenia księgowych podkładek pod wydatki, których nie dało się rozliczyć w standardowym trybie, najdobitniej ilustruje sprawa delegacji na Berlinale w Berlinie. Jak wynika z ustaleń kontrolerów, z kasy Instytutu wydano 3,7 tys. zł na pokrycie kosztów wyjazdu, który w rzeczywistości nigdy się nie odbył. W papierach wykazano rzekomy przejazd Zuzanny O., jednej z pracowniczek, prywatnym samochodem na trasie Warszawa–Berlin–Warszawa (1191 km, 1369,65 zł), diety w wysokości 245 euro (1048,72 zł) oraz nocleg w hotelu Novotel Suites Berlin City Potsdamer Platz za 281 euro (1295,51 zł).

Tło tej operacji odsłania praktykę omijania procedur. Sama zainteresowana opisała ten proceder w notatce służbowej: „Otrzymałam informację, że Instytut nie może rozliczyć faktury za nieanulowanie rezerwacji, ale za zgodą [Dyrektora] można ją rozliczyć normalnie, tak jakbym uczestniczyła w delegacji. Dodatkowo narodził się pomysł, aby przy okazji rozliczania tej delegacji rozliczyć również koszty przejazdu". System rejestracji czasu pracy obnażył tę mistyfikację: w dniach, gdy urzędniczka miała przebywać w Niemczech, w rzeczywistości odbijała kartę w warszawskiej siedzibie PISF. Mimo pełnej wiedzy kierownictwa dokumenty zatwierdziła główna księgowa i podpisał dyrektor, co kontrolerzy podsumowali wprost: „osoby podpisane pod dokumentem (...) świadomie poświadczyły nieprawdę co do okoliczności mającej znaczenie prawne" – co stanowi czyn zagrożony karą od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności z art. 271 kk. Według naszych informacji wykorzystano ten fikcyjny wyjazd jako podkładkę na wydatek 3,7 tys. zł za zakupione w Berlinie prosecco, na co nie wzięto rachunku.

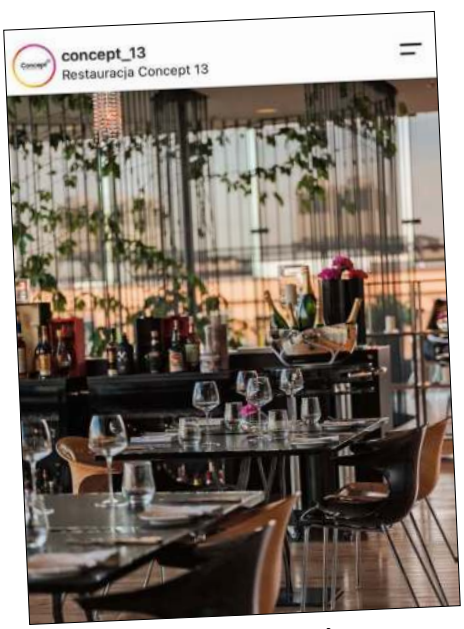

Przez dwa lata Ś. gościł 17 razy w restauracji Concept 13 w warszawskim DH Vitkac, gdzie wydał łącznie 9,7 tys. zł

Wykryto też nieprawidłowości innej kategorii, o większym ciężarze gatunkowym, bo dotyczącej rozdawania pieniędzy na produkcje filmowe poza obowiązującymi wszystkich terminami. 13 grudnia 2023 r., czyli w dniu zaprzysiężenia rządu Donalda Tuska, Radosław Ś. podpisał zgodę dla 14 wniosków o dofinansowanie produkcji filmowych. Według KAS, który złożył w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury, skutkowało to wypłaceniem nienależnych dofinansowań i stanowiło działanie niezgodne z zasadami uczciwej konkurencji i równego traktowania wnioskodawców. Chodzi o kwotę 8 mln 717 tys. 425 zł. W jednym przypadku okazało się, że Ś. zezwolił na przekazanie pieniędzy na film, mimo że w tamtym czasie takiego wniosku o dotację w ogóle nie było. Do tego doliczono jako stratę ponad 1 mln zł, który PISF musiał zapłacić jako odsetki za niezwrócenie niewykorzystanych środków do ministerstwa.

Pierwsze zarzuty i co dalej

Jak przekazał POLITYCE rzecznik prokuratury Piotr Skiba, na obecnym etapie prowadzonego śledztwa trwają końcowe czynności z podejrzanymi. I odmówił wszelkich informacji na temat śledztwa, także odnośnie do treści postawionych zarzutów. – *Prokurator nadal jest na etapie gromadzenia materiału dowodowego w sprawie i nie ujawnia materiału, którym obecnie dysponuje ani który zamierza pozyskać. Przedmiotowe śledztwo zostało przedłużone do 18 kwietnia 2027 r.* – mówi prok. Skiba.

W sumie zawiadomień o podejrzeniu przestępstw w działalności PISF wpłynęło do Prokuratury Okręgowej w Warszawie aż 14. Wiele z nich z KAS oraz z PISF po zmianie władzy. Akta sprawy liczą dziś ponad 30 tomów. Po ponad dwóch latach śledztwa 4 września 2026 r. prok. Iwona Lewczyk wezwała Radosława Ś. i postawiła mu zarzut niegospodarności – jak określają to prawnicy – w czynie ciągłym, wyliczając wartość szkody na 1 mln 357 tys.

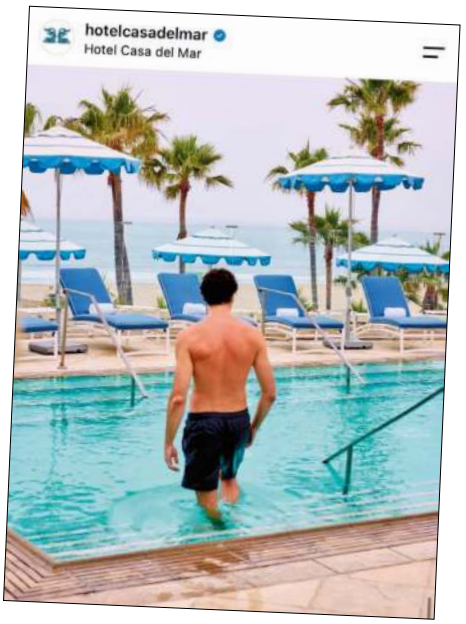

W październiku 2023 r. Ś. spędził kilka dni w amerykańskim hotelu Casa del Mar. Za pobyt zapłacił 32,8 tys. zł.

554,76 zł i drugi taki sam zarzut na kwotę 1 mln 307 374 zł (grozi za to do 10 lat więzienia). Takie same zarzuty usłyszała Małgorzata K., była główna księgowa PISF. Chodzi głównie o nieudokumentowane płatności kartami służbowymi. Trzeci zarzut objął więcej osób, bo poza dyrektorem i główną księgową, innych pracowników, którzy podpisali dokument poświadczający nieprawdę. Chodzi o opisywany już fikcyjny wyjazd służbowy do Berlina. W tej sprawie zarzuty usłyszała też Marta G.-Ł., była p.o. kierownik działu produkcji filmowej i rozwoju projektów filmowych, a także Zuzanna O., na którą wystawiona była fikcyjna delegacja. Ona usłyszała zarzut posługiwania się dokumentem poświadczającym nieprawdę (kara grzywny lub ograniczenia wolności do dwóch lat więzienia). Jak poinformowała prokuratura, Zuzanna O. przyznała się do zarzutów i „złożyła obszerne cenne procesowo wyjaśnienia".

Podejrzany Radosław Ś. reprezentował siebie sam, jako z wykształcenia prawnik, nie przyznał się do zarzucanych mu czynów, odmówił składania wyjaśnień i odpowiedzi na pytania. Oświadczył, że odniesie się do wszystkiego po zapoznaniu się z całością akt, także do kwestii jeszcze nieujętych w zarzutach. Otrzymał płytę CD z całością zgromadzonych materiałów. Według naszych informacji zadeklarował, że zrobi to szybko. Zaraz minie drugi miesiąc, a dyrektor Radosław Ś. nie zgłosił się do prokuratury i nie odniósł do materiałów, jak obiecał.

ANNA DĄBROWSKA, VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Jakie życie, taka śmierć

Rozmowa z Anją Franczak, założycielką Fundacji Instytut Dobrej Śmierci, o potrzebie stworzenia godnych warunków umierania, o bólu straty i towarzyszeniu w żałobie.



Anja Franczak – założycielka Instytutu Dobrej Śmierci i autorka książki „Żaba. Mała opowieść o żałobie". Szkoliła się w Heidelbergu w Instytucie Duszpasterstwa Klinicznego i jest profesjonalną towarzyszką w żałobie, certyfikowaną przez Federalne Stowarzyszenie Towarzyszenia w Żałobie w Niemczech. Jako doula umierania zajmuje się edukacją o śmierci i wspiera rodziny opiekujące się osobą na ostatnim etapie życia. Prowadzi humanistyczne rytuały przejścia i świeckie ceremonie pogrzebowe.

JULIUSZ ĆWIELUCH: **– Dlaczego młoda kobieta zajmuje się śmiercią?**

ANJA FRANCZAK: – Kiedy śmierć weszła w moje życie, siłą rzeczy musiałam się z nią skonfrontować.

A którymi drzwiami weszła?

Tymi prowadzącymi do najbardziej wrażliwych miejsc. 11 lat temu straciłam dziecko w czasie ciąży.

Który to był miesiąc?

A dlaczego pyta pan, który to był miesiąc?

Taką mam naturę i zawód. Nie chciałem pani urazić.

Nie chodzi o urażenie, bardziej o to, jakie ludzie zadają pytania w kontekście żałoby i straty. Jestem często pytana właśnie o to, który to był miesiąc. Jakby to była najważniejsza kwestia w kontekście mojej żałoby. To zresztą uniwersalny mechanizm.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Mówisz: odeszła moja babcia, a najczęściej pierwsze pytanie brzmi: ile miała lat? Jak miała 90, to będziemy jej mniej żałować, niż gdyby miała lat 70 czy 60?

Nażyła się. Sam to wiele razy słyszałem w takim kontekście.

I ja. A jest jeszcze dużo więcej pytań. Wobec tego, co mnie spotkało, można przecież zapytać o tyle innych rzeczy: w jakich okolicznościach to się wydarzyło?; jak zareagował mój partner albo jak się mną zaopiekował personel medyczny? A jednak ludzie najczęściej pytają o to, ile miała miesięcy. W angielskim jest pojęcie *disenfranchised grief* – nieuznana żałoba. To taki stan, w którym ktoś doświadcza bolesnej straty, ale otoczenie tego nie rozumie, a czasem wręcz odmawia prawa do wyrażania smutku. Opowiadając o tym mechanizmie, lubię posługiwać się przykładem ukochanego zwierzęcia. Strata takiego przyjaciela dla opiekuna lub opiekunki bardzo często jest głębokim doświadczeniem. Ale mówiąc o tym, z dużym prawdopodobieństwem usłyszy: daj spokój, to tylko pies; albo: schroniska są pełne bezpańskich zwierząt, weź się w garść, przecież to nie koniec świata. A przecież dla tego człowieka mogła to być najbliższa istota na świecie. Albo może jest straumatyzowany, ponieważ pies zmarł w dramatycznych okolicznościach na jego oczach. Jeśli chcemy zrozumieć czyjąś stratę, czyjąś żałobę, to trzeba brać pod uwagę bardzo dużo bardzo różnych czynników.

A możemy w ogóle zrozumieć czyjąś żałobę?

Na tyle, na ile w ogóle jesteśmy w stanie wzajemnie się zrozumieć. Tyle że śmierć sama w sobie jest tajemnicą, więc siłą rzeczy to jeszcze trudniejsze. Z drugiej strony nie wszystko musimy zrozumieć. Czasem ważniejsza niż zrozumienie jest obecność i troska.

Pewnie mi jej zabrakło w tamtym pytaniu, ale umiem chyba powiedzieć dlaczego. Myślę, że szukamy jakiejś racjonalności w tym nieracjonalnym mechanizmie przemijania. Łapiemy się jakichś drobnych pocieszeń typu: śmierć starszego dziecka mogłaby być bardziej bolesna.

Czasem pytania mówią więcej niż czyjeś odpowiedzi. Wyobraź sobie, że o śmierci własnego dziecka dowiadujesz się za pomocą esemesa, że personel medyczny, który miał się tobą zaopiekować, traktuje cię, jakby się nie powiódł jakiś drobny zabieg, i najlepiej, żebyś jak najszybciej już sobie poszedł. Wyobraź sobie, że w urzędzie musisz się właściwie tłumaczyć, po co tu przyszedłeś itd. Jeden ból generuje kolejne. Z tej straty kilka lat później narodził się Instytut Dobrej Śmierci.

Łatwo założyć Instytut Dobrej Śmierci, ale czy dobra śmierć w ogóle istnieje?

Nie wiem. A pan jak to widzi?

Odchodzę bez żalu, spełniony, pogodzony ze sobą, z bliskimi. Nie chciałbym też cierpieć. Taką śmierć przyjmuję w ciemno.

To może być całkiem dobra śmierć.

Tylko że nie mogę się z nikim umówić, że taka mi się trafi.

Może się pan umówić choćby z samym sobą. Mówiąc o odchodzeniu, lubię używać metafory snu. Na końcu dnia zasypiamy. A jakość tego snu nie zależy od tego, jak się zachowywaliśmy przez ostatnie parę minut przed pójściem spać. Cały dzień decyduje, czy będzie nam łatwo zasnąć, czy będziemy się z tym męczyć. ▶

© JULIUSZ ĆWIELUCH, ANDRZEJ SIDOR/FORUM

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ Jakie życie, taka śmierć?

Właściwie tak. Ale definicji dobrej śmierci jest mniej więcej tyle, ilu jest ludzi. Jeden chciałby umrzeć świadomie, inny w sposób nagły i szybki. Jeszcze inny w swoim rodzinnym domu.

Tyle że statystyka mówi, że większość z nas umrze w szpitalu, bo już lata temu dokonaliśmy outsourcingu śmierci i jak tylko z naszymi bliskimi dzieje się coś niedobrego, to wieziemy ich do szpitala, żeby nie narobili kłopotów i nie umarli w domu.

Śmierć jest zjawiskiem społecznym. I każde społeczeństwo buduje własne rytuały umierania. Mieszkam w Polsce od 17 lat. Z pochodzenia jestem pół-Niemką, pół-Chorwatką. Przyjechałam do kraju, który ciągle był i jest w transformacji. Na przestrzeni ostatnich dekad rozwój kultury śmierci i żałoby głównie polegał na oddaleniu tych doświadczeń z przestrzeni prywatnej do profesjonalnej. A teraz coraz więcej osób szuka innego podejścia.

W południowej Polsce był kiedyś taki zwyczaj, że grób musieli wykopać sąsiedzi. W ten sposób społeczność regulowała napięcia między sąsiadami. Jak za bardzo się kłóciłeś, musiałeś się liczyć z tym, że nie będzie miał kto cię pochować.

Nie słyszałam o tym. Piękny zwyczaj budujący wspólnotę. To, czego dziś doświadcza większość z nas w obliczu śmierci, nie jest jakoś szczególnie budujące. Po części m.in. dlatego, że zatraciliśmy nasze wspólnoty.

Paulina Wilk napisała w jednej z książek, że dziś łatwiej pojechać po kilogram cukru na drugi koniec miasta, niż pożyczyć szklankę cukru od sąsiada.

Szukanie nowych wspólnot to dziś kluczowe wyzwanie społeczne. Szukamy ludzi, którzy mają podobną wrażliwość, podobne podejście do życia albo podobną wizję przyszłości. Nasz Instytut też się zrodził z takiej potrzeby. Wszystkie osoby w naszym kolektywie łączy świadomość, że samej śmierci nie zmienimy, ale że wspólnie możemy tworzyć lepsze, godniejsze, czulsze warunki do spotkania się z nią.

Wspólnota aż po grób?

Mamy poczucie humoru. Zdecydowanie nie jesteśmy ludźmi z ponurą perspektywą, którzy czekają na śmierć. Wręcz przeciwnie. Aktywnie do niej podchodzimy, organizując różnego rodzaju wydarzenia i spotkania. Właściwie to okazało się, że wypełniamy jakąś istotną lukę społeczną, bo w Polsce temat śmierci ciągle bywa traktowany jako tabu. Jako społeczeństwo nauczyliśmy się już rozmawiać na wiele trudnych tematów, ale na ten konkretny ciągle jeszcze brak nam otwartości, a czasem nawet słów. To symptomatyczne, że kiedy ktoś czuje zbliżającą się śmierć i np. zaczyna mówić, jak wyobraża sobie własny pogrzeb, to bardzo często słyszy, że przecież świetnie wygląda, co to za pomysły, żeby wymyślać takie rzeczy, nie ma o czym mówić.

A pani jak reaguje?

Moja ciocia przeczuwała, że zbliża się moment odejścia, i zaczęła układać swoje rzeczy. Robiła porządek w dokumentach, ale też zaczęła rozdawać różne przedmioty. Dobierała je zresztą starannie pod konkretne osoby. Ale reakcje były różne. Jedni mówili, że przecież ciągle żyje i że w ogóle nie chcą o tym słyszeć. Ja wolałam powiedzieć, że to piękna bransoletka i zawsze, kiedy będę ją nosiła, będę o cioci myślała. Widziałam w jej oczach, że to było dla niej ważne.

Śmierć jest wpisana w życie każdego, a jednak mało kto o niej rozmawia i się nad nią publicznie zastanawia. Dlaczego?

Za tym stoją złożone procesy społeczne, które diametralnie zmieniły podejście do pożegnania w XX w. Fokus na młodość, piękno, sprawczość, a teraz *hype* wokół *longevity* sugerują, że śmierć nas nie dotyczy. A opiekę nad umierającymi i zmarłymi przekształciliśmy z rytuału przejścia w usługę rynkową. Umieramy w instytucjach, nie ubieramy już sami swoich bliskich, tylko wszystkie zabiegi oddajemy przedsiębiorcom pogrzebowym.

A na koniec dostajemy prochy zapakowane w ładne pudełko. Ma być ładnie, bezproblemowo i sterylnie. Żadnego całowania w rękę, co jeszcze pamiętam z własnego dzieciństwa, i co – nie ukrywam – wtedy wydawało mi się przerażające.

Dla mnie bardziej przerażające jest to, że oddaliśmy nasze umieranie w ręce ludzi, którzy często sami nie są gotowi, żeby nas przez ten proces przeprowadzić, więc trzymają się podejścia racjonalnego i technicznego. Czego osobiście doświadczyłam, będąc tak surowo traktowana podczas poronienia, że potem potrzebowałam terapii traumy. Ale później spotkałam się z koleżankami, które poroniły w Niemczech i w Holandii. Medycznie miały historię bardzo podobną do mojej. Natomiast to, jak się nimi zaopiekowano, wyglądało kompletnie inaczej. Od razu dostały w szpitalu kontakt do psycholożki. Ale też do osoby, która wspiera w żałobie. Spotykała się z nimi przez kolejne sześć miesięcy i towarzyszyła, tworząc bezpieczną przestrzeń na rytuały pożegnania. Z jednej strony pomyślałam: o jak dobrze, że to może tak wyglądać. A z drugiej strony obudziła się we mnie wielka złość, że w moim przypadku tak nie wyglądało. Czułam, że chcę to zmienić.

W środku pożegnania z moim ojcem do szpitalnej sali weszła sprzątaczka i zaczęła zmywać podłogę. Na uwagę, że właśnie umiera tata i prosimy, żeby zostawiła nas samych, powiedziała, że jak tata się pośpieszy, to ona może poczekać, a jak nie, to dokończy, bo też ma swoje życie i nie ma całego dnia na czekanie.

Na spotkaniach, które organizujemy, ludzie opowiadają wiele takich absurdalnych historii, które chociaż są o umieraniu, to tylko śmiechem można je jakoś rozbroić. Ale to oczywiście smutne i nie powinno się wydarzyć. A wydarza się, bo brakuje nam narzędzi i wiedzy – oraz umiejętności towarzyszenia sobie nawzajem w bólu. Jak już wygrzebałam się ze swojego mroku, to zaczęłam niemal obsesyjnie czytać, jak wygląda kultura funeralna w innych krajach. A później jeździć na różnego rodzaju kursy dla tych, którzy pomagają umierającym i ich rodzinom przejść przez ten proces. Jeden z takich kursów odbywał się w Niemczech. Trwał rok i dotyczył duszpasterstwa klinicznego i towarzyszenia w żałobie. W Niemczech jest nawet związek zawodowy takich pracowników.

W Polsce taki kurs robi się w seminarium i choć trwa pięć lat, to coraz częściej myślę, że uczą się z podręczników dla przedszkolaków, bo to, co robią i wygadują, jest momentami wręcz infantylne.

Trudno mi się do tego odnieść, bo nie mam za dużo wiedzy na ten temat. Sama prowadzę świeckie ceremonie pogrzebowe, ale lubię współpracować z duchownymi różnych wyznań. Jest to temat trudny dla nas wszystkich. Śmierć wyostrza nasze zmysły. Jest jak wielkie szkło powiększające. Każdy błąd i potknięcie w sytuacji świeżej żałoby są szczególnie mocno odbierane. W 2019 r. zaczęłam prowadzić bloga Sprawy ostateczne. Opublikowałam tam np. wywiad z człowiekiem, który prowadzi w Berlinie alternatywny dom pogrzebowy.

Na czym może polegać alternatywność domu pogrzebowego?

Na tym, że on definiuje swoją pracę nie jako handlarz, który sprzedaje produkty typu trumna, urna, transport zwłok.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Adolphe William Bouguereau „Zaduszki”

To ludzie, którzy mają wykształcenie psychologiczne i pedagogiczne. A swoją pracę widzą jako towarzyszenie w procesie kryzysu. I na to kładą nacisk w swojej pracy.

W Polsce alternatywni byli łowcy skór.

W branży pogrzebowej – zarówno w Polsce, jak i w innych krajach – można spotkać osoby, które wykonują swoją pracę z sercem, na wysokim poziomie etycznym i są wspaniałymi ludźmi. Ale są też tacy – jak w każdej branży – którzy mają inne motywacje, a konsekwencje ich działań mogą być przerażające. Na blogu zrobiłam również rozmowę z kobietą, która miała dwa psy terapeutyczne i jeździła z nimi do hospicjów, żeby z ich pomocą ułatwiać ludziom proces pożegnania ze światem, pomóc im się uspokoić i umierać bardziej łagodnie.

Jeszcze niedawno było to zakazane. Zwierzęta są niehigieniczne.

A higiena, jak wiadomo, to najważniejsza rzecz w życiu. Z czasem zaczęli się do mnie odzywać ludzie, którzy myśleli i czuli podobnie jak ja. Mieli również marzenie, żeby kultura funeralna w Polsce nie sprowadzała się do usług i dekoracji, ale była realną pomocą w tym bólu i cierpieniu, jakie zawsze wiążą się ze stratą.

Zatrzymajmy się przy bólu. Ksiądz Tischner napisał przed śmiercią o własnym cierpieniu: „nie uszlachetnia”. Minęło 26 lat, a ta mądrość nie może się przebić do polskich lekarzy.

Do mnie uszlachetnianie przez ból absolutnie nie przemawia. Nie rozumiem nawet, na czym miałoby to polegać. Co kilka lat opracowywany jest raport EAPC (Atlas of Palliative Care). Ostatni był wydany w 2025 r. Polska wypada w nim nieco korzystniej niż w raporcie z 2019 r., w którym wręcz szorowaliśmy po dnie na tle innych krajów europejskich pod względem środków medycznych stosowanych do uśmierzania bólu pacjentów paliatywnych. Co ciekawe, autorzy ostatniego raportu chwalą polskie procedury i zakres uprawnień. Według nich każdy zarejestrowany w Polsce lekarz może wypisywać najsilniejsze środki przeciwbólowe, czyli opioidy. Są kraje, w których uprawnienia takie ma wąskie grono specjalistów. A jednak w Polsce wielu pacjentów ciągle nie ma odpowiedniego dostępu do tych terapii. O ile na tzw. Zachodzie dostęp do morfiny doustnej jest na poziomie 83 proc., o tyle w Europie Środkowo-Wschodniej jest on na poziomie ok. 30 proc.

Znajomy anestezjolog zawsze mi powtarzał, że w tym kraju jeszcze nikogo nie skazano za nicnierobienie. Za to jak podasz lek i pacjent umrze, prokurator będzie cię ścigał aż po grób, o czym zresztą pisaliśmy.

Myślę, że to bardziej skomplikowane. Z jednej strony jest niepewność w stosowaniu tych leków oraz lęk przed ewentualnymi konsekwencjami prawnymi. A inna sprawa to komunikacja – nieumiejętność otwartej rozmowy z pacjentem i jego bliskimi. Na naszych spotkaniach lekarze opowiadają, że pacjentka prosi ich, żeby nie mówić mężowi, że ona umiera. A na korytarzu mąż prosi, żeby nie mówić żonie, że ona odchodzi. Są tacy, którzy nie chcą wiedzieć, jak się rozwija choroba, i tacy, którzy proszą, żeby niczego przed nimi nie ukrywać. I trzeba szanować to, że ktoś boi się zmierzyć z tym tematem.

Mój młodszy syn zdziwił się ostatnio, że ludzie byli grzebani w trumnach, a nie w urnach, które nazwał słoikami. To mi uświadomiło, jak szybko nastąpiły zmiany w tej kwestii. Jednocześnie tajemnicą poliszynela jest, że za odpowiednią dopłatą można dostać dwie urny. I po cichu rozsypać prochy bliskiego, gdzie się chce. Co formalnie jest zakazane, choć trudno powiedzieć dlaczego, bo nie ze względów higienicznych.

Dostrzegam tempo tych zmian. Realne praktyki są już w innym miejscu niż polskie prawo. Ustawa o cmentarzach rozmija się pod wieloma względami z potrzebami społeczeństwa.

A eutanazja? Mateusz Pakuła, autor książki „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję”, powiedział mi, że na spotkaniach autorskich część osób podchodzi i mówi, że żałują, że oni też nie pomogli odejść komuś z bliskich. Są jednak tacy, którzy przychodzą i mówią: A ja nie popełniłem pana błędu.

Chciałabym w tym kontekście podkreślić ważne rozróżnienie. Odstąpienie od interwencji medycznych, które się wiążą z dyskomfortem i nie wnoszą żadnej poprawy jakości życia – czyli rezygnacja z tzw. terapii uporczywej – nie równa się eutanazji. Cała filozofia hospicyjna jest oparta na towarzyszeniu człowiekowi w naturalnym procesie umierania i wniesieniu w niego tyle troski i ulgi, ile się da.

A czy boi się pani śmierci?

Tak. Ale też jestem ciekawa, bo myślę, że będzie to ciekawe i może nawet piękne doświadczenie. Bardziej niż śmierci boję się bycia traktowaną źle na ostatnim etapie życia. Skala cierpienia w naszym świecie obecnie jest gigantyczna. Ostatnio byłam proszona o poprowadzenie ceremonii pogrzebowej dla osoby będącej pod opieką Ośrodka Pomocy Społecznej, chowanej na koszt państwa. Na Cmentarzu Południowym jest cała kwatera, ciągnąca się niemal po horyzont, z grobami takich osób: zapomnianych, samotnych, wykluczonych. I wtedy ogarnia mnie wielki smutek, bo wyobrażam sobie, jak trudno im było – nie w kontekście śmierci, ale w życiu w tym świecie.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ ĆWIELUCH

O godnym odchodzeniu i opiece nad osobami niesamodzielnymi, starszymi, umierającymi POLITYKA pisała w ramach specjalnego cyklu „Odchodzić po ludzku”. Wszystkie teksty oraz materiały, w tym nasz poradnik „Bądź blisko”, są dostępne na: **polityka.pl/odchodzicpoludzku**

© UIG/EAST NEWS

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Rozmowa z dr. Tomaszem Mazurem, filozofem i popularyzatorem stoicyzmu, o tym, czego świat nam nie obiecywał, czy śmierć jest anomalią i jak dobrze żyć bez gwarancji szczęśliwego zakończenia.

Umowa z życiem



Marmurowa głowa stoika i cesarza Marka Aureliusza

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Co stoik powiedziałby komuś stojącemu nad grobem bardzo bliskiej osoby i mającemu poczucie, że świat go oszukał, bo nie tak miało być?**

TOMASZ MAZUR: – Żeby dokładnie przeczytał umowę z życiem – to, co jest w niej zapisane małym drukiem.

Czyli?

Że w każdej chwili może ci się przydarzyć największa tragedia. I żyjesz pod warunkiem akceptacji tego faktu. Tymczasem my, współcześni ludzie, jesteśmy zakładnikami oczekiwań. Mamy wyobrażenie na temat tego, jak nasze życie powinno wyglądać, żeby było spełnione, ale przecież nikt nigdy nam tego nie obiecał. Kiedy więc dzieje się coś sprzecznego z oczekiwaniami, obrażamy się na świat, a nawet popadamy w depresję. Tymczasem urodziliśmy się bez absolutnie żadnej gwarancji na cokolwiek.

W jednej z rozmów zapytano pana jako stoika, co by się stało, gdyby zmarła pańska córka. Chciałbym powtórzyć to pytanie, bo trudno mi sobie wyobrazić, że zareagowałby pan tylko wzruszeniem ramion, gdyż nikt niczego nam nie gwarantował.

Krótka i szczera odpowiedź brzmi: nie wiem. Dopóki nie doświadczymy tak ekstremalnie trudnej sytuacji, nie będziemy mieli pewności, jak naprawdę zareagujemy.

A jak chciałby się pan zachować?

Ze stoickim spokojem, czyli z wdzięcznością za to, że w ogóle miałem relację z moją córką, że to się wydarzyło. I z akceptacją, że nie kontroluję świata. Epiktet, wybitny grecko-rzymski stoik, przytacza taką spokojną reakcję ojca na odejście dziecka: „Czyż spłodziłem nieśmiertelnego?". Dzisiaj jesteśmy zakładnikami narracji, że śmierć to anomalia i mamy prawo do niemal idealnej egzystencji.

Jeśli jednak człowiek po stracie bliskiego nie potrafi tak myśleć i po prostu rozpacza?

Przede wszystkim nie powinno się go pouczać. Stoik może dawać przykład swoją postawą i udzielać rad, kiedy ktoś o nie prosi. Powiedzenie komuś w rozpaczy: „Uspokój się, to przecież od ciebie niezależne", jest zwyczajnie niegrzeczne i może tylko rozdrażnić.

Stoicyzm wymaga długiej pracy nad sobą. A emocji, które już się uruchomiły, czasem nie damy rady zatrzymać. Możemy natomiast pracować nad tym, jak na nie odpowiemy. Smutek nie musi dyktować wszystkich naszych działań. Sam fakt, że go odczuwamy, nie oznacza jeszcze, że cała nasza stoicka praktyka okazała się bezwartościowa.

A jakie jest podejście stoików do własnej śmierci?

Świadomość śmiertelności nie jest powodem do rozpaczy, lecz fundamentalnym elementem praktyki duchowej, zwanym *melete thanatou* – medytacją nad śmiercią. Jak radził Marek Aureliusz czy Seneka, powinniśmy przeżywać każdy dzień tak, jakby był tym ostatnim. A z tej perspektywy większość naszych codziennych lęków wydaje się po prostu śmieszna.

Kryje się w tym ogromny paradoks: myśl o końcu egzystencji pozwala zyskać dystans i najintensywniej cieszyć się chwilą obecną. Seneka ujął to dosadnie: kto nauczył się umierać, ten oduczył się być niewolnikiem. Współczesną obsesję na punkcie świętości życia uważam wręcz za przejaw ludzkiej megalomanii, jakiegoś antropologicznego narcyzmu. Jesteśmy ledwie mgnieniem w perspektywie Wszechświata. Jutro mogę już nie żyć, ale dzisiaj tu istnieję i potrafię zachwycać się tym kosmicznym spektaklem, który mam

eprasa.pl 9f2fdbac8e

przed oczami. To akceptujące podejście dotyczy także rozstania z bliskimi.

Seneka, umierając z rozkazu Nerona, podobno dyktował skrybom swoje myśli. Czy ten stoicki spokój wobec śmierci nie jest w dużej mierze teatrem?

Może i jest. Każde stoickie ćwiczenie to rodzaj odgrywania roli. Ale stoik gra na serio – tak poważnie, że z czasem znika różnica między nim a rolą. Kto wie, kiedy poza jest jeszcze pozą, a kiedy już mistrzostwem życia? A może to my sami przed sobą gramy przerażenie i zdziwienie we współczesnym teatrze emocji? I może po prostu przestajemy dostrzegać, że emocje to wyłącznie nasza kreacja, która zawsze w dużym stopniu jest na pokaz.

Czy ta stoicka postawa nie jest wręcz nieludzka, a także bulwersująca?

Zrealizowany w stu procentach ideał filozofii stoickiej rzeczywiście może wydawać się dziś nieludzki. Kiedy rozmawiam o tym z osobami obeznanymi z popkulturą, to stoik kojarzy im się z postacią Spocka ze „Star Treka" – półczłowieka, półkosmity, ale przede wszystkim kogoś bardzo inteligentnego, za to w dużym stopniu pozbawionego emocji. Czyli właśnie z karykaturą człowieczeństwa, z której wycięto coś ważnego. Dlatego od lat sprawdzam na warsztatach z różnymi grupami osób zainteresowanych stoicyzmem, co dziś znaczy realizowanie tego modelu w pełni. I czy to w ogóle jest pożądane.

I co panu wychodzi z tych badań terenowych?

Doszedłem do wniosku, że aby sensownie myśleć o pełnej realizacji stoickiego ideału, trzeba potraktować tę filozofię jako rodzaj duchowości. Racjonalne, materialistyczne podejście do niej pozwala wprawdzie uzyskać ulgę, ograniczyć stres i mniej przejmować się tym, co od nas niezależne. Ale zachowanie pogody ducha w każdej sytuacji wymaga moim zdaniem głębszej transformacji.

Czyli?

Pracy nad zmianą tego, z czym się utożsamiamy, na czym opieramy swoje człowieczeństwo, czyli m.in. na relacjach z ludźmi, rodziną, własnymi aspiracjami. Podstawą staje się w stoicyzmie co innego, mianowicie więź z Kosmosem: świadomość, że jestem częścią większej całości. Stoicy, a zwłaszcza Marek Aureliusz, często o tym mówią – to jest nasza podstawowa identyfikacja.

Brzmi to trochę ezoterycznie. Proszę wyjaśnić osobie nieznającej stoicyzmu, czym miałaby być ta więź z Kosmosem – bytem raczej zimnym, i to dosłownie, nieprzyjaznym człowiekowi i nie do ogarnięcia wyobraźnią.

Zacząłbym od tego, że każdy z nas z czymś się identyfikuje: z rodziną, narodem, z byciem Europejczykiem, może nawet z całą ludzkością. Stoicy poszerzają ten krąg jeszcze bardziej, aż do Kosmosu. Nie mam przy tym na myśli ciepłego, osobowego bytu, który interesowałby się moimi problemami. Nie przeciwstawiam też ducha materii. Kosmos jest obojętny, ale tej obojętności nie postrzegam jako chłodu. Uważam raczej, że narcystyczne jest nasze zainteresowanie własnym losem. Świat nie troszczy się o nasze życie i nie powinien. Gdy zatem przestaniemy się nim przesadnie zajmować, staniemy się po prostu tą częścią Kosmosu, którą jesteśmy. Czyli zaczniemy akceptować siebie jako element procesu oddziaływania najmniejszych fizycznych elementów tworzących Wszechświat i cieszyć się tym. Bo samo dzianie się świata może być zachwycające. Starożytni stoicy mówili też o energii przenikającej Kosmos, której jesteśmy częścią. Nie jest to aż tak bardzo odległe od znaczenia, w jakim słowa „energia" używają fizycy.



Tomasz Mazur (rocznik 1972) – studia filozoficzne ukończył na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie obronił doktorat i pracował jako adiunkt. Przedstawiciel i popularyzator współczesnego stoicyzmu. Prowadzi podkast „Ze stoickim spokojem". Autor książek, m.in. „O stawaniu się stoikiem. Czy jesteście gotowi na sukces?", „Nieustające napomnienia. Współczesne medytacje stoickie" i „Bogowie są ukryci".

Podobnie opisują to ludzie praktykujący taoizm czy buddyzm. W niektórych stanach medytacji człowiek postrzega siebie jako przejaw bytu, zanurza się w nim i traktuje go jak swój dom. Ostatecznie jednak albo się tego doświadcza, albo nie.

No właśnie. Dzisiaj popularność stoicyzmu czy też neostoicyzmu – jego uwspółcześnionej wersji – rośnie, choć nie wszyscy muszą doświadczać poczucia więzi z Kosmosem, głębszej duchowości, a może też tego nie poszukują. Czy przyczyny zainteresowania tą filozofią nie są zatem trochę inne?

Nie mam na to prostej odpowiedzi, bo różni ludzie na różnych etapach życia odnajdują w stoicyzmie co innego. Pierwszy impuls zainteresowania ma zwykle charakter negatywny: to potrzeba uwolnienia się od napięcia, stresu, cierpienia czy zagubienia. Jesteśmy bowiem przebodźcowani, rozemocjonowani i zagonieni. Kto doświadcza choćby jednej z tych przypadłości, a słyszy, że dzięki pewnemu sposobowi myślenia można w każdej sytuacji zachować dystans, spokój i radość, od razu się tym interesuje. Zwłaszcza gdy się dowiaduje, że da się to osiągnąć samemu dzięki ćwiczeniom. Żyjemy w świecie sprawczości, a stoicyzm daje narzędzia i mówi: wszystko jest w twoich rękach, więc zacznij działać.

Takiego podejścia nie uważam jednak za optymalne. Jeśli tylko się od czegoś uwalniamy, nie mamy czym wypełnić powstałej wolnej przestrzeni. Bo chodzi o to, by uwolnić się nie od czegoś, tylko do czegoś. Ludzie zostają więc przy stoicyzmie przez wiele lat raczej z innego powodu: to filozofia, która poważnie stawia pytanie o kondycję człowieka i odpowiada, kim jesteśmy i jak dobrze, po ludzku żyć. Jak być dobrym człowiekiem. Z tych odpowiedzi, i w ogóle filozofowania na ich temat, rozwija się bardzo satysfakcjonujący sposób bycia na co dzień.

Dlatego ze stoicyzmu pełnymi garściami czerpała psychoterapia poznawczo-behawioralna (CBT), czyli nurt o najlepiej udowodnionej skuteczności. Można więc nawet powiedzieć, że osiągnięcie stoickiego spokoju ma potwierdzenie w badaniach naukowych.

Amerykański psychiatra Aaron Beck, współtwórca CBT, wprost odwoływał się do Epikteta. Podzielał bowiem fundamentalne przekonanie stoików, że posiadamy w sobie głęboko ukryte przeświadczenia na temat rzeczywistości. To przez nie filtrujemy wszystko, czego na co dzień doświadczamy. Współcześni psychologowie poznawczy nazywają to myślami automatycznymi.

Wielkie odkrycie starożytnych stoików polegało właśnie na zrozumieniu, że nasze samopoczucie, nastrój i stan emocjonalny nigdy nie są automatyczną reakcją na samą rzeczywistość, jakakolwiek ona jest, tylko naszą własną jej oceną i interpretacją. Kiedy zatem coś nam się przydarza, to nie samo obiektywne zdarzenie rani lub cieszy, lecz to, co z nim zrobimy na poziomie poznawczym. ▶

© GUILLAUME ANGLERAUD/ALAMY/BE&W, LESZEK ZYCH

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶Drugie, równie przełomowe odkrycie – stanowiące podstawowe założenie filozofii stoickiej – głosi, że mamy na tę interpretację ogromny wpływ. Człowiek nie jest skazany na ocenianie sytuacji wyłącznie tak, jak został tego nauczony przez kulturę, środowisko czy własne utarte nawyki. Odkrywając te głębokie przekonania i świadomie je modyfikując, możemy realnie zmienić nasze reakcje emocjonalne i odzyskać spokój. Na tym właśnie opiera się zbieżność między starożytną praktyką filozoficzną a współczesną psychoterapią.

Czy stoicyzm może ją zastąpić?

To nie są zamienniki, choć granica między nimi nie jest ostra. Psychoterapia nie mówi ludziom, jak żyć. Ma im pomóc wrócić na drogę, na której sami muszą sobie odpowiedzieć na to pytanie, a dopiero na tej drodze może towarzyszyć im filozof. Jeśli jednak ktoś nie potrafi samodzielnie na nią wejść, bo wikłają go paraliżujące, szkodliwe schematy poznawcze, to warto, żeby zwrócił się po pomoc do psychoterapeuty.

Natomiast sama praktyka stoicka to zestaw regularnie wykonywanych ćwiczeń. Podstawowym jest poranny „przegląd siebie", który stoicy nazywali rachunkiem sumienia. Wyciszamy się, zastanawiamy, co nas czeka danego dnia. Dzielimy to na rzeczy od nas zależne i niezależne, by reakcje i samopoczucie wiązać tylko z tymi pierwszymi. Taki rachunek warto powtarzać w ciągu dnia, jak również wieczorem, pytając, co się udało, a nad czym popracować jutro.

Do tego dochodzi *premeditatio malorum*, czyli rozważanie z wyprzedzeniem ewentualnych przyszłych nieszczęść – wyobrażamy sobie, co najgorszego może nas spotkać w danej sytuacji, której się obawiamy. Przygotowuje nas to na ciosy losu i uczy doceniać, co mamy tu i teraz.

Jest też perspektywa kosmiczna, czyli spojrzenie w wyobraźni na swoje troski z ogromnej odległości w czasie i przestrzeni, by uświadomić sobie błahość większości naszych problemów. Wreszcie wspomniane *melete thanatou*, ćwiczenie się w myśli o własnej śmiertelności, które pozwala intensywniej przeżywać chwilę obecną.

Wszystko to jest proste intelektualnie, ale trudne duchowo. Wymaga dyscypliny i systematyczności, bo dotarcie do głęboko ukrytych przekonań bywa pracą na wiele lat.

Mimo to stoicyzm można chyba uprawiać na różnych poziomach wtajemniczenia?

Z definicji to filozofia dla mas. Stara się operować prostym, przystępnym językiem, a przyswojenie jej podstawowych tez jest intelektualnie dość łatwe. Każdy człowiek może bowiem szybko zrozumieć fundamentalne zasady, takie jak zmiana nastawienia, poszerzenie perspektywy czy identyfikowanie się z tym, co jest naprawdę od nas zależne. Filozofia ta opiera się też na optymistycznym założeniu, że nasza natura jest plastyczna i każdy, niemal w dowolnym momencie życia, ma możliwość podjęcia pracy nad sobą. Pod tym względem próg wejścia jest niski.

Z drugiej strony o ile stoicyzm jest prosty poznawczo, o tyle przezwyciężenie naszych nawyków wymaga cierpliwości, żmudnej dyscypliny i regularnego stosowania technik, takich jak wspomniany codzienny przegląd siebie.

Sama filozofia i jej narzędzia są zatem dostępne dla każdego, a pełny sukces w postaci trwałej pogody ducha stanowi nagrodę za wytrwałość.

Czy stoicyzm nie przypomina zatem w podstawowych założeniach buddyzmu?

Zdolność uwalniania od lęków i trosk dzieli z każdą wielką tradycją duchową. Ma ją także katolicyzm. Jeśli zawierzysz się Bogu – tej miłości, o której mówi św. Augustyn – osiągniesz ten sam poziom uwolnienia co stoik.

Różnice leżą gdzie indziej. Jeśli chodzi o buddyzm, to pierwsza jest kulturowa i językowa. On wyrósł z zupełnie innej tradycji i Europejczykowi trudno w pełni zrozumieć niektóre tezy już na poziomie samych lektur. Natomiast stoicyzm przez wiele pokoleń przenikał kulturę zachodnią, jest więc zgodny z naszym myśleniem o świecie. A skoro efekt daje podobny, to po co ślęczeć nad sanskryckimi terminami?

Druga różnica jest fundamentalna i dotyczy stosunku do ego. Stoicyzm nigdy nie proponuje destrukcji podmiotu ani nie uznaje go za fałszywą strukturę. Hegemonikon, czyli stoicka jaźń, jest czymś rzeczywistym. Centrum, w którym toczy się całe życie duchowe. Praktyka buddyjska zakłada zaś demontaż ego jako przeszkody w dążeniu do spełnienia. Tymczasem w stoicyzmie chodzi o jakość funkcjonowania naszego ja. Mnie, Europejczyka wychowanego w kulturze indywidualistycznej, przekonuje to znacznie bardziej.

Trzecia różnica to stosunek do rozumu. W tradycjach Dalekiego Wschodu, np. taoizmu, podważa się go jako narzędzie poznania świata. Spotkałem się nawet ze stwierdzeniem, że „rozum to dziwka". Ten sceptycyzm wobec racjonalności i ego jest dla mnie jako stoika nieprzyswajalny.

Wspomniał pan o katolicyzmie. Już w epoce renesansu próbowano dokonać syntezy stoicyzmu z myślą chrześcijańską. Czy to jest w ogóle możliwe, np. bycie i katolikiem, i stoikiem?

To trudne pytanie. Renesansowi neostoicy, których reprezentantem był flamandzki humanista Justus Lipsius, wierzyli, że taka synteza jest możliwa, choć z pewnymi zastrzeżeniami. Ja zaś znów widzę istotne różnice. Po pierwsze, kluczowy element duchowości katolickiej stanowi tajemnica, czyli akceptacja ograniczeń ludzkiego poznania. Natomiast dla stoików świat jest zrozumiały, a człowiek dąży do spełnienia właśnie przez racjonalność. Po drugie, katolicyzm ma dogmaty, które trzeba przyjąć na wiarę. A stoicyzm tylko

Ateńska szkoła życia

Stoicyzm powstał w Atenach ok. 300 r. p.n.e. Jego twórcą był kupiec Zenon z Kition (Cypr). Miał on stracić w katastrofie statku cenny towar, co skłoniło go do zajęcia się filozofią. Stworzył szkołę pokazującą, jak dzięki rozumnemu i dobremu postępowaniu osiągać szczęście mimo przeciwności losu. Nauczał w Stoa Poikile, czyli Portyku Malowanym na ateńskiej agorze – stąd nazwa kierunku filozofii. Jego następcy, Kleantes i Chryzyp, rozwijali system filozoficzny łączący logikę, naukę o przyrodzie i etykę. W I i II w. n.e. w Cesarstwie Rzymskim działali najsłynniejsi dziś stoicy: Seneka, Epiktet i cesarz Marek Aureliusz. Ich teksty (nauki Epikteta spisał jego uczeń) są głównym źródłem wiedzy o stoickiej sztuce życia. Idee tego nurtu filozofii oddziaływały także na chrześcijaństwo – w XVI w. próbowano połączyć obie tradycje, zapoczątkowując neostoicyzm. Współcześni stoicy wracają do antycznych tekstów i ćwiczeń, dostosowując je do dzisiejszych realiów.

eprasa.pl 9f2fdbac8e

założenia, weryfikowane w codziennej praktyce i doświadczeniu. Po trzecie, w katolicyzmie zbawienie zależy od boskiej łaski, czyli od czynnika zupełnie od człowieka niezależnego, a fundamentem praktyki jest pokora. Stoicy są natomiast, jeśli można tak powiedzieć, soteriologicznie, czyli zbawczo, autonomiczni: wszystko jest w naszych rękach. Ta zależność od Boga pozostaje dla mnie całkowicie sprzeczna ze stoicką autonomią.

Niektórzy zarzucają stoicyzmowi, że jest to filozofia ludzi biernych, pogodzonych z losem. Każe akceptować to, co od nas niezależne, a tymczasem granica między tym, na co mamy wpływ, a na co nie, pozostaje nieostra.

Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wydaje się trudna do wytyczenia. Weźmy jednak jako przykład mecz piłki nożnej. Nie chodzi o to, czy wynik zależy ode mnie, lecz o moje spełnienie. Piłkarz nie ma pełnego wpływu na wygraną, ale to on może zdecydować, czy będzie czerpać satysfakcję ze zwycięstwa, czy z tego, że dobrze zagrał. Bo może rozegrać mecz życia, przegrać i być szczęśliwy. W tym sensie podział jest zero-jedynkowy i nie ma w nim nic pośrodku.

Trudno też nazwać to biernością. Stoik z zasady robi wszystko najlepiej, jak potrafi, a spełnienie płynie z tego, jak wykonał swoją pracę, a nie z tego, co z niej wyszło.

Świat jest wobec nas obojętny, w każdej chwili możemy umrzeć, wiele rzeczy zupełnie od nas nie zależy. Skąd w takim razie brać poczucie sensu?

Może nigdy nie znajdziemy ostatecznej odpowiedzi na pytanie o sens świata. Ale mamy swoje życie. Mogę wybrać, co uznaję w nim za wartościowe. Być dobrym człowiekiem, troszczyć się o innych, rzetelnie robić to, co do mnie należy. Nie potrzebuję do tego pewności, że wszystko dobrze się skończy.

Świadomość śmierci pomaga te wybory uporządkować. Skoro nie wiem, czy jutro nie umrę, to warto, żebym dziś załatwił ważne sprawy, wypowiedział ważne słowa, poświęcił uwagę ludziom, których kocham. Miłość stoicka to przecież także dawanie siebie. Możemy cieszyć się samą możliwością kochania i angażowania się. A jeśli w ten sposób buduję w swoim życiu sens, to on już jest w świecie. Bo jest w nas.

Czy zatem stoik potrafi jednocześnie cierpieć i być szczęśliwy?

Tak. Chociaż nie użyłbym słowa cierpienie, lecz ból – według stoików cierpienie to emocja będąca skutkiem ocen, że ból, którego doświadczamy, jest czymś złym. Dlatego stoiccy filozofowie twierdzili, że mędrzec może być szczęśliwy nawet podczas tortur. Odczuwa ból, ale pozostaje zakorzeniony w czymś, co podtrzymuje jego poczucie sensu i wewnętrzną wolność. Szczęście w tym rozumieniu sięga głębiej niż nasze fizyczne samopoczucie w danej chwili.

Nie wiem, czy w momencie najtrudniejszej próby zdołałbym zachować taką postawę. Ale do tego dążę: żeby np. ból rozstania nie przesłonił mi wartości tego, co się wydarzyło. Przecież koniec czegoś dobrego nie sprawia, że przestaje ono być dobrem. A dobro w pewnym sensie znajduje się poza czasem. Tak tego, przynajmniej jako stoik, doświadczam.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

Rozmowy z dr. Tomaszem Mazurem, przeprowadzonej przez Joannę Cieślę, można wysłuchać w podkaście psychologicznym POLITYKI: www.polityka.pl/podkasty/podkastpsychologiczny/

REKLAMA

Zapisz się na newslettery POLITYKI i bądź na bieżąco

Newsletter poranny
5 najważniejszych tematów na dobry początek dnia.

Newsletter wieczorny
Najlepsze teksty i najważniejsze wydarzenia dnia w jednym mailu.

Kulturalny newsletter „Polityki”
Co tydzień podpowiadamy, co przeczytać, obejrzeć i zobaczyć.

Newsletter historyczny
Historia, która pomaga lepiej zrozumieć współczesność.



Najnowsze wydania specjalne „Polityki”
Informacje o nowych wydaniach specjalnych i premierach dla subskrybentów.

Wybierz swój!

polityka.pl/newslettery

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Tata odszedł w sutannie

Przez lata zmuszane są przez dorosłych do życia w kłamstwie. Ukrywają swoich ojców dla dobra Kościoła. Nikt nie pyta, jak się z tym czują. Życie dzieci księży w Polsce to droga krzyżowa.

FILIP ZAGOŃCZYK

Marta Glanc, córka księdza i autorka książki o tym tytule, wspomina, że przez całe dzieciństwo czuła się kimś, kto jest niewidzialny i nie na miejscu. Wiedziała, że jej ojciec jest księdzem. Kiedy jechała w odwiedziny do jego rodziny, zwracała się do dziadka i babci „proszę pana", „proszę pani". Mimo to w Strzelnie, małym mieście, z którego pochodzi, wszyscy wiedzieli, kto jest jej ojcem. Nie wolno było tylko o tym mówić dla dobra Kościoła. Ojciec Marty, ksiądz Jarosław, czasem zabierał ją do kina lub na pizzę. Nigdy jednak nie rozmawiali szczerze o tym, co dziewczyna czuje, co przeżywa, jakie ma potrzeby. Jej relacja z ojcem opierała się na niezdrowej konspiracji.

Pewnego dnia podczas piątkowego obiadu ksiądz Jarosław podzielił się z córką swoim niepokojem: „Widzisz, co ludzie by powiedzieli, jakby zauważyli, że w piątek ksiądz je mięso". Marta pomyślała wtedy: „Człowieku, a co by powiedzieli, gdyby usłyszeli, że jesz je z własną córką". Zdarzało się, że ojciec przywoził Marcie w prezencie ciasto. Jak się później okazało, był to zazwyczaj dar, który otrzymał od parafian. Kiedy dziewczyna poszła na studia, ksiądz przesyłał jej tysiąc złotych miesięcznie, gdy ich relacje układały się dobrze. Jeśli się pokłócili, przekazu

Dziennikarka Marta Glanc (fot. obok) **swoje osobiste doświadczenia opisała w książce „Córka księdza"**



© LESZEK ZYCH, MP

eprasa.pl 9f2fdbac8e

nie było. Dziś dziewczyna wspomina to jako absurd. „To tak, jakbym pokłóciła się z mamą, a ta za karę nie dałaby mi obiadu".

Po każdym spotkaniu czy przekazaniu drobnej kwoty ojciec Marty oczekiwał wdzięczności. Ona czuła się jednak coraz gorzej. Zaczęła chorować na depresję i rozpoczęła terapię. Ojciec nigdy nie zapytał dlaczego. Po wielu latach przyznała się terapeutce, jaką tajemnicę dźwiga od dziecka. Brak zdrowej relacji z biologicznym ojcem bardzo wpłynął na jej życie. Długo nie wierzyła, że ktoś może ją kochać. Kiedy zdecydowała się opowiedzieć swoją historię, poczuła, jakby wielki ciężar spadł z jej serca.

Na ostatnie spotkanie z ojcem poszła w obecności dziennikarzy „Superwizjera". Było to jeszcze przed wydaniem książki, ale już po artykule prasowym, w którym opisała własną historię. Ksiądz jak zwykle użalał się nad sobą. Pytał, podnosząc głos, czy Marcie wydaje się, że jemu nie jest ciężko. W końcu doszedł do wniosku, że nikt z żyjących nie może go oceniać. Powołany do tego jest tylko Bóg. O emocjach córki nie chciał słyszeć i na koniec to on powiedział, żeby się z nim więcej nie kontaktowała.

Od tamtych wydarzeń minęło kilka lat. Marta czuje się dziś znacznie silniejsza. Żałuje jednak, że jej książka nie wywołała masowej reakcji ze strony innych dzieci księży. To, że ich nie brakuje, wie z własnego doświadczenia. W jej rodzinnym Strzelnie takich dzieci jest kilkoro. Być może jednak boją się ujawnienia. Za księżmi stoi potężna instytucja, jaką jest Kościół, której nie zależy na ujawnieniu prawdy.

Ona zawsze winna

Zdaniem Marty Abramowicz, autorki książek „Dzieci księży" i „Zakonnice odchodzą po cichu", cała kultura Kościoła katolickiego opiera się na wykluczeniu kobiet. Nie mogą zostać księżmi. Są traktowane jak istoty niższego rzędu, ułomne, nawet brudne. Jeżeli więc na świat przychodzi dziecko księdza, to społeczeństwo winą za to najczęściej obciąża kobietę. To ona przecież go uwiodła, zagroziła jego kapłaństwu, doprowadziła do zguby. Ludzie zapominają, że ksiądz jako ojciec dziecka musiał co najmniej w połowie przyczynić się do jego powstania. Co najmniej, ponieważ często jego rola jest większa. To on aktywnie zabiega o parafiankę, wiedząc, że instytucja, w jakiej pracuje, wyraźnie tego zakazuje. W społecznym odbiorze jednak wina kobiety jest większa, a dziecko to problem, bo odciąga kapłana od posługi.

Abramowicz przytacza przykład księdza protestanckiego, który założył rodzinę i wychowuje dzieci. Są szczęśliwi, bo nie muszą niczego ukrywać. Nie robią ze swoich relacji tematu tabu. Pierwszym krokiem do uzdrowienia sytuacji księży katolickich i ich rodzin byłoby więc zniesienie celibatu. Na to się jednak nie zanosi, choć np. w Irlandii ponad 90 proc. księży łamało tę zasadę.

W Polsce temat badał prof. Józef Baniak z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Wyniki nie pozostawiają wątpliwości. Ponad 60 proc. księży przyznaje się do relacji seksualnych lub związków romantycznych z kobietami, a 12 proc. deklaruje, że ma dzieci. Mimo to ludzie często wolą odwracać wzrok. Zdaniem Abramowicz księża znajdują się przez to w bardzo trudnej sytuacji. Są zawieszeni w pół drogi między rodziną, Kościołem, kapłaństwem i rodzicielstwem. Ich dzieci cierpią jeszcze bardziej, musząc ukrywać relacje z ojcami lub – jak jedna z bohaterek – dowiadując się o tym, że ojciec jest księdzem, przez przypadek. Jedna z kobiet, z którymi rozmawiała Abramowicz, będąc już dorosła, zauważyła, jak jej ojciec przebiera się w samochodzie w sutannę. Był to dla niej szok, który zburzył całe budowane przez lata wspólnych kontaktów zaufanie.

Celibat to jeden z tematów, które najbardziej obnażają hipokryzję Kościoła katolickiego. Seksualnej ascezy nie zalecał swoim uczniom nawet Jezus Chrystus. Pierwsi kapłani mogli swobodnie wiązać się z kobietami i chętnie korzystali z tego prawa. Jeden z ojców Kościoła, św. Augustyn, zanim uznał swoje postępowanie za grzeszne, był z pewnością kobieciarzem, a niektórzy nazwaliby go dziś seksoholikiem. Celibat wprowadzono w IV w. Na synodzie w Elwirze ustalono, że biskupom, prezbiterom i diakonom nie wolno współżyć ze swoimi żonami i płodzić dzieci. Ktokolwiek to uczyni, będzie pozbawiony godności stanu duchownego. Nie miało to nic wspólnego z ochroną moralności, za to bardzo wiele z ochroną interesów majątkowych Kościoła. W kolejnych latach przepisy zaostrzano, pisząc między innymi, że biskup powinien traktować swoją żonę jak siostrę, a w pokoju powinien mieć łóżko jakiś drugi ksiądz.

Pierwszymi ofiarami nowego prawa były kobiety i dzieci księży, którym zakazano dziedziczenia czegokolwiek. W 1917 r. w Kodeksie prawa kanonicznego zabroniono duchownym nawet udziału w ślubach i pogrzebach własnych dzieci. Kościół zrobił więc przez wieki bardzo dużo, żeby uniemożliwić sługom bożym zakładanie rodzin. Mimo to ci od wieków łamią przepisy.

Ono jeszcze nie wie

Bywa, że księża, szukając kontaktu z młodymi dziewczynami w internecie, występują przeciw ósmemu przykazaniu, kłamiąc w żywe oczy.

Sandra, mając 15 lat, czuła się samotna. Szukała przyjaźni w sieci. Na jednym z czatów poznała mężczyznę, który okazał jej duże zainteresowanie. Pytał o problemy, doradzał. W krótkim czasie doszło do pierwszego spotkania i dziewczyna poczuła, że znalazła bratnią duszę. Jedyne, czego nie rozumiała, to to, że jej nowy chłopak nie mówił nic o swoim zawodzie. Zapraszał ją regularnie do swojego mieszkania. Tam kochali się bez zabezpieczenia, bo mężczyzna zapewniał ukochaną, że jest bezpłodny.

Tymczasem po dwóch latach znajomości Sandra zaszła w ciążę. Wtedy wszystko się zmieniło. Chłopak, dotąd opiekuńczy, nagle ochłódł. Zaczął nalegać na aborcję. Obiecywał, że załatwi pieniądze, i za nic na świecie nie chciał być wpisany w dokumenty jako ojciec dziecka. Kiedy dziewczyna powiedziała, że nie przerwie ciąży, nagle zmienił plany. Zaczął szukać dla nich mieszkania. Jednak dwa tygodnie przed porodem wyznał Sandrze, że sytuacja go przerasta, że on nie chce i nie może być ojcem, że nie życzy sobie kontaktu z córką. Dziewczyna poczuła, że zostanie sama. Pomyślała: „Jeszcze jeden dupek, który nie umie wziąć odpowiedzialności".

Kiedy na świat przyszła jej córka, w opiece pomagało starsze rodzeństwo. Młoda matka pisała od czasu do czasu esemesy do niezainteresowanego opieką ojca z prośbą o pieniądze na pieluchy czy mleko. Któregoś dnia spotkała się z nim w McDonaldzie. Nagle w trakcie rozmowy do mężczyzny podszedł ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ młody człowiek i, uśmiechając się, powiedział: „Szczęść Boże, proszę księdza". Dla Sandry był to kolejny szok. Przez cały ten czas nie wiedziała, że mężczyzna, z którym się spotyka, jest proboszczem. Nigdy nie była osobą wierzącą. Dziś mówi, że cała historia była od początku jednym wielkim kłamstwem. Gdyby tylko wiedziała, czym zajmuje się ten facet, kazałaby mu iść do diabła. A tak mają dziecko, którego on nie chce znać.

Sześcioletniej dziś córce nie mówi na razie, kto jest biologicznym ojcem. Ma nowego partnera, który pokochał jej córkę. Kobiecie udało się też wywalczyć w sądzie 900 zł alimentów, bo badania DNA potwierdziły ojcostwo księdza. Walczy o ich podniesienie, bo potrzeby dziecka są coraz większe, a ksiądz raz twierdzi, że jest biedny, a innym razem się chwali, że był z kolegami w restauracji i wydał 900 zł, czyli tyle, ile kobieta dostaje od niego miesięcznie. Sandra wspomina, że batalia prawna była bardzo trudna, i szuka osób, które są w podobnej sytuacji co ona. Może razem byłoby trochę łatwiej. Zastanawia się też, czy dobrze robi, nie mówiąc dziecku o ojcu. Co będzie za kilka lat? Przecież żyjemy w czasach, w których można wygoogolować wszystko, więc i jej córka pewnie prędzej czy później dowie się prawdy.

On kłamie i też cierpi

Dlaczego księża tak niechętnie biorą na siebie odpowiedzialność za dzieci? Nie zawsze chodzi o finanse. Niektórzy z nich, tak jak ojciec Marty, dopuszczają nawet ponoszenie jakichś kosztów. Najbardziej boją się napiętnowania społecznego. Zadają sobie pytanie, co będzie, gdy fakt, że mają dziecko, się wyda. Marta Abramowicz wspomina, że pracując nad książką, szukała kontaktu z księżmi, którzy są ojcami. Za każdym razem reagowali alergicznie i nie chcieli rozmawiać. Lata indoktrynacji i konieczność ukrywania kontaktów z kobietami powodują, że nie potrafią budować zdrowych relacji. Tym, co najbardziej przeraża księdza katolickiego, jest codzienne życie rodzinne. To kolejny przejaw hipokryzji, bo przecież księża w Polsce są zawsze pierwsi do udzielania ludziom rad na ten temat. Dlaczego jednak ofiarami ich zakłamania muszą być dzieci?

Anna, córka księdza, czuje, że nie udało im się zbudować bliskiej relacji, mimo że przez lata miała kontakt z ojcem. Pojawiał się dość regularnie, dwa razy w tygodniu. Jako mała dziewczynka z niecierpliwością czekała na te wizyty. Cieszyła się czasem z nim spędzonym. Z biegiem lat pojawiało się jednak coraz więcej pytań. Dlaczego tak wybrał? Czemu wciąż funkcjonuje w Kościele kosztem rodziny? Z jakiego powodu raz na jakiś czas wkleja się do świata Anny i jej brata, ale nigdy nie wpuszcza ich do swojego? Próbowała stawiać mu te pytania, ale nic z nich nie rozumiał. Dla niego sytuacja była w porządku. Przecież mieli kontakt, przecież wiedział, co dzieje się w życiu dzieci, ale żeby z powodu rodziny rzucać Kościół? Co to, to nie.

W końcu Anna zrozumiała, że jej ojciec po prostu nie umie budować relacji rodzinnych. Dla niego istnieją one tylko teoretycznie. Mówi o rodzinie w kazaniach, udziela ludziom rad, jak powinni żyć. Sam jednak nie potrafi zastosować tych wskazówek w codziennym życiu. Uniemożliwił też córce kontakty z rodziną ze swojej strony. Anna widzi dziś w ojcu człowieka pełnego lęku. Zawieszonego między dwoma światami, kościelnym i świeckim, pomiędzy kapłaństwem a rodziną. Nieuznanie własnych dzieci za ważniejsze od Kościoła czy religii zdecydowało o rozpadzie ich relacji. Zachwiało też wiarą Anny we wspólnotę Kościoła. Przed laty bardzo chciała być jej częścią. Dziś już jej na tym nie zależy.

Aleksandra Piotrowska, psycholożka dziecięca, podkreśla, że dla małego dziecka jedną z najważniejszych potrzeb jest bezpieczeństwo. Osiąga je dzięki budowaniu relacji z bliskimi: mamą, tatą, dziadkami i innymi krewnymi. Nawet jeśli dziecku zdarzy się jakiś konflikt z jednym z dorosłych, ma wokół siebie innych, którzy mogą mu pomóc poradzić sobie z trudnymi emocjami. Rodzice są dla niego punktem odniesienia. Kimś najbliższym, kto zawsze ochroni. Relacje z nimi sprawiają, że dziecko czuje się dobrze zakorzenione. Jeśli jednak nie wie, kto jest ojcem, to bardzo szybko się orientuje, że jego sytuacja nie jest normalna. Zaczyna ją porównywać z sytuacją kolegów i koleżanek w szkole czy przedszkolu. Czuje, że to nie jest naturalne.

Potrzeba posiadania wiedzy o tym, skąd się wzięliśmy, kim są nasi rodzice, jest jedną z najbardziej podstawowych. Tymczasem dzieci księży bardzo często się orientują, że dorośli coś kręcą, że nie chcą im powiedzieć prawdy. Sami coś ukrywają albo oczekują, że dzieci będą dźwigać ich tajemnice. Prowadzi to często do poczucia winy. Dziecko myśli, że skoro ojciec nie chciał być blisko, to z nim musi być coś nie tak. Kiedy już pozna prawdę, często musi ją ukrywać przed innymi. Jak zaczyna analizować sytuację, dochodzi do wniosku, że dorośli zmuszają je do życia w kłamstwie. Natychmiast tracą autorytet, bo dziecko nie ma w swoim otoczeniu nikogo, kto mógłby być dla niego wzorem, z kogo mogłoby być dumne. Wszystko to prowadzi do braku poczucia własnej wartości. Wiele z tych dzieci, próbując bronić swojej psychiki przed kłamstwem i hipokryzją, odrzuca Kościół i religię.

Co na to Watykan?

Papieska Komisja ds. Ochrony Małoletnich od 2024 r. pochyla się nad problemem podatności dzieci księży na zranienie. Jej prace miały się zakończyć latem tego roku. Wyników jeszcze nie znamy. Miała m.in. opracować wytyczne dla lokalnych Kościołów, jak postępować w tej trudnej sytuacji. Na razie jednak każdy Kościół kieruje się własnymi lokalnymi zasadami. Zarówno ojciec Marty Glanc, jak i tata Anny nadal pełnią posługę kapłańską. Panuje niepisana zasada, że dopóki ksiądz niespecjalnie angażuje się w życie rodzinne i dzieci nie odciągają go od Boga, to może nadal funkcjonować w Kościele tak, jakby się nic nie stało.

Marta Glanc, chcąc poruszyć swoją sprawę u najwyższych dostojników Kościoła w Polsce, napisała list do prymasa. Po wielu tygodniach abp Wojciech Polak odpisał: „Pragnę poinformować, że w przedstawionej sprawie Kościół kieruje się wytycznymi Dykasterii ds. Duchowieństwa i praktyką stosowaną przez tę dykasterię. W przypadku gdy duchowny począł dziecko, jego priorytetowa uwaga winna dotyczyć tego potomstwa i nie może się ograniczać jedynie do zapewnienia wsparcia ekonomicznego, ale przede wszystkim ma obejmować miłość, wychowanie i to wszystko, co wiąże się ze skutecznym i odpowiedzialnym realizowaniem ojcostwa". Wygląda więc na to, że polscy księża ojcowie na ogół niespecjalnie przejmują się dykasterią i słowami prymasa.

FILIP ZAGOŃCZYK

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Jak przebrała się marka

Polska Fundacja Narodowa, powołana za czasów PiS do promowania marki „Polska”, dziś próbuje odzyskać własną dobrą markę. A także pieniądze i perspektywy. Są nadzieje, są też akty oskarżenia.



W projekcie Jacht, który miał promować Polskę na morzach i oceanach, utopiono ponad 50 mln zł

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

MARTYNA BUNDA

Pomysł wydawał się słuszny i rozsądny. Promować Polskę rękoma – a konkretnie portfelami – tych, którzy już ją promują, czyli poprzez największe i najsilniejsze spółki Skarbu Państwa. Miał nawet znamiona szlachetnej spontaniczności. Formalnie Polska Fundacja Narodowa (PFN) była inicjatywą oddolną. Nie utworzono jej ani ustawą Sejmu, ani rozporządzeniem Rady Ministrów. Założyło ją 17 spółek z udziałem Skarbu Państwa – aktem notarialnym, na podstawie zapomnianej już ustawy o fundacjach z kwietnia 1984 r. W listopadzie 2016 r. powstała instytucja, która nie była ani urzędem państwowym, ani jednostką finansowaną z budżetu; fundatorami były spółki prawa handlowego, mające własny majątek i – w przypadku części spółek giełdowych – także prywatnych akcjonariuszy. Szczodrości i dalekowzroczności spółek nie omieszkała pochwalić ówczesna premier Beata Szydło. Po prostu sielanka.

Tyle że dziesięć lat później była premier notorycznie unika stawiennictwa w prokuraturze. W lipcu 2026 r. śledczy z Rzeszowa ukarali ją karą grzywny w wysokości 3 tys. zł za wielokrotne niestawienie się na przesłuchaniu w charakterze świadka (sąd uchylił tę karę, uznając, że byłą premier chroni immunitet europosłanki). Zeznawać w sprawach dotyczących Fundacji powinien też Mateusz Morawiecki. Oboje po raz kolejny otrzymali wezwania do prokuratury na październik. Trudno się dziwić, że nikt nie pali się do spotkania z prokuraturą. Pierwsze zarzuty w sprawie fundacji już postawiono. Liczne sprawy toczą się w sądach cywilnych. Pozywała również fundacja – i to własnych fundatorów. Jedno jest pewne – została wypromowana na bardzo znaną markę. Pytanie, czy chodziło o ten rodzaj promocji.

Gest polski

Nawet śledczym trudno się doliczyć, ile milionów wydano, a ile wyprowadzono z PFN. Kolejne wątki rozbijane są na sprawy, żeby móc oszacować straty. We wrześniu Prokuratura Regionalna ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ w Rzeszowie poinformowała o zabezpieczeniu majątków Anny P., dyrektorki Biura Wydarzeń Prezydenta w Kancelarii Prezydenta RP, oraz Piotra M., publicysty i komentatora Telewizji Republika. Oboje wcześniej pracowali przy obsłudze medialnej rządu Beaty Szydło i w Centrum Informacyjnym Rządu. Postawiono im zarzuty w sprawie o sprzeniewierzenie znacznych sum przeznaczonych na propagandową akcję dyskredytującą polskie sądy. Na poczet ewentualnych spłat zajęte zostały ich nieruchomości i konta bankowe, w tym dochody Anny P. w Kancelarii Prezydenta RP. Łączna wartość zabezpieczeń, wraz z mieniem dwóch innych podejrzanych, przekracza 8,4 mln zł.

Rzeszowscy śledczy doliczyli się manka na 35 mln zł. Ponad 8 mln utonęło w prowadzonej przez Annę P. i Piotra M. prywatnej firmie Solvere, prowadzącej kampanię szkalującą sędziów. Kolejnych 12 mln przepadło na Litwie, gdzie Fundacja wytransferowała pieniądze, które miały służyć wzmacnianiu polskiego dziedzictwa na tych ziemiach. Śledczy się obawiają, że wzmocniły głównie portfele kilku osób. Ponad 50 mln zł utopiono w projekcie Jacht, który miał promować Polskę na morzach i oceanach. O ile śledztwo dotyczące kampanii Sprawiedliwe Sądy jest już zaawansowane, o tyle druga, wszczęta w 2025 r. sprawa jest tak obszerna i wielowątkowa, że postępowanie może potrwać jeszcze długo. Zwłaszcza że wciąż nie udaje się przesłuchać kluczowych świadków. – *Postępowania te prowadzone są również z tego powodu, że zarząd PFN przeprowadził punktowe audyty działań PFN pod jej dawnymi zarządami i złożył stosowne doniesienia, a PFN aktywnie występuje w tych postępowaniach w roli pokrzywdzonego* – mówi dzisiejszy prezes Polskiej Fundacji Narodowej Maciej Szudek. Postępowania prokuratorskie nie są jedynymi, jakie toczą się w sprawie PFN. W sądach toczą się również sprawy o zapłatę zaległych składek, wytaczane przez fundację, oraz o zwrot wpłaconych środków, wnoszone przez część spółek Skarbu Państwa.

Za cudze

Konstrukcja fundacji była dość szczególna. Płaciły firmy, ale o polityce decydowali politycy, bo rząd zapewnił sobie pełną kontrolę nad władzami fundacji, zgody ministrów wymagała również zmiana statutu. Fasadowość tych działań – niejako przez przypadek – prześwietlili i opisali w raporcie inspektorzy NIK w czasie kontroli dotyczącej PKP. Jeszcze w czerwcu 2016 r. do prezesa spółki trafiło pismo ministra Skarbu Państwa sugerujące dołączenie do przedsięwzięcia. Dla PKP oznaczało to zobowiązanie do przekazania łącznie 36 mln zł na działalność Fundacji, a jednak spółka bez żadnych pytań i analiz podpisała list intencyjny – i to zanim jeszcze jej rada nadzorcza wyraziła na to zgodę. Podobnie było gdzie indziej. Łączna wysokość zadeklarowanego funduszu założycielskiego wynosiła 97,5 mln zł, płatne do końca grudnia 2016 r., i kolejne coroczne obciążenia – aż do 2026 r. W sumie donacja od fundatorów miała wynieść 633,75 mln zł.

Pod aktem podpisało się 17 dużych spółek z udziałem Skarbu Państwa, niezależnie od tego, w jakiej akurat były kondycji finansowej. KGHM miała wówczas poważne kłopoty i notowała straty rzędu 4–5 mld zł. Na minusie były też PGE (3 mld zł straty za 2015 r.), Tauron (1,8 mld zł za 2015 r.), Enea (1,1 mld zł za 2015 r.) czy też Lotos albo Polska Grupa Zbrojeniowa (obie kończące rok 2017 z wynikiem kilkuset milionów złotych na minusie). Poza tym zobowiązania do zapłaty przyjęły Energa, PZU, Orlen, Grupa Lotos, PGNiG, Grupa Azoty, Totalizator Sportowy, Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych, Giełda Papierów Wartościowych, Polski Holding Nieruchomości i PKO Bank Polski. Żadna z tych firm nie odmówiła udziału. Żadna nie przeprowadziła ekspertyz opłacalności ani szacowań ryzyka.

Przypadek PFN szybko okazał się szczególny nie tylko konstrukcyjnie. Wyszło na to, że chodzi o promocję rządu PiS. Już kilka miesięcy po podpisaniu aktu notarialnego, w 2017 r., kiedy część środowiska sędziowskiego protestowała przeciw przejmowaniu sądów przez Zbigniewa Ziobrę, PFN wydała 8,4 mln zł z pieniędzy koncernów na kampanię billboardową i telewizyjną dyskredytującą sędziów. Nagłaśniano pojedyncze przypadki patologii, uzasadniając tym polityczne przejęcie sądownictwa. Żeby móc płacić za tę propagandę, zmieniono zresztą pośpiesznie statut fundacji.

Kampania przeciw sędziom trwała, a PFN podpisała już umowę z amerykańską firmą White House Writers Group – to dziś kolejne śledztwo prokuratorskie. Wydano ponad 23 mln zł na przekonywanie amerykańskiego społeczeństwa i polityków, że niszczenie niezależnych sądów w Polsce jest potrzebne, bo oczyszcza się kraj z pozostałości komuny i korupcji. White House Writers Group jeszcze umawiała spotkania z kongresmenami, a PiS pieniędzmi koncernów opłacał sprzątanie po kolejnej wojnie ideologicznej – tym razem wymierzonej we wrogów narodu polskiego. Świat źle zareagował na nowelizację ustawy o IPN, która przewidywała trzy lata więzienia za publiczne szkalowanie narodu polskiego, co odczytano powszechnie jako próbę ograniczenia debaty o udziale Polaków w zbrodniach na Żydach. Jako odpowiedź polskiego rządu w zachodnich mediach pojawiły się kręcone za pieniądze PFN filmy opowiadające, ile Polacy wycierpieli od Niemców.

W 2018 r. Fundacja wydała 2 mln zł na kampanię dotyczącą zmian nazw ulic w miastach, ze szczególnym wskazaniem na Warszawę. Co było pokłosiem „ustawy dekomunizującej" nazwy polskich ulic. Tyle że zamiast na komunistach skupiano się na czymś innym. Przekonywano, że w sporze o nadanie jednej z głównych ulic stolicy imienia Lecha Kaczyńskiego chodzi właśnie o dekomunizację. Zmiany przeprowadzał związany z PiS wojewoda mazowiecki – wbrew stanowisku władz Warszawy. Oprócz byłego prezydenta nazwami stołecznych ulic próbowano upamiętnić wielu innych ówczesnych bohaterów pisowskiej narracji. Ostatecznie sąd nakazał przywrócić poprzednie nazwy ponad 40 ulicom, a tabliczki – m.in. z nazwiskiem Lecha Kaczyńskiego – zostały zdjęte i zastąpione poprzednimi.

Czyje sądy?

PFN opłacała też Fundację Republikańską, sponsorowała w Londynie konferencję krytycznie odnoszącą się do tendencji integracyjnych w Unii Europejskiej, finansowała film, w którym centralną postacią był urzędujący premier Mateusz Morawiecki, oraz kolejne projekty dotyczące Romana Dmowskiego, żołnierzy wyklętych czy Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej.

Za wierność linii partii odpowiadały wybrane przez partię osoby. Pierwszy zarząd – wieloletni radny PiS Cezary J. i późniejszy przewodniczący dyspozycyjnej wobec PiS Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Maciej Ś. – po wykonaniu

eprasa.pl 9f2fdbac8e

zadania poszedł wyżej w strukturach. Dziś obaj panowie mają prokuratorskie zarzuty. Na ich miejsce przychodzili następni prezesi, zawsze z tego samego klucza – w sumie ośmiu w siedem lat.

Po zmianie rządu zmieniono nie tylko zarząd PFN, ale i podejście do pieniędzy. Nowe zarządy części spółek zaczęły kwestionować zasadność finansowania fundacji, a nawet sposób jej ukonstytuowania. Niektóre firmy podjęły próby wycofania się z przedsięwzięcia, inne przestały płacić – tym bardziej że same miały kłopoty. Wiosną 2024 r. wypłaty wstrzymały PGE, Enea, Grupa Azoty, Polskie Koleje Państwowe, Tauron i Giełda Papierów Wartościowych. Część spółek oficjalnie tłumaczyła, że w ich ocenie fundacja nie realizowała celu polegającego na promowaniu polskiego rynku, m.in. kapitałowego. Niebawem obowiązek wpłat zakwestionowały też PKO Bank Polski, Energa, PWPW i Polski Holding Nieruchomości. Polska Grupa Zbrojeniowa przekonywała, że w kontekście wojny w Ukrainie – i notowanych przez spółkę strat – ma ważniejsze sprawy niż finansowanie fundacji. Wśród wciąż jeszcze płacących były tylko Orlen, KGHM i PZU – mimo krytycznych wypowiedzi o sensie istnienia fundacji. Za to Orlen płacił także z tytułu zobowiązań przejętych wraz z innymi spółkami – PGNiG i Grupą Lotos. Od początku istnienia fundacji sam Orlen przelał na nią prawie 70 mln zł.

Część zarządów poszła jeszcze dalej. Firmy nie tylko przestały płacić, ale też zażądały zwrotu tego, co dotąd wpłaciły. Enea, PKO BP, Tauron, PGE i GPW zażądały łącznie zwrotu 114 mln zł – plus odsetki. Enea powołała się na analizy prawne, Tauron nie upublicznił uzasadnienia, PGE podjęła próbę ugody dotyczącą kwot przekazanych w latach 2022–23, która ostatecznie zakończyła się brakiem porozumienia. – *Spółka Enea nabrała poważnych wątpliwości co do transparentności oraz zasadności wydatkowania środków publicznych przez fundację* – tłumaczy Berenika Ratajczak z Enei i dodaje, że poprzednie zarządy tej firmy zaakceptowały wydatki na rzecz PFN w łącznej kwocie 35 mln zł, ale nowy zarząd nie zgodził się na nie w kolejnych latach.

Kiedy już się wydawało, że dni fundacji są policzone, niespodziewanie z pomocą przyszedł korzystny dla PFN wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie – z powództwa PFN przeciw jednemu z fundatorów o zapłatę. Wyrok, który właśnie się uprawomocnił, w pełni potwierdził stanowisko PFN, że fundatorzy nie mogli jednostronnie przestać regulować wziętych na siebie zobowiązań. – *W rezultacie kilku innych fundatorów podjęło negocjacje ugodowe w celu całkowitego rozliczenia się z PFN* – mówi prezes Szudek. Sytuacja fundacji, która robiła się krytyczna, nieco się poprawiła. Spora część firm – np. zbrojeniówka czy Totalizator Sportowy – zapłaciła z wyrównaniem za poprzednie lata. – *Niestety, jest wciąż kilku fundatorów, którzy nie zmienili swojego stanowiska* – dodaje Maciej Szudek.

Jak żyć

Na początku tego roku zaczęto nawet mówić o likwidacji fundacji. Paradoks polega na tym, że zaległe wpłaty w praktyce to uniemożliwiają. Jeśli coś choćby formalnie jest do odzyskania, nie można zlikwidować wierzyciela. Tym bardziej że na kontach fundacji są dziesiątki milionów złotych, a do odzyskania pozostało kolejnych kilkadziesiąt. Dokładne sumy będą zapewne zależeć od wyników negocjacji.

Kolejny paradoks – potrzebujemy silnej instytucji, która nie tylko kompetentnie obierze narrację, lecz także skoordynuje działanie wszystkich resortów: od turystyki, poprzez eksport, dyplomację, sztukę, kulturę, sport, naukę, aż po edukację. I utrzyma relacje z biznesem, który zapłaci, jeśli nie będzie ryzyka wyrzucenia pieniędzy w błoto. A i same spółki, zmuszone przed dekadą do samoopodatkowania mimo strat, dziś notują rekordowe zyski i – jak nigdy dotąd – miałyby z czego składać się na promocję kraju. – *Rola podmiotu takiego jak nasz polega przede wszystkim na stwarzaniu przestrzeni dla przepływu rzetelnych i ciekawych informacji o Polsce w świecie. Wspieramy inicjatywy, które pokazują z jednej strony nasze zasoby kulturowe, a z drugiej sukcesy gospodarcze Polski, uznając te kwestie za równie ważne* – mówi Maciej Szudek. – *I mamy liczne dowody na to, że świat chce o tym słuchać.*

Fundacja sponsoruje stypendia artystyczne, wspiera Fundację Olgi Tokarczuk i opiekę nad polskimi zbiorami sztuki za granicą. Organizuje albo finansuje międzynarodowe festiwale promujące polskich muzyków, zasponsorowała np. azjatyckie tournée Orkiestry Filharmonii Narodowej z udziałem laureatów XIX Konkursu Chopinowskiego. Promowała też polską żywność w Barcelonie, polską zbrojeniówkę w Bukareszcie i polskie gry komputerowe w Szanghaju. Dofinansowała pomnik Marii Skłodowskiej-Curie w Lizbonie. Brakuje tylko rozpisanego planu budowania marki, który obowiązywałby kolejne rządy bez względu na ich stosunek do Matki Boskiej, Wiedźmina czy pierogów.



Spółka Tauron wspierała PFN, chociaż miała finansowe straty. Teraz żąda zwrotu pieniędzy.

Nie pomaga to, że sama fundacja przez większość czasu zajmuje się prowadzeniem spraw sądowych, pisaniem pozwów i prowadzeniem negocjacji. A to akurat marce „Polska" w żaden sposób nie służy. Co najwyżej – potwierdza stereotyp Polaka kombinatora.

MARTYNA BUNDA

© WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Kultura się opłaca

To nie tylko ważna część gospodarki, ale też narzędzie wzmacniania więzi społecznych, wyrównywania różnic między regionami i promocji kraju na arenie międzynarodowej.



Rzadko patrzymy na kulturę jako na inwestycję w rozwój Polski. Częściej myślimy o niej w kategorii kosztów w postaci różnego rodzaju dotacji. Tymczasem kultura tworzy wymierną wartość porównywalną ze znaczącymi gałęziami gospodarki. Jej udział w całym polskim produkcie krajowym brutto (PKB) wynosi ok. 2,5 proc. To wielkość zbliżona do udziału rolnictwa czy energetyki. W 2022 r. wartość dodana brutto kultury wyniosła ponad 70 mld zł. W sektorze kultury pracuje niemal 700 tys. osób (to niemal 4 proc. wszystkich zatrudnionych w naszym kraju), działa w niej prawie 150 tys. przedsiębiorstw. Ich liczba wzrosła między 2015 a 2024 r. aż o połowę. Dlatego nakłady na kulturę należy postrzegać jako inwestycję, która zwiększa aktywność polskiej gospodarki i wzmacnia potencjał naszego kraju.

Jest on ogromny w dziedzinie kultury, ale wciąż nie wykorzystujemy go w pełni na arenie międzynarodowej. Polska zajmuje 31. miejsce w rankingu Global Soft Power Index 2026, lecz dopiero 41. pozycję w filarze kultury i dziedzictwa. Jest to nasz najsłabszy wynik spośród wszystkich ocenianych aspektów. Oznacza to, że siła oddziaływania polskiej kultury na świecie pozostaje słabsza niż znaczenie innych obszarów. Tymczasem przykłady Korei Południowej, Szwecji, Danii czy Francji pokazują, że kultura może być istotnym elementem strategii gospodarczej. W 2024 roku eksport polskich dóbr kultury osiągnął równowartość 2,3 mld euro, a łączny eksport dóbr i usług związanych z kulturą – niemal 8 mld euro. Oznacza to, że mamy możliwości, by wykorzystywać kulturę w budowaniu rozpoznawalności Polski na arenie międzynarodowej. Konsekwentne wspieranie twórców, instytucji oraz obecności polskiej kultury za granicą to świetna metoda wzmacniania marki naszego kraju.



Ważnym mecenasem kultury w Polsce jest Totalizator Sportowy, który przekłada aktywność gospodarczą na wartość publiczną. Służą temu dwa uzupełniające się mechanizmy. W ramach pierwszego Totalizator Sportowy przekazuje dopłaty zasilające Fundusz Promocji Kultury, którym zarządza minister kultury i dziedzictwa narodowego, przeznaczając je między innymi na pomoc dla artystów i twórców, rozwój czytelnictwa oraz inne przedsięwzięcia artystyczne, w tym także edukacyjne. Od 2003 r. łączna wartość tych dopłat przekroczyła już 4,3 mld zł. Oznacza to, że każda kolejna złotówka wydana na gry liczbowe Totalizatora Sportowego wspiera również działania służące dobru wspólnemu.

Poza tym Totalizator Sportowy ze środków własnych wspiera instytucje, twórców i różne wydarzenia, zwiększając dostęp odbiorców do kultury. Partnerami Totalizatora Sportowego są m.in. tak znane instytucje jak Teatr Wielki – Opera Narodowa, Zamek Królewski w Warszawie, Zamek Królewski na Wawelu, Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum Narodowe w Krakowie, Muzeum Narodowe w Lublinie, Narodowe Forum Muzyki we Wrocławiu i Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie.

Totalizator Sportowy szczyci się tytułem Patrona Roku Andrzeja Wajdy 2026, jest partnerem m.in. Wielkanocnego Festiwalu Ludwiga van Beethovena (nieprzerwanie od trzynastu edycji), Olsztyn Green Festival, a także festiwali filmowych Nowe Horyzonty czy Dwa Brzegi w Kazimierzu Dolnym. Szczególny charakter ma współpraca Totalizatora z Narodowym Instytutem Fryderyka Chopina, obejmująca m.in. tytuł partnera głównego trzech ostatnich edycji znanego na całym świecie Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina, a także Festiwal „Chopin i jego Europa", Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny na Instrumentach Historycznych, Muzeum Fryderyka Chopina, Dom Urodzenia Fryderyka Chopina i Park w Żelazowej Woli. Totalizator Sportowy regularnie wspiera popularne gale i plebiscyty kulturalne, takie jak Gala Nike, Grand Press Photo, O!lśnienia oraz Nagrodę PAP im. Ryszarda Kapuścińskiego.

– *Najdojrzalszą formą zaangażowania przedsiębiorstwa w kulturę nie jest dziś ani czysta filantropia, ani czysty sponsoring. Jest nią długofalowe partnerstwo, w którym biznes otrzymuje reputację i społeczne znaczenie, kultura – zasoby i możliwość rozwoju, a artysta zachowuje to, co dla sztuki najważniejsze: wolność tworzenia* – zaznacza Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Działalność Totalizatora Sportowego ma zatem wymiar znacznie szerszy niż biznesowy. Gwarantuje stabilne finansowanie różnych inicjatyw i odpowiada na konkretne potrzeby społeczne. Firma zapewnia legalną i odpowiedzialną rozrywkę w ramach bezpiecznego systemu, a równocześnie część zysków wraca do społeczeństwa i wspiera cele publiczne, w tym działalność kulturalną. – *Aktywne współkształtowanie polskiego krajobrazu kulturalnego jest dla Totalizatora Sportowego elementem misji. Polska odporna, dysponująca rosnącą siłą oddziaływania i gotowa na wyzwania przyszłości to Polska, która inwestuje w kulturę. Im szybciej kultura zacznie być powszechnie postrzegana jako inwestycja, a nie koszt, tym lepiej dla całej wspólnoty Polek i Polaków* – podkreśla Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

Wpływ kultury wykracza daleko poza sceny, muzea czy instytucje. Uczestnictwo w kulturze rozwija kreatywność, otwartość, zdolność współpracy i rozumienia różnych perspektyw. Wzmacnia również zaufanie społeczne i więzi, które ułatwiają wspólne działanie. To właśnie te kompetencje i postawy stają się dziś podstawą innowacyjności, adaptacji do zmian oraz odporności organizacji i społeczności na kryzysy. Kultura tworzy więc kapitał, którego nie widać bezpośrednio w bilansach, ale który wpływa na jakość pracy, przedsiębiorczość i zdolność państwa do rozwoju. Wsparcie kultury rozwija nas – silniejsi i bardziej twórczy mieszkańcy budują nowoczesną gospodarkę, a stabilny system finansowania wzmacnia ten proces w długiej perspektywie.



Nie wszystko, co ważne, da się zmierzyć samymi wskaźnikami ekonomicznymi. Nie pokazują one w pełni, jak kultura podnosi jakość życia, wspiera edukację, pomaga budować relacje i wzmacnia poczucie wspólnoty. Daje przestrzeń do poznawania dziedzictwa, rozwijania wrażliwości i uczestniczenia w życiu społecznym niezależnie od wieku czy miejsca zamieszkania. Dlatego obok wartości dodanej, zatrudnienia i eksportu warto brać pod uwagę także efekty społeczne: pierwsze doświadczenie dzieci z kulturą, rozwój talentów, zachowanie lokalnej tradycji czy tworzenie miejsc spotkań dla mieszkańców. Z tego punktu widzenia środki przeznaczane na kulturę stają się inwestycją w dobro narodu i spójność społeczną.

Dla Totalizatora Sportowego to tworzenie realnej zmiany: poprzez finansowanie wspieramy ludzi i społeczności, nie tylko te w dużych miastach. Przykładowo dzięki wyjątkowej akcji „Gdy grasz, wszystko gra" dofinansowanie do lokalnych inicjatyw otrzymały projekty sportowe i kulturalne. W tej ostatniej kategorii mamy takie inicjatywy, jak modernizacja ośrodka kultury w Kłodzku oraz modernizacja sali widowiskowej Domu Kultury w Zgorzelcu, nowoczesna scena kultury w Muzeum w Łowiczu, modernizacja sali widowiskowej w Centrum Kultury i Promocji w Kocmyrzowie-Luborzycy (woj. małopolskie), miejsce kultury i spotkań w Łaskarzewie na Mazowszu, wyposażenie pracowni artystycznych Domu Kultury w Przyszowie na Podkarpaciu, likwidacja barier architektonicznych w bibliotece na Helu oraz modernizacja sal muzyczno-tanecznych domu kultury w Kościerzynie czy zakup książkomatu w Morągu (woj. warmińsko-mazurskie).

Naszym zadaniem jest także poszerzanie dostępu do kultury. Dlaczego? Samo zainteresowanie kulturą nie zawsze przekłada się na regularne uczestnictwo w niej – szczególnie w wydarzeniach na żywo. Dostęp do kultury, mimo wielu inwestycji ostatnich lat, poza największymi metropoliami pozostaje nierówny: zależy od miejsca zamieszkania, lokalnej oferty czy cenowej dostępności. Dlatego szczególnie ważne są projekty, które wychodzą poza największe ośrodki, docierają do nowych grup odbiorców i usuwają realne bariery uczestnictwa.

W ten sposób wsparcie kultury staje się nie tylko finansowaniem bieżących wydarzeń, lecz także inwestycją w więzi społeczne, edukację i jakość życia. Za każdą liczbą stoi konkretny człowiek i konkretna historia. Twarde liczby budują wiarygodność i pokazują skalę wpływu, ale dopiero pojedyncze opowieści pozwalają zrozumieć jego znaczenie. To twórca, który może rozwijać talent i dotrzeć do nowej publiczności. To instytucja, która chroni dziedzictwo i udostępnia je kolejnym pokoleniom. To wreszcie lokalna społeczność, która odzyskuje przestrzeń do spotkania i wspólnego działania. Totalizator Sportowy patrzy na kulturę we wszystkich tych wymiarach i wspiera ją w każdym z nich. – *Prawdziwy mecenat zaczyna się często tam, gdzie kończy się zwykła kalkulacja ekonomiczna* – podsumowuje Beata Stelmach, prezeska zarządu Totalizatora Sportowego.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Morze zboża

Wielu krajom Afryki i Azji grozi głód z powodu gwałtownie drożejącej pszenicy, której brakuje. Tymczasem Ukraina i Rosja, jej najwięksi eksporterzy, duszą się od nadmiaru ziarna, którego nie są w stanie wywieźć z kraju. Robi się poważny problem, także dla Polski.

JOANNA SOLSKA

Od sierpnia światowe ceny pszenicy wzrosły o 25 proc. Taras Wysocki, ukraiński minister rolnictwa, twierdzi, że w tym roku konsumenci na całym świecie zapłacą za zboże o 60 mld dol. więcej. Rosja i Ukraina są, a raczej były do tegorocznych żniw, największymi światowymi eksporterami pszenicy, dostarczały na globalny rynek 30 proc. zbóż. Ich największymi odbiorcami były kraje Afryki Północnej, zwłaszcza Egipt, a także Indonezja i kraje Bliskiego Wschodu oraz Turcja.

Zarówno ukraińskie, jak i rosyjskie zboże wypływało do odbiorców z portów czarnomorskich oraz Morza Azowskiego dzięki kruchemu porozumieniu Rosji z Ukrainą, zawartemu przy pomocy Turcji i ONZ. Głównym ukraińskim oknem na świat była Odessa, natomiast 40 proc. eksportu rosyjskiego ziarna szło z portów Noworosyjska i Tamania. Od trzech miesięcy śladu po porozumieniu już nie ma, a obie walczące strony atakują nie tylko barki ze zbożem, ale nawet kutry rybackie wroga. O wysyłce zboża drogą morską, do tej pory najtańszą, nie ma już mowy. Bombardowanie zboża zrujnowało obie strony.

Morze Czarne dla handlu żywnością stało się morzem martwym w sierpniu, od razu po żniwach. Z ukraińskich portów w Odessie czy Czarnomorsku, zbombardowanych przez rosyjskie drony, wypływało 90 proc. eksportowanej żywności, w sierpniu wysyłka zboża zmniejszyła się o 75 proc., teraz spadek szacuje się na 90 proc.

W całym 2025 r. Rosja 14 razy bombardowała statki z ukraińską żywnością, od lipca do września 2026 r. zaatakowała co najmniej 57 jednostek towarowych. Zginęło 200 osób. Ucierpiały nie tylko statki pod banderą ukraińską, ale też innych armatorów, którzy zarabiali na wywózce ukraińskiego zboża. Po atakach rakietowych na infrastrukturę portową i statki pod zagraniczną banderą armatorzy i ubezpieczyciele doszli do wniosku, że nie są w stanie oszacować ryzyka. Większość zrezygnowała z niepewnego zarobku, nieliczni ryzykanci mocno podnieśli ceny frachtu i polis.

Przez morze już nikt nie może

Tegoroczne globalne zbiory według USDA (Amerykańskiego Departamentu Rolnictwa) miały być o 2,5 proc. niższe niż przed rokiem, zwłaszcza w Europie. Dla Ukrainy okazały się jednak

eprasa.pl 9f2fdbac8e





korzystne, liczyła, że wyeksportuje 43 mln ton. – *Eksport zboża jest dla tego kraju najważniejszym obecnie źródłem gotówki, pozwalającym finansować wojenne wydatki* – twierdzi dr Andrzej Szabaciuk z Uniwersytetu Europy Środkowej w Lublinie.

Moskwa wysyłać przez morze też nie może, bo Ukraińcy odpłacają pięknym za nadobne. Rosyjskim zagłębiem zboża jest Kraj Krasnodarski, na południu. Stąd ekspediowano je do portów Noworosyjska, teraz zbombardowanych przez Ukraińców. Zboża nie ma gdzie przechować, magazyny są przepełnione. Pod plandekami nie przezimuje. 23 września gubernator Kraju Krasnodarskiego ogłosił stan wyjątkowy. „Moscow Times" donosi, że Rosja próbuje wysłać zboże przez porty bałtyckie i arktyczne, przez terminale, które wcześniej ładowały węgiel i nawozy.

Zdecydowała się nawet na korzystanie z niezamarzającego portu w Murmańsku, za kołem podbiegunowym. Żeby przewieźć do arktycznego portu zboże z południa kraju, trzeba pokonać 3 tys. km. Koszty transportu są od trzech do pięciu razy wyższe. Nie mogąc korzystać ze szlaku czarnomorskiego, Rosja zmienia kierunki swojego eksportu. Zamiast do Turcji, Egiptu czy Maroka więcej zboża wysyła przez Morze Kaspijskie i port w Astrachaniu do Iranu i Afganistanu.

Sytuacja Ukraińców jest podobna: obawiają się, że nie uda im się wysłać za granicę nawet 35 mln ton zboża, 10 mln ton zgnije w kraju. Ceny na rynku wewnętrznym spadły o 30 proc. Padł nie tylko transport morski, ale droższy i o mniejszej przepustowości transport Dunajem do rumuńskiej Konstancy. Nie tylko z powodu niskiego stanu wody w rzece. Rumunia dużo zainwestowała, także unijnych pieniędzy, w budowę infrastruktury umożliwiającej Ukrainie alternatywny transport zboża do odbiorców w Afryce Północnej, ale też do Turcji i krajów UE. Świetnie na nim zarabiała.

Alternatywny szlak miał jednak wadę – barki ze zbożem kawałek drogi z Konstancy musiały pokonać wzdłuż rumuńskiego wybrzeża Morzem Czarnym. Tak płynął z Izmaiłu do Włoch cywilny masowiec „Royal Mammadov" tureckiego armatora, transportujący ukraińską kukurydzę. Szlak wydawał się bezpieczny, Rumunia jest przecież członkiem NATO. 5 października statek zaatakowały dwa rosyjskie drony, „Royal Mammadov" zatonął, a wraz z nim dwaj członkowie załogi, w tym kapitan. Miał to być odwet Rosji za determinację Ukraińców w ściganiu jej floty cieni szmuglującej paliwa, aby ominąć sankcje. Dla Rosji źródłem pieniędzy na wojnę jest głównie ropa. Dlatego ignoruje usilne próby Turcji, aby skłonić ją do ponownego porozumienia zbożowego. Alternatywny szlak Dunajem przestał być bezpieczny.

Została droga lądowa. Ukraińcy chcieliby, aby ich zboże mogło przejeżdżać przez Rumunię pociągami i ciężarówkami. Proszą tamtejszy rząd o umożliwienie im większego tranzytu. Szlak lądowy jest jednak droższy, więc oczekują od UE 1,1 mld euro wsparcia za wyższe koszty transportu. Bruksela odnosi się do prośby z pełnym zrozumieniem, jednak pieniędzy nie przelewa.

Ukraińcy muszą się liczyć z tym, że w tak otwartej do tej pory na ich problemy Rumunii w przyszłym roku mogą się odbyć wybory parlamentarne. Wtedy bardziej niż pieniądze liczą się dla polityków nastroje wyborców. Na swoją prośbę już dostali ▶

© PAP/EPA/MAXYM MARUSENKO, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ odpowiedź odmowną: Bukareszt nie widzi możliwości zwiększonego tranzytu, ponadto obawia się, że większe ilości ukraińskiego zboża mogą spowodować obniżenie cen skupu na rumuńskim rynku.

Wojna podnosi ceny

Wiesław Gryń, duży producent pszenicy z Zamojszczyzny, nie patrzy rano w niebo, jaka jest pogoda, ale otwiera internet, żeby sprawdzić ceny zboża na paryskiej giełdzie MATIF. W połowie października za tonę pszenicy konsumpcyjnej, z dostawą w grudniu, można dostać 244 euro, czyli prawie 1070 zł. Warto poczekać. W portach Gdańska, Gdyni czy Szczecina płacą nieco mniej: od 940 do 1040 zł za tonę. Problem w tym, że trzeba zboże tam dowieźć, dlatego skupy na Zamojszczyźnie płacą mniej, odliczają sobie koszty transportu do portu.

To pierwsze żniwa od kilku lat, gdy polscy rolnicy nie protestują przeciwko zbyt niskim cenom zboża. Andrzej Bąk, analityk rynku zbożowego, porównuje aktualne ceny skupu z tymi sprzed roku, oficjalnie raportowanymi przez Ministerstwo Rolnictwa, i zapewnia, że za pszenicę konsumpcyjną skupy płacą obecnie o ponad 21 proc. więcej, rekordowo wzrosły też ceny kukurydzy. Im bliżej portu, tym cena wyższa, bo maleją koszty transportu. Rolnicy mają nadzieję, że będą jeszcze wyższe, przecież mocno zdrożało paliwo. Ci więksi, którzy korzystają z wiedzy analityków, zdają sobie sprawę, że gdyby doszło do porozumienia Rosji z Ukrainą, ceny na świecie znów spadną. Komentarzy na portalach rolniczych lepiej nie czytać, pozostając w nadziei, że piszą je boty.

W Polsce wciąż obowiązuje embargo na import czterech zbóż z Ukrainy. Skutki embarga, odwrotne do zamierzonych, odczuliśmy w Polsce na rynku rzepaku. Jego tegoroczne zbiory okazały się u nas wyjątkowo marne z powodu anomalii pogodowych, zakładom tłuszczowym brakuje surowca, ale dokupić go nie można, obowiązuje zakaz importu. Ukraińcy jednak nie zmarnowali ostatnich lat, zainwestowali w przerób rzepaku i teraz – jak wynika z doniesień Krajowej Administracji Skarbowej – kupujemy coraz więcej ukraińskiego oleju, na sprzedaży surowca Ukraińcom już nie zależy.

Mariusz Olejnik, plantator z Opolszczyzny, obawia się, że niektóre polskie zakłady tłuszczowe ograniczą produkcję, bo importowany olej jest tańszy niż rodzimy. Więksi plantatorzy zapowiadają, że zamiast rzepaku będą uprawiać soję, sprowadzaną obecnie z Ameryki Południowej; mniejsi rolnicy żądają od państwa wsparcia finansowego.

Niestabilna sytuacja powoduje, że rolnicy nie wiedzą, czy sprzedać zbiory już, póki ceny są wyższe, czy może poczekać, aż wzrosną jeszcze bardziej. Polscy rolnicy powrotu niskich cen nie chcą, cudza wojna im służy. Zwiększenia tranzytu ukraińskiego zboża przez nasz kraj i wyekspediowania go drogą morską przez nasze porty nadbałtyckie też sobie nie życzą, mimo że polskie porty mogłyby załadować więcej.

Do polskiego Ministerstwa Infrastruktury z prośbą o zgodę na zwiększony tranzyt zboża przez Polskę zwrócił się Witalij Hołownia, ukraiński wiceminister. Nie czekając na odpowiedź, pochwalił się w Kijowie, że w wyniku wstępnego porozumienia z Polakami przez nasz kraj tranzytem przejedzie, głównie do portów nad Bałtykiem, aż 6,5 mln ton zboża. Ukraińcy chcieliby je także dowozić do portów niemieckich i holenderskich. Rolnicy duzi i mali zjednoczyli się w proteście.

Wiesław Gryń, rolnik z Zamojszczyzny, jeden z przywódców protestów sprzed kilku lat, oburza się, że transport zboża do portu miałby odbywać się ciężarówkami, choć to nieekonomiczne; nie wozi się zboża samochodami powyżej 100 km. Nikt jednak nie zainwestował w modernizację kolei, żeby zboże, które do Polski wjechało po szerokich torach, mogło być przewożone wagonami przez nasz kraj. Także dlatego, że przez Morze Czarne było taniej.

Rolnicy na zwiększony tranzyt przez Polskę się nie godzą, bo nie wierzą w skuteczność kontroli każdego transportu przez Krajową Administrację Skarbową, w plomby celne ani elektroniczne; no i nie wierzą w zapewnienia, że w razie najmniejszych podejrzeń każdy transport może zostać prześwietlony promieniami RTG. Rząd nie ma ani tylu pieniędzy, ani ludzi. Polski Związek Producentów Roślin Zbożowych żąda od Ministerstwa Rolnictwa odpowiedzi na pytania, jakie działania zostaną podjęte, żeby tranzyt nie uderzył w polski rynek zbóż.

Rolnicy bombardują pytaniami

Zrzeszające kilkudziesięciu rolników Lubelskie Stowarzyszenie Rolnicze, powołane do życia przed zaledwie dwoma laty, bombarduje pytaniami Ministerstwo Infrastruktury. Czy rząd da gwarancję, że ziarno z tranzytu nie trafi na nasz rynek? Czy będzie przeładowywane w Polsce? Jak rząd zabezpieczy interesy polskich eksporterów zbóż, gdy przepustowość infrastruktury portowej się zmniejszy? Stowarzyszenie zwraca uwagę, że już teraz ceny zbóż na Lubelszczyźnie są niższe niż w głębi kraju. A co będzie, gdy ciężarówek z pszenicą wjedzie do Polski jeszcze więcej i ustawią się w wielogodzinnych kolejkach, czekając w portach na załadunek? Kto jest w stanie dać gwarancje, że zboże nie zostanie tutaj, jak w 2022 r.?

Pamięć tego jest świeża i poparta wynikami kontroli NIK. Mówią, że od marca 2022 przez rok wjechało do Polski z Ukrainy 4 mln ton zbóż oraz rzepaku i słonecznika. Tylko 0,7 mln ton pojechało do innych krajów, aż 3,4 mln ton pozostało u nas. Najchętniej ukraińskie płody rolne kupowali polscy producenci pasz i inni przetwórcy. Do tej pory ich lista krąży wśród rolników, chociaż oficjalnie nie została ujawniona. Pamiętają też, że pod wpływem protestów Unia przeznaczyła dla polskich rolników 29,5 mln euro rekompensaty. Jednocześnie Wspólna Polityka Rolna zaczęła się kruszyć, Bruksela zgodziła się na jeszcze większe rekompensaty, jakie swoim rolnikom przyznawały rządy poszczególnych krajów. Każdy dawał, na ile go było stać albo – jak Polska – jeszcze więcej.

Politycy szczególnie wrażliwi są na protesty przed wyborami. Rumuński minister rolnictwa zapowiedział, że możliwości zwiększenia tranzytu przez jego kraj nie widzi; w identyczny sposób odpowiedziało polskie Ministerstwo Infrastruktury. Korytarza solidarności nie będzie.

Ukraina swoich zbiorów zapewne nie sprzeda. Nie będzie pieniędzy na jesienne siewy, więc areał ziemi pod zboże będzie mniejszy, przyszłoroczne zbiory mogą się okazać nawet o 40 proc. niższe. Największym graczem na globalnym rynku zboża zostanie Rosja i będzie dyktować ceny światowe. Polscy producenci może nawet na zwyżkach cen zarobią, ale zapłacą za to konsumenci: w Polsce, w Unii, w krajach globalnego Południa. I Ukraina, blokowana nie tylko przez Rosję, ale też sojusznicze rządy, straszone protestami rolników.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Wypadek na autostradzie A2 i Lotnicze Pogotowie Ratunkowe w akcji

© ŁUKASZ MOZOLEWSKI/REPORTER

Targi pod wirnikiem

Już drugi raz z rzędu nie udało się dokupić śmigłowców dla Lotniczego Pogotowia Ratunkowego. Pogotowie przegrało nie z finansami, ale z polityką.

PAWEŁ WALEWSKI

W gabinecie dyrektora Lotniczego Pogotowia Ratunkowego (LPR) wisi mapa, jak w sali lekcyjnej, gdzie dzieci uczą się geografii. Z charakterystycznymi okręgami na obszarze Polski, nakładającymi się na siebie jak kręgi na wodzie. To mapa zasięgu operacyjnego LPR. Sześć baz całodobowych – Gdańsk, Warszawa, Lublin, Kraków, Wrocław, Poznań – i wokół każdej z nich idealny, geometryczny promień 60 km. Reszta kraju wypełniona jest 15 bazami dziennymi. Marcin Podgórski spogląda na nią codziennie. Po 20 latach w firmie – najpierw jako dyrektor regionalny w Szczecinie, później na samym szczycie – ma do mapy stosunek niemal intymny. I co sobie myśli?

– *Że byłoby dobrze, gdyby w tych sześciu bazach stały większe maszyny. Nie tylko te obecne, lekkie H135, które latają od półtorej dekady i których flota liczy dziś 27 sztuk, ale też z większą kabiną, większym zasięgiem i możliwością zabrania dwóch pacjentów naraz* – precyzuje. Wprowadzenie do służby większych śmigłowców miałoby kolosalne znaczenie przy zdarzeniach z dużą liczbą poszkodowanych. A czasy są takie, że ryzyko takich zdarzeń rośnie. ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ Okręgi na mapie nie są kaprysem. W brutalnej matematyce medycyny ratunkowej te 60 km to nienaruszalny fundament tzw. złotej godziny – krytycznego czasu od nagłego zagrożenia życia (np. wypadku) do rozpoczęcia specjalistycznego leczenia poszkodowanych w szpitalu. Helikopter potrzebuje zaledwie trzech minut na start od momentu wezwania, a pokonanie owych 60 km pochłania 15–18 minut lotu. Ekipa medyczna spędza kolejne 20 minut w błocie, na asfalcie lub w zgliszczach, by po następnych kilkunastu minutach dotrzeć z pacjentem do lądowiska przy szpitalnym SOR.

Tyle że świat rzadko składa się z idealnych okręgów. – *Mamy np. nieakceptowalną dziurę w Koszalinie* – wskazuje Podgórski. Śmigłowiec stacjonuje tam tylko latem, od czerwca do września. Sam doskonale pamięta wypadek busa na Pomorzu Zachodnim poza sezonem, gdy śmigłowce z Bydgoszczy, Gdańska i Szczecina musiały lecieć do ofiar ponad godzinę, by móc rozwieźć je do rzadkich w tym województwie szpitali specjalistycznych. Co innego Radomsko, tuż przy ruchliwej autostradzie Częstochowa–Łódź, formalnie otoczone okręgami z Krakowa, Kielc, Łodzi i Katowic, a jednak poza nimi. – *W tym regionie jest dużo szpitali, więc naziemne zespoły karetek wystarczą, by zagwarantować realizację złotej godziny.*

Większe śmigłowce to również większy zasięg. A ten zlikwidowałby problem uciążliwego dotankowywania, dzięki czemu w ciągu 60 minut w każdym punkcie Polski mogłyby się pojawić co najmniej dwa takie śmigłowce. Przede wszystkim jednak nowe helikoptery dysponowałyby fabrycznymi wciągarkami, umożliwiającymi realizację technik wysokościowych – lekarz mógłby zostać precyzyjnie opuszczony na stalowej linie tam, gdzie lądowanie jest fizycznie niemożliwe. – *Taką potrzebę pokazała nam powódź na Dolnym Śląsku, kiedy załogi LPR musiały ewakuować pacjenta z urazem głowy z zalanych działek pod Opolem przy użyciu belek alpinistycznych* – opowiada Podgórski.

Także pandemia obnażyła limity obecnej floty. LPR wykonało wówczas ponad sto transportów pacjentów podłączonych do skomplikowanej aparatury ECMO. Na pokładzie musiał być obecny kardioanestezjolog, a specyficzne warunki wymagały długich lotów bez międzylądowania. Lekkie helikoptery LPR były na to za małe, więc cywilni specjaliści musieli latać potężniejszymi wojskowymi śmigłowcami Sokół. Przelot małą maszyną z pacjentem w stanie krytycznym z Poznania do Warszawy niósł ryzyko czasochłonnego przymusowego tankowania.



Prof. Robert Gałązkowski, najdłużej urzędujący w historii szef Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, przypomina, że w światowym ratownictwie sprzęt wybierają ci, którzy fizycznie ryzykują na nim życie, a sztuczne pompowanie politycznych afer po prostu paraliżuje system.

Dlatego w ramach środków z Funduszu Medycznego Ministerstwo Zdrowia rozpisało konkurs na wykorzystanie 450 mln zł, a następnie Zakład Zamówień Publicznych ogłosił przetarg na zakup kilku większych maszyn. Trzon dzisiejszej floty to 27 lekkich śmigłowców ratowniczych Airbus H135, zakontraktowanych jeszcze w 2008 r. i dostarczonych na przełomie 2009/10 r. (ostatnie cztery dokupiono w 2015 r.). Spędziły w powietrzu łącznie ponad 125 tys. godzin i wykonały pół miliona lądowań (w samym 2025 r. obsłużyły 12 535 misji). I choć silniki wymieniono w ubiegłym roku, to unijne wymogi rosną, wprowadzane są nowe systemy awioniczne, a niektóre przestarzałe komponenty przestały być produkowane.

Tyle że polskie procedury przetargowe to przedzieranie się przez mgłę absurdów: 21 sierpnia 2026 r. ogłoszono całkowite unieważnienie przetargu. Było to już drugie fiasko po skasowaniu poprzedniego postępowania 28 maja.

W ostatniej próbie ofertę złożył zaledwie jeden producent – ten sam, który produkuje maszyny latające w obecnej flocie LPR – Airbus Helicopters Deutschland GmbH z niemieckiego Donauwörth. – *Komisja przetargowa ofertę odrzuciła, ponieważ nie spełniała ona jednego z parametrów lotnych w maszynach* – wyjaśnia dyrektor LPR. O co dokładnie chodzi, nie chce ujawnić. Ale wywołało to spekulacje, że za tą decyzją stała raczej trwoga przed polityczną burzą i posądzeniami, że resort kupuje maszyny od niemieckiego potentata, mając za nic krajowy przemysł, który również ma zagraniczny kapitał, ale o tym mówi się już mniej.

W rolę głównego poszkodowanego wcielił się zarząd PZL-Świdnik, firmy należącej do grupy Leonardo, ramię w ramię z zakładową Solidarnością. Polski zakład, chwalący się 75-letnią tradycją, poczuł się ostentacyjnie wypchnięty za burtę już w lipcu, kiedy w listach słanych do minister zdrowia oraz Sejmu jego władze kategorycznie dowodziły, że wymogi techniczne zostały skonstruowane tak, by zablokować ich udział i dopuścić na plac boju tylko jedną platformę od jednego „niemieckiego" producenta. Chociaż Airbus to wielkie konsorcjum europejskie, z centrum we francuskiej Tuluzie,

© ROBERT GAŁĄZKOWSKI/WIKIPEDIA CC BY-SA 4.0

eprasa.pl 9f2fdbac8e

mające fabryki w wielu krajach, także w USA i Chinach.

W obronie Świdnika szybko odnalazł się poseł Prawa i Sprawiedliwości, były wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, twierdząc, że resort zdrowia od tygodni doskonale wiedział, iż techniczne wymogi eliminują świdnickiego AW169. W dodatku fabryka w Donauwörth złożyła ofertę idealnie zrównaną z kwotą przeznaczoną na przetarg, udowadniając starą rynkową prawdę, że przy braku konkurencji to dostawca autorytarnie dyktuje cenę. Jego zdaniem tryb otwartego przetargu w sytuacji, kiedy było wiadomo, że i tak jest jeden potencjalny dostawca, był od początku błędem.

Z perspektywy dyrektora LPR sprawa jest kryształowo czysta: – *Świdnik do postępowania w ogóle nie przystąpił, nie złożył własnej oferty i, co najważniejsze, nie wykorzystał potężnego narzędzia, jakim jest zaskarżenie specyfikacji do Krajowej Izby Odwoławczej.*

Dla dyrektora zaletą jest posiadanie śmigłowców tego samego producenta. To pozwala budować jedną kadrę pilotów na bazie jednego centrum z drogim symulatorem lotów, ułatwia logistykę części zamiennych i obniża koszty mechaników, którzy do każdego nowego typu helikoptera potrzebowaliby oddzielnych certyfikatów oraz nowych narzędzi. Warto przypomnieć, że podczas pierwszego przetargu w 2008 r. (który ostatecznie wygrał Airbus) ówczesna Agusta, czyli dzisiejszy właściciel PZL-Świdnik, również złożyła swoją ofertę, która jednak okazała się gorsza.

Teraz, po unieważnieniu przetargu, LPR czeka prawdopodobnie powrót do tzw. dialogu technicznego, kiedy to zamawiający formalnie zaprasza oferentów i tygodniami dyskutuje z nimi o tym, co faktycznie są w stanie wyprodukować. To oznacza wydłużenie procedury o co najmniej pół roku. A ponieważ nowe helikoptery miałyby zostać odebrane do końca 2028 r., utrzymanie tego harmonogramu graniczy z cudem.

Na tę awanturę z politowaniem spogląda prof. Robert Gałązkowski, najdłużej urzędujący w historii szef Lotniczego Pogotowia Ratunkowego (w latach 2008–24). Były dyrektor przypomina, że w światowym ratownictwie sprzęt wybierają ci, którzy fizycznie ryzykują na nim życie, a sztuczne pompowanie politycznych afer po prostu paraliżuje system. – *Kiedy decydenci są pod presją, zaczynają się bać, a zabezpieczone pieniądze mogą po prostu przepaść* – kwituje Gałązkowski.

Stworzenie elitarnej kadry LPR zajęło długie lata. Kiedy w 2003 r. Marcin Podgórski, będąc ratownikiem medycznym w szczecińskim pogotowiu, dowiedział się o rekrutacji do powstającego LPR, nie było jeszcze wyrafinowanych testów na symulatorach, a szefowie oddziału LPR dzwonili po prostu do ordynatorów z pytaniem, czy nie ma lekarza, ratownika lub pielęgniarki do śmigłowca. Potem było kilkudniowe szkolenie w Warszawie. Ratownik musiał być w kokpicie rajdowym nawigatorem – z palcem na papierowej mapie przeliczał centymetry na kilometry, by wskazać pilotowi kurs. Podgórski ze zgrozą wspomina swój pierwszy samodzielny lot, gdy potwornie zestresowany musiał rozstrzygnąć na podstawie trzeszczącego radia z dyspozytorem, czy lecą ratować zatrzymanie krążenia w Bodzęcinie, czy może w Bożęcinie?

Prof. Gałązkowski doskonale pamięta lata przed 1999 r., gdy gotowość do startu wynosiła nieraz kilka godzin, bo ekipy kompletowano dopiero po zgłoszeniu wylotu, a niemal wszystkie z około tysiąca misji rocznie stanowiły zaplanowane transporty między szpitalami. Nowej formacji najbardziej bali się ci, od których zależało uruchomienie śmigłowca – dyspozytorzy medyczni. – *Dla nich to było coś niewyobrażalnego, pytali: kto za to zapłaci, gdzie ten śmigłowiec wyląduje?* – opowiada Gałązkowski, wspominając setki szkoleń i wmuszanie dyspozytorom map zasięgów. Problem polegał też na głęboko zakorzenionym absurdalnym lęku przed konkurencją. – *W kuluarowych rozmowach słyszeliśmy: dyrektor nam zabronił wzywać LPR, bo jak śmigłowiec za często będzie latał zamiast karetek, to zlikwidują w gminie pogotowie.*

Dziś Polska pod względem logistyki ratunkowej jest w światowej elicie. Dyspozytorzy nauczyli się w końcu patrzeć na poszkodowanego nie przez pryzmat najbliższego szpitala powiatowego, do którego można go dowieźć karetką, ale docelowego ośrodka wielospecjalistycznego.

– *Jeżeli mamy zdarzenie, w którym jest siedmiu poszkodowanych w bardzo ciężkim stanie, to ląduje teraz przy nich kilka śmigłowców* – podkreśla były dyrektor LPR. Latanie w nocy zaowocowało z kolei przeszkoleniem strażaków i wyznaczeniem, wspólnie z samorządami, ponad 3 tys. zabezpieczonych przez OSP lądowisk gminnych (zanim nowocześniejsze gogle noktowizyjne pozwoliły wreszcie lądować w nocy w przygodnym terenie). A dyspozytorom prof. Gałązkowski powtarza jak mantrę: większym problemem w systemie jest niewysłanie śmigłowca niż jego niepotrzebne wezwanie. System LPR działa, ale wobec dzisiejszych – także „przed-wojennych" – zagrożeń pilnie potrzebuje większych śmigłowców. Na już i na wszelki wypadek.

PAWEŁ WALEWSKI

PS 20 października podczas uroczystej gali w siedzibie redakcji POLITYKI twórca Lotniczego Pogotowia Ratunkowego prof. Robert Gałązkowski otrzymał tegoroczną nagrodę Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego.

REKLAMA

KLINIKA KROJANTY

Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KRĘGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty – Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398·56·56
tel. (052) 398·56·57
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:
rwę kulszową, wypadnięcia dysków, chroniczne zespoły bólowe kręgosłupa i głowy, powikłania choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa, następstwa i powikłania urazów układu kostnego, wiązadeł i stawów, migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:
po wylewach, po operacjach ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Dla nie za biednych i nie za bogatych



Towarzystwa Budownictwa Społecznego po latach zastoju budują więcej, bo dostały od państwa granty i tanie pożyczki. Chętnych na mieszkania o niższym czynszu jest mnóstwo. Ale nie wszyscy lokatorzy TBS są szczęśliwi.

Budynek TBS przy ul. Grójeckiej w Warszawie. Po prawej: jedno z trzech zaprojektowanych tu jednopokojowych mieszkań z antresolą. Łazienka w mieszkaniu przeznaczonym dla osoby niepełnosprawnej.

CEZARY KOWANDA

Skrzyżowanie ulic Bitwy Warszawskiej i Grójeckiej w Warszawie – jeden z najważniejszych punktów komunikacyjnych dzielnicy Ochota. Tramwajem można stąd dojechać w kwadrans do ścisłego centrum stolicy. Już niedługo tramwaj pojedzie też do przebudowanego Dworca Zachodniego, odległego zaledwie o kilometr. Tuż obok stoi hala targowa, w pobliżu znajduje się także Centralny Szpital Kliniczny WUM przy ul. Banacha. W takim właśnie miejscu stanął najnowszy budynek TBS w Warszawie, a w nim aż 205 mieszkań: 63 jednopokojowe (od 29 do 51 m kw., w tym trzy z antresolą), 76 dwupokojowych (od 36 do 49 m kw.) oraz 66 trzypokojowych (od 52 do 77 m kw.).

Na razie wszystkie są jeszcze puste, bo chociaż opublikowano już zarówno podstawową, jak i rezerwową listę najemców, trwa rozpatrywanie odwołań. Złożono prawie 900 wniosków, a w kategorii lokali jednopokojowych na każdy przypadało aż 11 kandydatów. 25 mieszkań dostosowanych jest do potrzeb osób z niepełnosprawnościami. Gdy listy najemców zostaną zatwierdzone, odbędzie się losowanie lokali. Żeby było sprawiedliwie. Mieszkania są wykończone pod klucz, z wyjątkiem kuchni. W niej na razie znajdziemy tylko kuchenkę i zlew. Resztę sprzętów lokatorzy będą musieli kupić sami. Za to łazienki są w pełni

eprasa.pl 9f2fdbac8e





© LESZEK ZYCH (3)

wyposażone. Nie trzeba się też martwić o podłogi ani o ściany. Wszystkie mieszkania mają przestronne okna, część również lodżie. Choć formalnie to jeden budynek o eleganckiej jasnej elewacji, podzielony został na cztery odrębne wieże o różnej wysokości (najwyższa liczy 10 pięter). Dzięki temu mieszkania są dobrze doświetlone. Inaczej niż w wielu inwestycjach deweloperskich, gdzie chodzi o to, żeby wycisnąć ile się da z kawałka gruntu. Przed nowym blokiem stoją ławki i rosną już niedawno posadzone drzewa oraz jedno wyjątkowe. To stara topola kanadyjska, uznana za Drzewo Roku w ubiegłorocznej edycji plebiscytu organizowanego regularnie przez stołeczny Zarząd Zieleni.

Na wysokim parterze mieszkań nie ma, są za to przestronne lokale użytkowe. W największym ma się znaleźć wspólna ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ przestrzeń: na warsztaty, swobodne spędzanie wolnego czasu, gotowanie, odpoczynek. To kolejna różnica w porównaniu z inwestycjami deweloperskimi, gdzie obszerne partery są przeznaczane głównie dla dyskontów, drogerii czy restauracji. Czyli dla tych, którzy płacą najwięcej.

Casting na lokatora

A ile przyszłych najemców będzie kosztować mieszkanie w takim atrakcyjnym miejscu stolicy? Mimo że nowy blok powstał za ponad 110 mln zł, opłaty partycypacyjnej, zazwyczaj pobieranej od lokatorów TBS przed wprowadzeniem, nie ma w ogóle. – *Inwestycja została zrealizowana we współpracy z miastem Warszawa oraz przy wykorzystaniu środków z Rządowego Funduszu Rozwoju Mieszkalnictwa i Krajowego Planu Odbudowy. Dzięki takiemu modelowi nie było konieczności finansowego angażowania przyszłych najemców* – wyjaśnia Marzena Gawkowska, rzeczniczka Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy. Czynsz, bez względu na wielkość lokalu, ma wynosić niespełna 29 zł za metr kwadratowy, czyli więcej niż w przypadku innych budynków TBS w stolicy. Do tego dojdą opłaty za ogrzewanie, odpady czy wodę. Mimo to najemcy zapłacą co najmniej o połowę mniej niż w przypadku zwykłego najmu komercyjnego w tej części miasta. Koszty użytkowania budynku mają być niższe dzięki nowoczesnym rozwiązaniom, takim jak panele fotowoltaiczne na dachach, magazyn energii oraz wentylacja mechaniczna.

O ile zasady opłat są proste, o tyle rekrutacja była skomplikowana. Punkt wyjścia to brak jakiegokolwiek mieszkania na własność czy spółdzielczego prawa do lokalu. Ta zasada dotyczy wszystkich członków gospodarstwa domowego składającego wniosek. Trzeba również mieszkać w Warszawie i rozliczać tu podatek dochodowy od co najmniej pięciu lat. Tradycyjnie TBS to opcja dla tych, którzy nie są ani zbyt biedni, ani zbyt bogaci. Ma być ich stać na umiarkowany, ale zdecydowanie wyższy czynsz niż w lokalach komunalnych, a kredyt hipoteczny byłby dla nich zbyt dużym obciążeniem. Single starający się o lokal przy Grójeckiej 91 mogli mieć miesięczny dochód w przedziale od ok. 5 tys. do niespełna 10 tys. zł. W przypadku gospodarstw dwuosobowych łączny dochód miał się kształtować między ok. 7 tys. a 14 tys. zł, a przy trzech wspólnie mieszkających osobach nie mógł być niższy od 9,6 tys. zł ani wyższy od 19,2 tys. zł. Jednak dochody mają znaczenie tylko w trakcie składania wniosku. Kto potem np. zacznie zarabiać lepiej, nie będzie musiał się wyprowadzać.



Szczególnie korzystnie potraktowano dotychczasowych najemców lokali komunalnych w Warszawie. Kto chce opuścić takie mieszkanie i przenieść się do TBS ze znacznie wyższym czynszem (w lokalach komunalnych wynosi on w stolicy średnio 13,50 zł za m kw.), jest szczególnie mile widziany, bo uwalnia przestrzeń, na którą czeka długa kolejka chętnych. Większe szanse na przydział mieszkań w nowym bloku TBS miały gospodarstwa domowe z osobami niepełnosprawnymi w stopniu znacznym oraz byli wychowankowie pieczy zastępczej (domy dziecka i rodziny zastępcze), jeśli nie ukończyli 30 lat. Na preferencyjne warunki mogli też liczyć wnioskodawcy, którzy ukończyli 60 lat.

Nowy blok zbudowała samorządowa spółka TBS Warszawa Południe, ale nabór na lokatorów przeprowadziło miasto. Postanowiło pomóc własnym pracownikom, więc dodatkowe punkty przyznano np. nauczycielom pracującym co najmniej od dwóch lat (ale nie dłużej niż przez pięć lat) w jednej ze stołecznych publicznych placówek oświatowych. Na specjalne względy mogli liczyć również pracownicy warszawskich instytucji kultury lub pomocy społecznej, a także ratownicy medyczni zatrudnieni w placówkach podległych miastu. Te grupy zawodowe miały jeszcze jeden przywilej: mogły rozliczać podatki w Warszawie przez minimum dwa lata, a nie pięć jak reszta kandydatów.

Mimo że formuła TBS jako polskiej wersji społecznego budownictwa czynszowego powstała ponad trzy dekady temu, to tego typu lokali jest w Polsce wciąż niewiele. Chociaż w całym kraju działa ponad 300 TBS, łączny ich zasób szacowany jest zaledwie na ok. 114 tys. mieszkań. To mniej niż 1 proc. wszystkich lokali mieszkalnych w Polsce, których mamy według GUS ok. 16 mln.

Spór o wykup

O ile w latach 90. TBS działały dość prężnie, o tyle później było znacznie gorzej. Jak podkreślają autorzy raportu Instytutu Rozwoju Miast i Regionów, w latach 2010–15 w Banku Gospodarstwa Krajowego nie było środków na nowe inwestycje. Teraz kredyty są łatwiej dostępne, a TBS mogą liczyć także na bezzwrotne granty z Funduszu Dopłat, sięgające nawet 45 proc. kosztów inwestycji. Do tego niedawno doszło wsparcie z KPO, odblokowanego po odejściu od władzy PiS.

W poprzedniej dekadzie rocznie oddawano średnio ok. 1,5 tys. mieszkań w ramach inwestycji TBS. W 2025 r. było ich ponad 4 tys., a w tym roku wynik będzie zapewne jeszcze lepszy. W tej puli są też od niedawna lokale budowane przez Społeczne Inicjatywy Mieszkaniowe (SIM). To określenie wymyślone za czasów PiS, gdy próbowano ratować politykę mieszkaniową partii po kompromitacji programu Mieszkanie Plus. W rzeczywistości SIM i TBS działają na tych samych zasadach – dostają od samorządów albo z Krajowego Zasobu Nieruchomości grunt na preferencyjnych warunkach, a potem mogą starać się o nisko oprocentowane kredyty i o granty. Różnica jest tylko taka, że SIM mogą wspólnie tworzyć różne gminy, co ma pomóc rozwinąć się budownictwu społecznemu w mniejszych miastach.

Kłopot w tym, że część mieszkańców TBS wcale nie jest zadowolona. Spory wywołuje zwłaszcza kwestia tzw. dojścia do własności, a mówiąc prostszym językiem – tego, czy, kiedy i na jakich warunkach można wykupić otrzymany lokal.

eprasa.pl 9f2fdbac8e

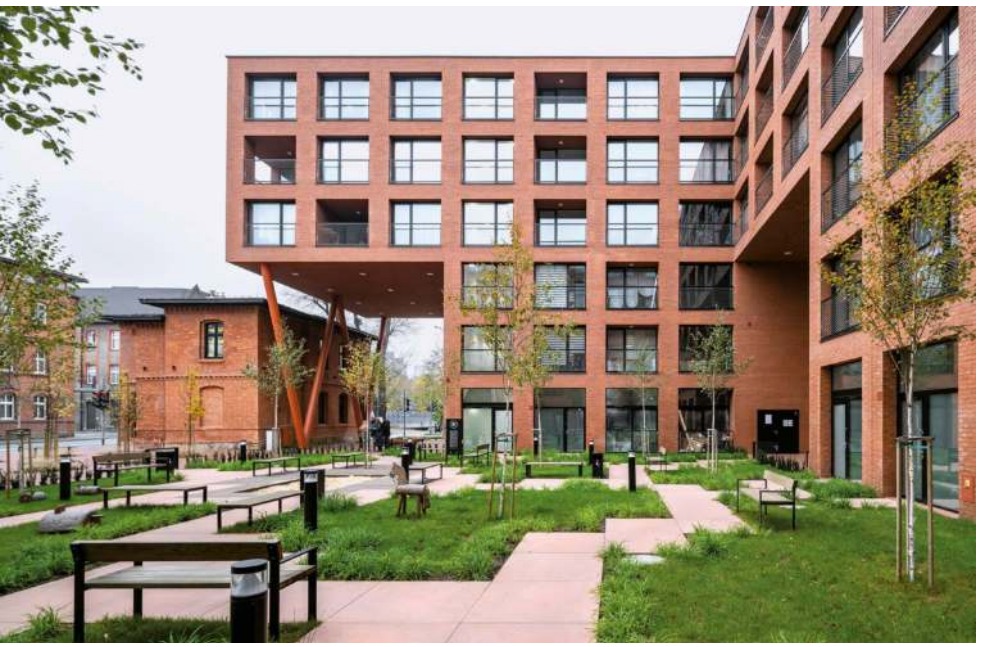

Wzorcowy budynek TBS „Ajnfart" w Rybniku zdobył w 2025 r. Nagrodę Architektoniczną POLITYKI

– *To skutek wielu niedomówień i obietnic składanych kiedyś przez lokalnych polityków. Część najemców przekonuje, że gdy starali się o lokal w TBS, zapewniano ich o możliwości wykupu na własność lokalu po upływie np. kilkunastu lat. W rzeczywistości takie rozwiązania istnieją od 2011 r., choć wielokrotnie się zmieniały. Nie oznacza to jednak, że najemcom przysługuje automatyczne prawo do wykupu mieszkania. Co do zasady wymaga to zgody TBS. W praktyce według naszych danych zaledwie ok. 20 mieszkań zbudowanych w formule TBS przeszło na własność ich lokatorów w całej Polsce* – podkreśla Kamil Nowak, kierownik Zakładu Mieszkalnictwa w Instytucie Rozwoju Miast i Regionów, współautor raportu o TBS.

Kwestia przejmowania własności mieszkań wciąż budzi emocje, bo – inaczej niż w przypadku nowego bloku TBS w Warszawie – zdecydowana większość najemców przed zamieszkaniem wnosiła i wciąż wnosi opłatę partycypacyjną. Może ona sięgać aż 30 proc. kosztów budowy, chociaż zazwyczaj jest niższa. Wynosi jednak często kilkadziesiąt, a nierzadko nawet ponad 100 tys. zł, co odstrasza część zainteresowanych. Nie jest to odpowiednik wkładu własnego przy kredycie mieszkaniowym. Ta opłata działa na zasadzie depozytu – kto opuszcza TBS, otrzymuje ją zwaloryzowaną z powrotem. Jednak wielu najemców uważa, że powinna im dawać prawo do wykupu lokalu po kilkunastu latach – i to na preferencyjnych warunkach. Podkreślają, że przez ten czas w ramach czynszu spłacają kredyt zaciągnięty na budowę bloku, a do tego dokonują licznych modernizacji i remontów swojego lokalu. Spółki zarządzające TBS odrzucają takie argumenty i najczęściej nie chcą słyszeć o żadnym wykupie.

Politycy są natomiast podzieleni. Jedni są gotowi dać lokatorom możliwość nabycia takich mieszkań (w 2025 r. wbrew stanowisku rządu wprowadzono taką opcję w przypadku SIM w miastach poniżej 100 tys. mieszkańców), inni wskazują na niebezpieczeństwo prywatyzacji zasobów TBS. Skoro powstały ze wsparciem publicznym, nie powinny zostać wykupione, bo byłoby to nieuczciwe wobec podatników. Poza tym mógłby powtórzyć się scenariusz prywatyzacji mieszkań komunalnych, których dziś tak brakuje, a przez lata miasta się ich pozbywały, sprzedając je dotychczasowym lokatorom na bardzo preferencyjnych warunkach. Chodzi o to, żeby zasób TBS – wciąż dość skromny – rósł, a nie malał, bo tylko wówczas osoby zarabiające nie za dużo i nie za mało będą mieć większe szanse na przydział takiego lokalu.

Ile za metr?

Nie tylko sam wykup, ale i wysokość bieżących czynszów w TBS budzą emocje. Te są bardzo zróżnicowane – średnia stawka według raportu Instytutu Rozwoju Miast i Regionów wynosiła w 2025 r. 14 zł za metr kwadratowy, ale rozpiętość była ogromna: od 3,60 zł do niemal 25 zł. Pojawiają się też stawki przekraczające 30 zł, zwłaszcza w TBS kontrolowanych przez prywatne firmy. Same towarzystwa bronią się, wskazując, że i tak nie wykorzystują możliwości, jakie dają im przepisy. Zgodnie z nimi maksymalny czynsz w TBS i SIM nie może przekraczać 4 lub 5 proc. wartości odtworzeniowej w danej gminie. W praktyce oznacza to, że czynsz mógłby np. w Warszawie czy we Wrocławiu sięgać ok. 45 zł za metr kwadratowy, w Krakowie, Gdańsku czy Poznaniu – ok. 40 zł, a w Szczecinie 35 zł.

Część lokatorów TBS czuje się mimo to traktowana nieuczciwie, niektórzy idą nawet do sądów, żeby zablokować podwyżki czynszów. – *Często się zdarza, że po spłaceniu kredytu za budowę bloku spółka TBS nie chce obniżyć mieszkańcom czynszu. Zdarzają się również przypadki nieuzasadnionego podwyższania funduszu remontowego. Często nie wiemy, za co płacimy* – mówi Magdalena Nowak, prezeska Fundacji Obywatel TBS. We Wrocławiu lokatorzy powołali Radę Mieszkańców TBS. Jednak nie jest to odpowiednik wspólnoty czy spółdzielni mieszkaniowej. Bo formalnie mieszkający w TBS czy SIM to zwykli lokatorzy, a nie właściciele. Nie mają zatem żadnego wpływu na zarządzanie budynkami. Spółki TBS o tym dobrze wiedzą i między innymi dlatego panicznie boją się wykupu mieszkań. W takim przypadku powstałyby bowiem wspólnoty, które zaczęłyby przejmować kontrolę nad kolejnymi blokami.

Renesans TBS w połączeniu z nowymi SIM może szybko się skończyć, jeśli wyschnie strumień z kredytami i grantami. Z punktu widzenia gmin społeczne budownictwo czynszowe to rozwiązanie korzystne, bo inaczej niż w przypadku lokali komunalnych można ustalić miesięczne opłaty na wyższym poziomie i nie trzeba obciążać lokalnego budżetu dotacjami. Niestety wciąż brakuje transparentności, co pokazuje najnowszy spór w SIM Zagłębie. Chociaż bloki powstały tam niedawno, mieszkańcy już skarżą się, że ich oszukano, bo obiecywano możliwość wykupu lokali w przyszłości. Z punktu widzenia potencjalnych lokatorów SIM czy TBS najważniejsze jest, żeby politycy takimi mieszkaniami wciąż się interesowali, a nawet próbowali się na nich promować. Bo tylko w takiej sytuacji będą pieniądze na stawianie kolejnych bloków takich jak ten na warszawskiej Ochocie.

CEZARY KOWANDA

© LECH MAZURCZYK, JAKUB CERTOWICZ

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Współpraca na minusie

Co zrobić z niesolidnymi, ale ważnymi partnerami, gdy nie płacą należności? To poważne wyzwanie dla małych i średnich firm.



© ROMAN R/SHUTTERSTOCK

Odroczony termin płatności to powszechne rozwiązanie w rozliczeniach między firmami. Faktura z terminem zapłaty za 14, 30 czy 60 dni jest rodzajem nieoprocentowanego kredytu. Sprzedawca za własne pieniądze kupuje towar, opłaca pracowników, transport i podatki, czekając, aż kontrahent ureguluje należność. Im większy kontrakt i dłuższy termin zapłaty, tym więcej własnych pieniędzy trzeba zaangażować, zanim zapłata pojawi się na koncie. Z badania Krajowego Rejestru Długów „Relacje asymetryczne w biznesie" z 2025 r. wynika, że zdaniem 60 proc. małych i średnich przedsiębiorstw duże firmy kredytują działalność kosztem mniejszych podmiotów, narzucając wydłużone terminy płatności.

Najpoważniejszy problem pojawia się, gdy kontrahent nie reguluje należności w ustalonym terminie. To duże ryzyko dla mniejszych firm – mogą stracić płynność finansową i nie będą mieć środków na kolejne zlecenia. Niestety, mówimy o zjawisku powszechnym. Badanie „Czy dłużnik to jeszcze klient", zrealizowane przez IMAS International na zlecenie firmy windykacyjnej Kaczmarski Inkasso w sierpniu tego roku, potwierdza, że problem opóźnionych płatności dotyka większość firm sprzedających z odroczonym terminem. W ostatnich 18 miesiącach z taką sytuacją zetknęło się aż 83 proc. ankietowanych przedsiębiorców.

Co wówczas robią firmy z niesolidnymi partnerami? Aż trzy czwarte nie zrywa kontaktów z dłużnikami. Dlaczego? 35 proc. pytanych przedsiębiorców przekonuje, że mieli wcześniej dobre doświadczenia z takimi klientami. Tyle samo wyznaje zasadę: lepiej dostać pieniądze później, niż stracić kontrahenta. Jedna trzecia wskazuje, że klienci spóźniający się z zapłatą regularnie składają zamówienia. Prawie co trzeci ankietowany bierze pod uwagę trudną sytuację dłużnika, a 28 proc. przekonuje, że warto dać mu drugą szansę. – *Jeśli klient od kilku lat regularnie zamawia i wcześniej płacił bez problemów, jedno opóźnienie nie musi przekreślać współpracy. Przedsiębiorca powinien jednak przeanalizować, czy ma do czynienia z przejściowym brakiem gotówki, czy z klientem, który zaczął finansować swój biznes jego kosztem* – mówi Jakub Kostecki, wiceprezes Zarządu Kaczmarski Inkasso.

Jak ma wyglądać dalsza relacja z dłużnikiem? Okazuje się, że ci, którzy mimo opóźnień w zapłacie faktur kontynuują współpracę, często wymagają opłacenia poprzedniej faktury przed kolejnym zamówieniem. Taką zasadę wprowadziło 40 proc. badanych. 32 proc. zaczęło pobierać zaliczkę przy nowej transakcji, a 28 proc. poinformowało kontrahenta, że następne opóźnienie skończy się przekazaniem sprawy do windykacji. Co piąta firma skróciła termin odroczonej płatności. Z drugiej strony aż 46 proc. firm, które dały kontrahentowi drugą szansę po znacznym opóźnieniu płatności, nie zmieniło warunków współpracy. Najnowsze badanie Kaczmarski Inkasso przynosi niepokojące wnioski. Wśród przedsiębiorców, którzy postanowili nadal robić interesy z niesolidnymi płatnikami, tylko 15 proc. nie miało później problemów z żadnym z nich. U pozostałych 85 proc. zaległości pojawiły się ponownie przynajmniej w niektórych relacjach. Aż u 43 proc. dotyczyło to połowy lub większego odsetka partnerów.

Zatory płatnicze to poważny problem dla całej gospodarki. Prezes UOKiK może nałożyć kary na firmy, które spóźniają się z płatnością faktur. Każdy ma prawo poinformować UOKiK o problemie z kontrahentem, ale urząd wszczyna postępowanie administracyjne, gdy suma wartości opóźnionych świadczeń (w okresie trzech kolejnych miesięcy) wynosi w przypadku konkretnej firmy co najmniej 2 mln zł. – *UOKiK nie prowadzi windykacji należności na rzecz indywidualnych przedsiębiorców. Postępowania dotyczące nadmiernego opóźniania się ze spełnianiem świadczeń pieniężnych prowadzone są w interesie publicznym. Ich celem jest przeciwdziałanie zatorom płatniczym i poprawa dyscypliny płatniczej na rynku, a nie dochodzenie konkretnych roszczeń jednego wierzyciela* – mówi Maciej Chmielowski z Departamentu Komunikacji UOKiK. W przypadku każdego przedsiębiorcy kluczowe pozostaje zatem szybkie reagowanie na zaległości oraz ocena, kiedy i na jakich warunkach warto dłużnikowi dać drugą szansę.

PIOTR CYMERMAN

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Firmowy plan na niezapłacone faktury

Przy dziesiątkach czy tysiącach faktur odzyskiwanie zaległości wymaga stałej obsługi. Kaczmarski Inkasso łączy rozmowy z dłużnikami, raportowanie o postępach i pomoc prawną. Wspiera firmy, które niezależnie od wielkości regularnie przekazują wiele spraw do windykacji.

Chodzi o należności od klientów indywidualnych i biznesowych: abonamenty, raty kredytów, pożyczek i leasingu oraz płatności za towary i usługi.

Liczą się sprawy, nie etaty

Mała firma z niewielkim zespołem może wystawiać wiele faktur lub faktury na wysokie kwoty i co miesiąc mierzyć się z nową partią zaległości. O potrzebie zewnętrznego wsparcia przesądzają więc liczba i wartość należności oraz powtarzalność spraw.

Kaczmarski Inkasso odzyskuje pieniądze dla banków, telekomów, firm pożyczkowych i leasingowych, ubezpieczycieli oraz MŚP z różnych branż. Z każdą firmą ustala indywidualny plan: jak szybko reagować na zaległości, jak rozmawiać z dłużnikami, kiedy proponować raty lub ugodę, a kiedy włączyć prawników. Klient ma wpływ na te decyzje, a specjaliści korzystają z ponad 30-letniego doświadczenia, by podpowiedzieć, które działania najlepiej się sprawdzą.

Firma pozostaje wierzycielem: zleca odzyskanie należności, nie sprzedaje ich. Może wdrożyć monitoring płatności, windykację polubowną, a w razie potrzeby skorzystać z obsługi sądowej i egzekucyjnej Kancelarii Prawnej VIA LEX. Strony ustalają też, które zadania przejmie firma windykacyjna, a które nadal będą wykonywać pracownicy klienta.

Zanim zadzwoni negocjator

Plan działania uwzględnia kwotę zadłużenia, długość opóźnienia, wcześniejsze wpłaty i przebieg rozmów. Przed pierwszym telefonem trzeba ustalić, kiedy kolejne partie spraw trafią do obsługi i jak szybko Kaczmarski Inkasso dowie się o wpłacie bezpośrednio na konto wierzyciela. Pomaga to uniknąć wysyłania wezwań do dłużników, którzy już zapłacili. Klient wie też, kto w firmie windykacyjnej zatwierdza ugody, wyjaśnia reklamacje i odpowiada za bieżącą współpracę.

Monitoring przypomina o terminach płatności. W windykacji polubownej negocjatorzy korzystają z telefonu, SMS-ów, e-maili i tradycyjnej korespondencji, a w uzasadnionych przypadkach także z działań terenowych. Muszą jednak ustalić, czy dłużnik ma rzeczywiste trudności, czy odwleka zapłatę. Raty powinny uwzględniać domowy budżet konsumenta lub sytuację finansową firmy.

– Jeśli klient kwestionuje wykonanie usługi, najpierw trzeba poznać jego zastrzeżenia i je wyjaśnić. Wysyłanie kolejnych wezwań bez sprawdzenia reklamacji może tylko przedłużyć spór – podkreśla **Jakub Kostecki, wiceprezes Zarządu Kaczmarski Inkasso.**

Firmy często chcą odzyskać pieniądze i utrzymać sprzedaż. Z badania „Czy dłużnik to jeszcze klient", przeprowadzonego z inicjatywy Kaczmarski Inkasso wśród MŚP, wynika, że 74 proc. nadal sprzedawało z odroczonym terminem części odbiorców, którzy wcześniej płacili po terminie. U 85 proc. firm kontynuujących takie relacje zaległości wróciły.

– Jeśli strony uzgodnią spłatę w ratach, sprawdzamy wpłaty i reagujemy, gdy dłużnik nie dotrzymuje ustaleń – wyjaśnia **Ewa Połczyńska, dyrektor Departamentu Sprzedaży Usług Windykacyjnych Kaczmarski Inkasso.**

Ile pieniędzy wróciło

Stałą obsługę nadzoruje menedżer, który analizuje pracę zespołu i raportuje wyniki. Liczą się odzyskane kwoty, czas do wpłaty, dotrzymywanie ugód i koszty. Porównuje podobne grupy spraw, bo świeże zaległości mają inne szanse na spłatę niż stare długi. Klient może kontrolować jakość obsługi, ochronę danych i przestrzeganie limitów częstotliwości kontaktu.

Nie każda sprawa kończy się wpłatą. Wtedy wsparcia udziela VIA LEX, która sprawdza dokumenty, przygotowuje pozew i reprezentuje wierzyciela w sądzie. Po uzyskaniu tytułu wykonawczego może, w uzgodnieniu z klientem, skierować sprawę do komornika i monitorować egzekucję. Także wtedy możliwe są dalsze negocjacje z dłużnikiem.



Materiał przygotowany przez Kaczmarski Inkasso Spółka Jawna.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Młodzi Francuzi mają powody, by czuć się obywatelami drugiej kategorii. Ale ich gniew został podpalony przez politycznych radykałów, którzy chcieliby obecną Republikę wysadzić w powietrze.

MAREK OSTROWSKI

Rany Marianny

Stutysięczne manifestacje w wielu miastach. Noce pożarów i zniszczeń. Tysiące zatrzymanych, godziny policyjne. Zrozumiałe żądania, ale też bezrozumny wandalizm, złodziejstwo, podpalenia, rozróby. Policja często wydaje się zaskoczona i bezradna. Francja jest w kryzysie, nawet w chaosie. I to przed ważnymi dla całej Europy wyborami prezydenckimi już wiosną 2027 r.

Na transparentach i hasłach często pojawia się wielka rewolucja 1789 r. i szturm na Bastylię. Jasne, że większość Francuzów sympatyzuje z młodymi, kiedy żądają lepszych warunków w szkołach i powołują się na francuską tradycję burzliwych manifestacji ulicznych. Jednak w tym samym miejscu widzimy bezprzykładną przemoc i zwykłą bandyterkę, usprawiedliwiane przez ultralewicowych „przyjaciół ludu". Alexis de Tocqueville pisał, że podczas rewolucji marzenia biorą górę nad rzeczywistością, a Francuzi zawsze przeceniają siły aktualnej władzy, żądając od niej przywrócenia porządku.

Nie poznajemy współczesnej Francji. Zawsze próbowała „bić się powyżej swojej wagi". Ale miała powody do dumy: inteligencka Francja szczyciła się zawsze duchem nauczycielskim, armią ludzi oddanych wartościom republikańskim, optymistów,

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Zamieszki w Paryżu, 17 października

racjonalistów. Ciągle jest tam wysokie czytelnictwo, szacunek dla wiedzy. Pisarze i intelektualiści dotychczas odgrywali rolę autorytetów społecznych i politycznych. Prochy poetów i artystów wnoszono do Panteonu.

Może jednak nie dostrzegamy przepaści między patetyczną frazeologią państwa a „szarym Francuzem"? Nigdzie indziej w Europie nie ma takiego ogromu symboli. Na każdej szkole, na każdym urzędzie widnieje rewolucyjna dewiza: wolność, równość, braterstwo. Od czasów rewolucji Francuzi żyją w kraju, którego umowa społeczna zakłada równość. Zaraz, zaraz, jaka równość?

Dzieci kontra rodzice

Najpierw przyjrzyjmy się bliżej tej masie 2,5 mln licealistów, z których wielu wyszło na ulice przeciw rządom Emmanuela Macrona. Wielu Francuzów ma już dość swojego prezydenta, ale Macron wcale nie jest gorszy od poprzedników; przeciwnie – na wielu polach jest zdecydowanie lepszy. Nie tyle coś zawalił, ile raczej za wiele obiecał. Aby zdobyć władzę, utworzył ruch pod hasłem „Naprzód!", zapowiadał reformy, o których we Francji mówi się od dziesięcioleci, ale w końcu nigdy nie wdraża. W 2017 r. wydał książkę pod znamiennym tytułem „Rewolucja". I pisze w niej tak: „Jestem za realizacją pewnego projektu, za nawiązaniem do francuskiej Historii i dynamiki postępu, żeby naszym dzieciom żyło się lepiej niż naszym rodzicom". To właśnie się nie udało!

Teraz, po dziesięciu latach prezydentury Macrona, wszystkim, którzy mają dzieci, wiadomo, że droga do kariery jest bez porównania trudniejsza niż w poprzednim pokoleniu. Panuje dużo większa konkurencja w wyścigu do ciekawej i dobrze płatnej pracy. Dwa pokolenia wcześniej zaledwie 30 proc. uczniów dochodziło do matury. Socjalistyczny rząd w 1981 r. postawił sobie za cel, by ten odsetek zwiększyć do 80 proc. To się udało, matura stała się niemal prawem człowieka. Ale co z tego? Start po naprawdę ceniony dyplom wyższej uczelni wymaga pieniędzy albo szczęścia w swego rodzaju loterii.

We Francji niemal cały los życiowy jednostki przesądza się między jej 18. i 21. rokiem życia. Dobrą przyszłość zapewniają nieliczne tzw. wielkie szkoły (*grandes écoles*), do których trzeba zdać trudne egzaminy. Przygotowują do nich – już po maturze – kursy w dwuletnich *classes préparatoires* (CPGE), których koszt jest poza zasięgiem przeciętnych rodzin. Zwłaszcza gdy trzeba dziecku zapewnić nie tylko utrzymanie, ale też mieszkanie. W dodatku wcale nie wiadomo, co z tego wysiłku finansowego wyniknie, bo nawet intensywna dwuletnia nauka nie daje gwarancji zdania egzaminu. Oczywiście można go zdawać zaraz po maturze, ale to raczej dla garstki wybitnie zdolnych szczęściarzy, którzy i tak muszą wygrać z tymi, którzy uczyli się dwa lata dłużej.

A to jeszcze nie koniec komplikacji. Rządowa platforma internetowa Parcoursup, na której maturzysta może umieścić swoje wybrane siedem uczelni, funkcjonuje często z opóźnieniem i arbitralnie. Słychać wiele skarg, że przydziela kandydatów do szkół wyższych bez uwzględnienia ich preferencji i wiedzy, a tłumaczy swe decyzje koniecznością skomponowania odpowiedniego składu społecznego na uczelni.

Liczy się dziś

Na to wszystko trzeba patrzeć w szerszym kontekście. Sztuczna inteligencja stwarza dużo większą niepewność przy wyborze zawodu. Młode pokolenie wie przecież o trudnej sytuacji gospodarczej, o rekordowym zadłużeniu państwa, o grożącej wojnie na wschodzie Europy, o kryzysie klimatycznym. Nie ma mowy o świetlanej przyszłości. Stąd liczne plakaty na obecnych manifestacjach mówiące o „skonfiskowanej (lub skradzionej) przyszłości" młodych.

Współczesna literatura nasiąkła zresztą tematem zablokowanego awansu społecznego w kraju równości i braterstwa. Annie Ernaux dostała literackiego Nobla w 2022 r. za twórczość, w której przedstawia swoją niełatwą życiową drogę. W POLITYCE (20/24) pisaliśmy też m.in. o socjologu Didierze Eribonie, który dopiero po śmierci ojca zdobył się na opowieść o paraliżującym wstydzie młodego człowieka „z ludu" i wysokiej cenie własnego awansu.

Wiadomo, że społeczeństwo francuskie premiuje finansowo nie młodych, lecz starsze pokolenia. Ekonomista Antoine Foucher tuż przed obecnymi manifestacjami opublikował książkę „Pour que nos enfants vivent mieux que nous" (fr. By nasze dzieci żyły lepiej niż my sami). Wylicza w niej, że w 1975 r. Francja przeznaczała na edukację mniej więcej tyle samo ile na emerytury ▶

© TELMO PINTO/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ (ok. 7 proc. PKB). Dziś nakłady na edukację praktycznie nie wzrosły, za to wydatki na emerytury podwoiły się w stosunku do PKB – to już 14 proc.

Oczywiście emerytów jest dziś dużo więcej, bo Francja się mocno postarzała. Jednak ta ewolucja demograficzna nie wpływa jedynie na gospodarkę, przesądza też o – jak to się patetycznie mówi – kluczowych wyborach dokonywanych przez naród. Tym bardziej zadziwia, że nikt tych wyliczeń nie bierze na serio. Egoizm pokoleniowy zwycięża? Foucher twierdzi, że – niezależnie od barw politycznych – podejmowane na szczeblu parlamentarnym decyzje sprzyjają przede wszystkim seniorom. Postuluje, żeby obok parlamentu stworzyć jakiś sejm międzypokoleniowy, w którym posłowie nie reprezentowaliby okręgów geograficznych, lecz odmiennie interesy pokoleń, by je jakoś zrównoważyć.

Tego rodzaju myślenie podtrzymują dwaj inni autorzy: znany socjolog Jérôme Fourquet, autor głośnej książki „L'archipel français" (fr. Archipelag francuski) o rozproszkowaniu społeczeństwa, oraz psychiatra Ruben Rabinovitch w „Homo occidentalis". Zwracają uwagę, że obecnie nie tylko we Francji, ale w ogóle na Zachodzie w życiu politycznym dominuje prezentyzm – zajmowanie się bardziej chwilą obecną niż planowaniem przyszłości. Dlatego francuskie społeczeństwo nie inwestuje w edukację. Prowadzi to również do nieśmiesznej konkluzji, że młodzież nie ma ekonomicznie racji, ponieważ jest demograficznie w mniejszości.

Wina Macrona?

Gdy w 2017 r. Macron wprowadzał się do Pałacu Elizejskiego, napełnił nadzieją wielu Francuzów. Ten energiczny bankier obiecywał zdecydowane reformy, gwarantował wzrost gospodarczy. Głosił bardzo nośne wówczas hasło: „Ani lewica, ani prawica". Chcąc przyciągnąć nowe inwestycje, pokaźnie zmniejszył podatek solidarnościowy od majątku, który płaciło 350 tys. najbogatszych francuskich rodzin. Z opodatkowania zwolnił wszelkie akcje, obligacje i inne aktywa finansowe, w wyliczeniu wartości majątku zostawiając jedynie nieruchomości. Obniżył też podatek od zysków kapitałowych i zaraz przypięto mu łatkę „prezydenta bogaczy".

Potem jednak poległ na reformie wieku emerytalnego. Chodziło o łagodne, rozłożone na wiele lat podniesienie wieku z 62 do 64 lat. Część Francuzów uznała, że emerytura to nie tylko pieniądze, lecz także czas na korzystanie z uroków życia, a Macron odbiera im cenne lata. Na nic się zdały trzeźwe wyliczenia, że nie ma kto zarobić na rosnącą rzeszę coraz bardziej długowiecznych emerytów.

Zaczęto mu brać za złe przeszłość bankiera. Małżeństwo z dużo starszą Brigitte, dawniej jego nauczycielką w liceum, początkowo tak podziwiane przez inne kobiety, stało się przedmiotem nie zawsze przyzwoitych żartów. Jakieś nieznaczące incydenty interpretowano jako wyniosłość i monarszy styl. Wielu uznało, że Macron nie odczytuje nastrojów społecznych. Najgorsze jednak, że pojawiły się opinie o jego politycznej samotności. Nawet najbliżsi współpracownicy, których sam przecież wybrał na premierów rządu, publicznie zarzucali mu, że nikogo nie słucha. Przestały też Francuzom imponować jego wysiłki w budowie skuteczniejszej Unii Europejskiej.

Po porażce jego centrowego ugrupowania w wyborach europejskich w 2024 r., w których we Francji zwyciężyła skrajna prawica Marine Le Pen, Macron rozwiązał Zgromadzenie Narodowe (choć nie musiał tego robić) i rozpisał nowe wybory. Okazało się to błędną kalkulacją polityczną. Pozycja Le Pen wcale nie osłabła, centrum się załamało, urosły skrajności, zwłaszcza Francja Niepokorna Jeana-Luca Mélenchona.

To nie Macron, lecz owe skrajności dziś rządzą Francją. Le Pen wytyka Macronowi słabość, nieradzenie sobie z przywracaniem porządku. A Mélenchon wspiera manifestacje i związki zawodowe. I choć te ugrupowania kręcą się w przeciwnych kierunkach, to niczym koła zębate wspólnymi siłami podnoszą społeczną temperaturę. Co gorsza, Mélenchon wcale nie piętnuje zadymiarzy i złodziei, którzy są odpowiedzialni za przekształcanie manifestacji w zamieszki miejskie.

Mer Tuluzy Jean-Luc Moudenc opisał, jak w jego mieście do 40-tysięcznego pochodu manifestantów przeniknęły dwie grupy przemocowe. Najpierw kontrolujący pochód związkowcy z CGT, centrali niegdyś współpracującej z partią komunistyczną, wpuścili na czoło manifestacji chuliganów ze skrajnej lewicy, w kominiarkach, uzbrojonych w młotki i łomy. A na końcu do pochodu dołączyli szabrownicy z różnych dzielnic miasta.

Prezydent odleciał

Zawalenie się spalonej podczas manifestacji wieży ratusza w Limoges symbolizuje sytuację dzisiejszego macronizmu. Rząd z jednej strony musi okazać jakąś sympatię zbuntowanym licealistom, a z drugiej przywrócić porządek w miastach. Tymczasem jedni merowie potępiają skalę represji (nie było nigdy dotąd tak wielu zatrzymań uczniów), a inni twierdzą, że to policja zawiodła. O Macronie Yves Thréard z dziennika „Le Figaro" napisał: „Gdy Francja tańczy na wulkanie, jak możemy zadowolić się krótką i pustą interwencją Emmanuela Macrona: niczym komentator obleciał po ekranach w niedzielę, a potem odleciał za granicę?". Chodzi tu o to, że zaraz po zajściach 17 października Macron wyjechał na europejski szczyt w sprawie Ukrainy.

I co dalej? Marine Le Pen, której sondaże dają bezwzględne zwycięstwo w wiosennych wyborach prezydenckich, krytykuje nieudolność rządu, ale kryzys bezpieczeństwa łączy z wieloletnią polityką migracyjną. W jej przekazie powracają hasła zaprowadzenia porządku, wzmocnienia policji i zaostrzenia kar.

Éric Zemmour, jedyny kandydat prezydencki na prawo od Le Pen, interpretuje przemoc na ulicach jako skutek wielokulturowości, nieudanej integracji i konfliktu cywilizacyjnego. Napływ ludności z innych krajów miał zwiększyć skalę przemocy i utrudnić kontrolę nad niektórymi dzielnicami. Nie ma na to konkretnych dowodów, ale chodzi tu o budowanie propagandy politycznej, zbieżnej z tym, co twierdzi m.in. Donald Trump.

A Francji grozi poważniejszy kryzys, bo protestują nie tylko młodzi. Na dług publiczny sięgający już 122 proc. PKB nie ma recepty. Partia Le Pen, szykująca się do rządzenia, w swym programie gospodarczym zapowiada oszczędności, które znani ekonomiści oceniają jako maskowanie zwiększenia wydatków. Jeszcze dalej idzie Mélenchon i mnoży apele o anulowanie długu, a więc o ogłoszenie niewypłacalności Francji.

To musi niepokoić – tym bardziej że w przyszłorocznych wyborach, po bardzo prawdopodobnym zwycięstwie Le Pen, sama jej partia nie będzie mieć większości do rządzenia. Z kim zawrze sojusz? Czy umiarkowani politycy będą się musieli porozumieć z ekstremistami? Mélenchon swym akolitom już rozdaje przyszłe stanowiska rządowe, obiecuje referenda obywatelskie i tworzenie nowej, VI Republiki.

Słowem, gdzie jest Francja, którą dotąd znaliśmy?

MAREK OSTROWSKI

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Na każdy temat z każdej strony

Poranek TOK FM

Tomasz Sekielski



tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



W muzeum w Kortelisach znikają pamiątki po Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Potrzebne jest miejsce dla nowych bohaterów.

Opowieść wołyńska

Odciętą głowę strzelca Gazina przywieźli do muzeum, ale dyrektor odmówił jej przyjęcia. Najpierw walała się po ogrodzie. Potem, skazana na zapomnienie, trafiła do szkolnej komórki.

PAWEŁ RESZKA Z KORTELISÓW

Północny Wołyń, droga do wsi prowadzi przez las. To trasa z Łucka do Brześcia i skrót do Kobrynia. Kiedyś z Ukrainy na Białoruś jechała tędy ciężarówka za ciężarówką. Teraz przejścia graniczne zamknięte na głucho. W poprzek betonowe bloki, zapory przeciwczołgowe, miny. Po lasach wojsko. Pod bronią czeka, kiedy Aleksandr Łukaszenka przyłączy się do Władimira Putina. Międzynarodowa droga zmieniła się w ślepą uliczkę. Żywego ducha. Tylko co jakiś czas wiozą trumnę z wojskowym. – *Chłopcy wracają do domu* – mówi Lena, która na ochotnika pomaga przy pogrzebach.

We wsi Kortelisy jest muzeum, o którym wie cały kraj. Mały parterowy budynek, kilka sal. Otacza go potężny memoriał poświęcony ofiarom faszyzmu. Centralną częścią jest pomnik i zbiorowe mogiły. To pamięć po spalonej i wymordowanej przez hitlerowski oddział osadzie. Memoriał wybudowano z komunistycznym rozmachem – zajmuje 20 ha, pomnik stoi na kurhanie usypanym w 1980 r. w 35. rocznicę zakończenia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej.

Wówczas na otwarciu był Wołodymyr Szczerbycki, I sekretarz Komunistycznej Partii Ukrainy. „Na tej ziemi 23 września 1942 r. męczeńską śmierć z rąk faszystowskich oprawców poniosło 2875 osób, w tym 1620 dzieci. Dziś patriotyczne uczucia, które rozpalały serca obrońców Ojczyzny, uskrzydlają nowych bohaterów pracy" – mówił do tysięcy zebranych. – *Memoriał był jego oczkiem w głowie* – opowiada Mykoła Andronowicz Mychalewycz, obecny dyrektor muzeum. Zaczął tu pracę w latach 80., pamięta więc okres świetności. Wycieczka za wycieczką. Kilku naukowców na etatach, do tego pracownicy dbający o tereny zielone. Dziś w muzeum pracuje tylko Mychalewycz i na część etatu jego współpracownica. A teren porządkują uczniowie w czynie społecznym.

Wycieczki? Ciągle są, ale już nie z odległych miast dawnego imperium, tylko z pobliskich wiosek. Szkoły nie mają na paliwo do autobusów („przecież jest wojna"). Dzieciaki więc przyjeżdżają rejsowymi. Nie chcą słuchać, jak ich dziadkowie walczyli z faszystowską nawałą. To jest odległe, mało realne. Wolą słuchać o wojnie, która od pięciu lat zabiera im ojców i braci.

Na ekspozycji dzieje najstarsze pozostają bez zmian – są w pierwszej sali. Mychalewycz, człowiek przedwcześnie osiwiały, z lekkim brzuszkiem, przy każdej gablocie recytuje nieco mechanicznie: „Kiedyś każda rodzina siała len i konopie. Robiono przędzę, potem na domowych warsztatach, krosnach tkano i kobiety same szyły ubrania dla całej rodziny: spódnice, koszule, sukienki, spodnie...". Albo: „Starostwo ratnieńskie weszło

© PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e

w skład polskiej korony jeszcze w XIV w. Z tego czasu zachował się dokument z 1500 r. pisany po łacinie".

I dalej stulecie za stuleciem: cerkiew grekokatolicka wybudowana za czasów Polski, carskie ruble, II Rzeczpospolita. W końcu są zdjęcia z 1939 r. Mieszkańcy wsi w szeregach polskiej kawalerii, rogatywki, szable. – *Ten trzeci z prawej to mój dziadek* – mówi. Dziadek nazywał się tak samo jak dyrektor – Mykoła Andronowicz Mychalewycz. W polskiej wojnie obronnej walczył dzielnie, dostał się do niemieckiej niewoli. A Kortelisy zajęła Armia Czerwona, która wkroczyła, by dokonać rozbioru zgodnie z tajnym protokołem do paktu Ribbentrop-Mołotow. Mychalewycz: – *Niemal wszyscy tutejsi Polacy wyjechali jeszcze we wrześniu 1939 r.*

Potem są ekspozycje o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej – kiedyś serce muzeum. „28 czerwca 1941 r. wieś została zajęta przez hitlerowskich najeźdźców. Zaprowadzili oni brutalny reżim. Faszyści i ich pomocnicy – bandy ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów – dopuszczali się rabunków i przemocy, wywozili młodzież do Niemiec, a za najmniejszy opór rozstrzeliwali lub wieszali. Mieszkańcy Kortelisów nie podporządkowali się jednak wrogowi i podjęli z nim walkę" – napisano w encyklopedycznej „Historii miast i wsi Ukraińskiej SRR".

Niemcy wiedzieli, że Kortelisy pomagają sowieckiej partyzantce. Według historyków nie bardzo mieli inne wyjście. W końcu dowódca 3. batalionu 15. pułku policyjnego major Jürgen Holling wydał rozkaz zniszczenia Kortelisów i okolicznych osad. Wieś pacyfikowała podległa SS niemiecka rezerwowa kompania policyjna „Nürnberg". Rankiem 23 września 1942 r. oddziały karne otoczyły wieś dwoma ciasnymi pierścieniami. Zagnali ludzi do cerkwi, szkoły i kilku sąsiednich domów. Dowódca akcji oberleutnant Glücks raportował drobiazgowo, że egzekucje trwały do godziny 16.25, zużyto 4321 nabojów, strat własnych nie poniesiono.

W największej sali muzeum stoi diorama, trójwymiarowa makieta. Światłem i dźwiękiem odtwarza tamten poranek. Płoną chaty, słychać płacz i wystrzały. Między obejściami przemykają cienie oprawców. Instalacja i dziś, w dobie komputerów i sztucznej inteligencji, robi wrażenie. Kiedyś musiała szokować – nie dawała zapomnieć, do czego zdolni są ludzie.

Kortelisy były symbolem zbrodni przeciw cywilom, o której wiedział każdy ukraiński uczeń. Zgodnie z radziecką historiografią zginęło blisko 3 tys. mieszkańców, a w zbrodni uczestniczyły wspomniane „bandy ukraińskich burżuazyjnych nacjonalistów". Dyrektor Mychalewycz prowadził własne badania, inni historycy też. Znaleźli dowody, że liczba ofiar jest przesadzona – było bliżej tysiąca. Zbrodni jednak nie da się zaprzeczyć. A udział oddziałów ukraińskich? – *Ukraińcy służyli w tych pododdziałach policyjnych, które okrążyły wieś. Kopali mogiły, grzebali zabitych, sami nie rozstrzeliwali, ale w praktyce pomagali. Kortelisy były dla nich punktem zwrotnym – policjanci zaczęli odmawiać udziału w podobnych akcjach, uciekali do lasu.*

W następnej sali zaczyna się opowieść równoległa, co jest typowe dla współczesnej Ukrainy. Historia pisana w czasach ZSRR kładzie akcent na losy radzieckich partyzantów i dzieje wyzwolicielskiej Armii Czerwonej. Ta zmagała się nie tylko z hitlerowcami, lecz także z „bandami nacjonalistów". Druga opowieść mówi o członkach UPA, którzy „walczyli o niepodległość z sowieckimi okupantami". To często ludzie z tej samej wsi. Ich stare fotografie umieszczono po obu stronach korytarza. Uzbrojeni upowcy patrzą czujnie w oczy ubranych w sowieckie furażerki partyzantów z oddziału im. Woroszyłowa. Są też zdjęcia z lat późniejszych. Ci od Woroszyłowa już w garniturach, obwieszeni medalami, otoczeni młodzieżą. Ci od Bandery tułają się po syberyjskich zsyłkach.

Rzezi Polaków w tej opowieści nie ma. Kortelisy były spalone, a w całej gminie Górniki, do której należały, polscy historycy odnotowali jedynie dwa przypadki mordów. Baza IPN mówi o zabiciu trzech osób „na polu koło miejscowości Zagacie". Było to w czerwcu 1942 r., a więc przed powstaniem oddziałów UPA frakcji banderowskiej. Drugi przypadek to zabójstwo trzyosobowej rodziny w leśniczówce Smolna w sierpniu 1943 r. Opisano go w książce „Ludobójstwo" W.E. Siemaszków. Według tego źródła sprawcami byli „uzbrojeni Ukraińcy, prawdopodobnie członkowie UPA".

W leżącej na północnym Wołyniu gminie mieszkało niewielu Polaków. Im dalej jednak na południe, tym zbrodni było więcej. Za Kowlem mordy były dzikie, masowe. W gminie Turzysk odnotowano je co najmniej w 30 miejscowościach, w gminie Wielick – w ponad 20. Od kul, siekier i bagnetów ginęli starcy, kobiety i dzieci. Wraz z ludnością z powierzchni ziemi znikały całe wsie.

Historia UPA w okolicach Kortelisów została zamknięta w bańce na mleko, którą przechowywał w ukryciu wujek dyrektora Mychalewycza. To archiwum dowódcy tutejszego oddziału UPA Andrija Mychalewycza, pseudonim „Kos". Urodził się koło wsi Zamszany. W czasie rzezi wołyńskiej był referentem Służby Bezpieczeństwa OUN w gminie Siedliszcze i dowódcą sotni UPA w rejonie Ratne, potem dowódcą kurenia. Z badań archiwów wyłania się obraz partyzanckiej jednostki, która walczyła z Sowietami i prowadziła dywersję na szosie Brześć–Kowel.

„Kos" walczył wiele lat. Rozerwał się granatem w grudniu 1951 r., otoczony przez grupę bojową radzieckiej bezpieki. Jego rodzice zostali skazani na dziesięć lat łagrów. Żona Natalia – na dziesięć lat obozu i konfiskatę majątku. Dwie siostry usłyszały wyrok 25 lat więzienia. Trzecia poszła na dziesięć lat do obozu (wcześniej spędziła 16 miesięcy w areszcie, bo ze skazaniem czekano, by osiągnęła pełnoletniość). Ostatnia siostra Maria działała aktywnie w podziemiu UPA. W 1950 r. popełniła samobójstwo otoczona przez oddział NKWD.

Dyrektor Mychalewycz: – *Najważniejsze jest mówić prawdę. Od wielu lat badam dokumenty archiwalne. Chodzi o to, że zbrodnie UPA są bardzo wyolbrzymione. Rozumie pan? UPA zabijała sowieckich aktywistów, donosicieli, tajnych współpracowników. Wśród nich mogli się zdarzyć niewinni ludzie, ale ich zabijanie nie było zamiarem. Gdzie walczyło UPA, był jakiś porządek.* Jego zdaniem za mordy na cywilach odpowiadają bandyci, którzy zabijali pod szyldem UPA, były też grupy NKWD podające się za upowców.

W gminie Siedliszcze w czasie rzezi wołyńskiej mordowano w ośmiu miejscowościach. We wsi Czeremszanka ukraińscy sąsiedzi – zwykli ludzie – zabili nożami, siekierami i widłami 162 Polaków, którzy szykowali się do wyjazdu. Czy „Kos" mógł o tym nie wiedzieć? Był przecież referentem Służby Bezpieczeństwa OUN w gminie Siedliszcze. ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶W 1944 r. niemieckie wojska były już w odwrocie. 160. Dywizja Strzelecka Armii Czerwonej doszła do bezludnych Kortelisów w lipcu tego roku. Niemcy bronili się jeszcze w Prypeci. Podczas szturmowania tego miasta zginął strzelec Wasilij Pietrowicz Gazin. Ten 24-letni czerwonoarmista, Rosjanin, zasłonił ciałem strzelnicę bunkra, przez którą cekaem dziesiątkował kolegów z oddziału. Pośmiertnie otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. W Ratnem stanął jego pomnik, jego imieniem nazwano liceum – a dywizja poszła dalej.

Jej skład osobowy – podobnie jak skład innych wykrwawionych jednostek – Armia Czerwona uzupełniała na zajętych terenach. Z terenów w pobliżu Kortelisów zabrała 105 osób, zginęły 72. Ci, którzy wrócili, byli bohaterami, długo zajmowali największą część muzealnych sal. Ilościowo oddawało to historyczną prawdę. W UPA pod bronią było maksymalnie 30–40 tys. ludzi. Z rodzinami, sympatykami mogłoby się uzbierać więcej, ale do Armii Czerwonej z całej Ukrainy zmobilizowano blisko 7 mln osób.

W muzeum dyrektor Mychalewycz miał przerwę. W 2022 r., gdy Rosja zaczęła inwazję na Ukrainę, włożył mundur i poszedł służyć. Zdemobilizowali go rok później, po 60. urodzinach. Gdy wrócił, zaczął desowietyzację ekspozycji. Czerwonoarmiści zjeżdżają ze ścian. Zastępują ich kolorowe zdjęcia chłopaków w mundurach, którzy polegli pod Bachmutem, Pokrowskiem, w obronie Konstantyniwki. Zaprzyjaźnione oddziały darują muzealnikom flagi, gilzy po pociskach i drony. – *Poległo już 75 żołnierzy z naszego regionu, a kolejnych 75 uznaje się za zaginionych* – mówi dyrektor. Trudno tu znaleźć dom, w którym nie ma żałoby. Cała społeczność żyje pochówkami.

Ołenę Zalypę z chutoru Komarowo najłatwiej spotkać na cmentarzu. Wojna zabrała jej dwóch synów. Trzeci po śmierci braci trafił do szpitala dla nerwowo chorych. Dzień wypełniają jej mycie nagrobków, sadzenie cmentarnych kwiatów i rozmowy z martwymi synami. Opowiada im, co nowego w domu. I robi wymówki, gdy nie śnią się jej zbyt długo.

Śmierć żołnierza ma tu swoją wypracowaną logistykę. Zawiadomienie trafia na pocztę elektroniczną w Terytorialnym Centrum Uzupełniania i Wsparcia Społecznego. Maila otwiera starsza szeregowa Myrosława. Za każdym razem drży, że zobaczy nazwisko sąsiada albo kolegi z klasy. Potem informacja trafia do kapitana Iwana Mykołajewicza, który odpowiada za pochówki.

W Ratnem przed siedzibą władz wywieszają portret poległego. Portretów jest już kilkadziesiąt, puste ramy czekają na kolejnych bohaterów. Maria, redaktorka lokalnej gazety, pisze tekst wspomnieniowy. Lena zorganizuje wolontariuszy. Gdy już będzie znała trasę konduktu, poinformuje innych, kiedy trzeba wyjść przed obejście, uklęknąć. Zimą ostatnia droga bohatera wyścielana jest gałązkami jodły, od wiosny – kwiatami. Najładniej jest teraz, jesienią, kiedy kwiaty mieszają się z jesiennymi liśćmi.



Miejsce pamięci przed siedzibą lokalnych władz w Ratnem. Na obecnej wojnie poległo już 75 żołnierzy pochodzących z tych okolic, kolejnych 75 uznano za zaginionych.

Tak do domu wracał 23-letni kapitan Eduard Kamardin, dowódca kompanii w 59. Samodzielnej Brygadzie Piechoty Zmotoryzowanej. Młody oficer wyniósł spod ognia pięciu rannych żołnierzy, osłaniał ich ewakuację i wtedy poległ. Pośmiertnie został wyróżniony tytułem Bohatera Ukrainy. Kończył liceum w Ratnem. Jego mama jest tam pielęgniarką szkolną. Ktoś wpadł na pomysł, że szkoła powinna zmienić patrona. Dlaczego ma być nim radziecki strzelec Gazin ze wsi w rosyjskiej tambowskiej guberni, tysiąc kilometrów stąd, skoro można uhonorować absolwenta?

Odkąd liceum ma nowego bohatera, nasuwa się jednak pytanie, co zrobić z pomnikiem Gazina, który stał od lat przed wejściem. To była wielka głowa na postumencie, której obecność tłumaczyła się coraz słabiej. Władze Ratnego pozbawiły więc pomnik statusu zabytku dziedzictwa kulturowego. Potem przyjechał dźwig i oderwał głowę od postumentu. Załadowano ją na ciężarówkę i zawieziono do Kortelisów. Dziś w miejscu po Gazinie obywają się lekcje z nowego przedmiotu „obrona Ukrainy". Prowadzi je Dmitrij, wuefista. Młodzież uzbrojona w plastikowe automaty ćwiczy przesuwanie się skokami pod ostrzałem przeciwnika.

Dyrektor Mychalewycz nie był zachwycony, gdy na podwórko muzeum zajechała ciężarówka. Szyja Gazina jest ścięta pod kątem 45 stopni. Żeby ją gdzieś ustawić, trzeba byłoby wykombinować jakąś podstawkę albo postument. A nie ma na to pieniędzy. Gazin walał się więc po terenie muzeum, aż został zamknięty w komórce pobliskiej szkoły.

Mykoła Andronowicz Mychalewycz nie ma głowy do głowy. Dziś demontuje kolejne gabloty. Znikają kolejni radzieccy partyzanci. Tablice ściągają wolontariusze, a medale dyrektor układa w kartonowym pudełku, które trafi do lamusa. Jeśli wojna z Rosją potrwa jeszcze trochę, w lamusie wylądują wszyscy: ci z radzieckiej partyzantki, ci z UPA, z Armii Czerwonej i z polskiej kawalerii. Tak samo skończą weterani z Afganistanu i wspomnieniowe zdjęcia z przemówień towarzysza Szczerbyckiego.

Całe muzeum zajmą ci, co giną teraz. Każdego dnia zajmują jego nowy kawałek. Niedaleko ważnego kiedyś eksponatu, jakim jest galowy mundur generała majora Nikołaja Siergiejewicza Timofiejewa, dowódcy 160. Dywizji Strzelców, wisi polowy mundur sierżanta Zbrojnych Sił Ukrainy. – *A ten mundur?* – pytam dyrektora. – *To mojego syna* – mówi. Wałerij Mychalewycz służył w grupie specjalnej „Omega" Gwardii Narodowej Ukrainy. Poległ 16 lutego 2026 r. w Dobropilu w Donbasie. Pamiątki po nim – apteczkę i kamizelkę kuloodporną – przywieźli jego koledzy z oddziału. Stały się eksponatami.

PAWEŁ RESZKA

© PAWEŁ RESZKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e



© BHUSHAN KOYANDE/HINDUSTAN TIMES/GETTY IMAGES

Mściciel z urzędu

Tukharam Mundhe rewolucjonizuje indyjską gastronomię. Nie waha się zamykać luksusowych ani legendarnych restauracji. Indusi kochają go za obronę ich żołądków. I za uczciwość.

PAULINA WILK

Wąską uliczkę prowadzącą na zaplecze słynnego hotelu Taj Palace w Mumbaju łatwo przeoczyć. Jej patronem jest Naoroji Furdunji, XIX-wieczny obrońca religii zoroastriańskiej, dziś zapomniany. I to nie z jego dokonań słynie ten zaułek, a z tanich i pysznych kebabów Bademija, serwowanych przez maleńką restaurację na rogu, po zmroku wystawiającą ruszty i głośniki na ulicę.

W weekendy tłum wypełnia okoliczne uliczki usiane podobnymi lokalami. Kłębi się życie, trwa impreza. W górę idzie dym i aromat marynowanego w przyprawach mięsa. Muzyka dudni, wtórują jej klaksony z głównej arterii Colaby – historycznej dzielnicy Mumbaju, którą Brytyjczycy wypełnili okazałymi budowlami sądów, kancelarii, urzędów i kin.

Lepkie ślady

W restauracji New Apollo, tuż obok kultowych kebabów, od co najmniej 25 lat siedzi za kasą ten sam mężczyzna. Siwiejącą brodę farbuje na rudo, zgodnie z popularną wśród leciwych muzułmanów modą, a przerzedzone włosy przykrywa białą czapeczką. W środku, jak zwykle, spory ruch.

W menu potrawy te same od dziesięcioleci. Kurczak i pszenne placki z pieca tandoori, baranina, warzywa duszone w sosach. Na deser firni, ryżowy pudding z kardamonem. Kelnerzy w poplamionych uniformach, szurając klapkami, stawiają na stoliku szklanki z filtrowaną wodą. To na powitanie i tylko dla miejscowych. Kto przyjechał z daleka, przytomnie zamawia wodę mineralną, by się nie zatruć.

Kelnerzy szybko donoszą dania wybrane z menu, chronionego powłoką z laminatu, ale i tak naznaczonego lepkimi śladami cudzych palców. W dłoniach mają nieodłączne metalowe tace i bure ścierki nie pierwszej świeżości, którymi przed podaniem jedzenia przecierają drewniane stoły. Resztki lądują na podłodze. W rogu sali umywalki i przytwierdzone do ściany pojemniki z mydłem marki Dettol w płynie. Ale większość gości ręce i usta myje dopiero po posiłku, choć wielu jada dłońmi.

Wnętrze jest skromne. Można nie dostrzec, że ściany i podłoga wyłożone są marmurem. Kamień trzyma się dobrze od lat 40. XX w., gdy lokal powstał. Jada się tu niedrogo, smacznie, a choć oceny w internecie są umiarkowane, to ludzie wiedzą swoje i tłoczą się przed wejściem – w New Apollo jest bezpiecznie dla żołądka.

Od ulicy lokal dzielą dwa schodki i rynsztok, leży w nim trochę śmieci, nie więcej jednak, niż mogło się zebrać w ciągu dnia. Co rano są wymiatane, a wzdłuż ulicy da się nawet wypatrzyć kilka kubłów na odpadki. Są wcieleniem inicjatywy Clean Mumbaj (ang. Czysty Mumbaj), która dzięki apelom aktywistów z wolna odmienia miasto.

Mimo to nieopodal schodów wędrują karaluchy wielkości kciuka. Ich pancerze lśnią rudawo jak broda współwłaściciela restauracji. Nikt nie zwraca na nie uwagi. Są stałą częścią pejzażu. One, wyczekujące resztek psy oraz zwinne szczury, które pożywiają się, jak uliczka długa i szeroka, aż po zaplecze najsłynniejszego pałacowego hotelu w najbardziej luksusowym mieście na półwyspie. Zresztą zaplecze kuchni Taj Palace też nie imponuje czystością.

Zaglądanie na tyły biznesów gastronomicznych w tym kraju wymaga stalowych nerwów, ale uczy też nieoczywistego – bywa, że w przydrożnym straganie, gdzie stos garnków płucze się w tej samej miednicy, jest bardziej higienicznie niż w pozornie eleganckich lokalach. A bliskie towarzystwo kotów czy myszy może nie psuć posiłku tak bardzo jak sztuczne barwniki, chemiczne dodatki albo pleśń.

Zwolniony 25 razy

To wszystko, do czego Indusi przywykli i z czym nauczyli się jeść i żyć, nie musi pozostać normą. Od maja niezapowiedziane kontrole ekip inspektorów wstrząsają Mumbajem, w tym lokalami tak odwiecznymi jak Bademija i New Apollo.

Nalotu urzędników nie przetrwała ulokowana po sąsiedzku legendarna Olympia Coffee House, prowadzona przez Irańczyków i odwiedzana od 108 lat przez zwykłych głodnych, gwiazdy Bollywood i Hollywood, której czasowo zawieszono licencję. W mieście od wiosny rządzi nowy, bezlitosny szeryf do spraw żywności, a jego nieugięta postawa wywołuje wstrząsy wtórne w odległych rejonach Indii. ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ Nazywa się Tukharam Mundhe, ma 51 lat, ale wygląda młodziej. Szczupły i schludny, zwykle w koszulach z białymi kołnierzykami i mankietami, bardziej przypomina lidera biznesu niż urzędnika publicznego, którym jest od ponad 20 lat. A jego kariera w ostatnich miesiącach lepiej pasuje do celebryty niż do głównego inspektora jakości żywności i leków indyjskiego stanu Maharasztra, którym niedawno został.

Instagramowe konto szybko obwołanego bohaterem i uwielbianego inspektora obserwuje już ponad 4 mln osób, mimo że jest na nim ledwie 50 postów, przede wszystkim pokazujących Mundhego podczas publicznych wystąpień, spotkań z młodzieżą, z trudem przedzierającego się przez tłum zwolenników lub przemawiającego do pełnych sal konferencyjnych. Dla wielu w Indiach błyskawicznie stał się inspirującą figurą, lgną do niego aktywiści z pokolenia Z i aktorzy z Bollywood, z dumą noszący koszulki z napisem „#teammundhe". Na razie komisarz znosi nagłą falę popularności ze skromnością i godnością. Powtarza, że wolałby świętować triumf regulacji prawnych niż własną sławę.

To właśnie, że jest legalistą i egzekwuje przepisy, nie bacząc, kogo dotyczą, czyni go tak wyjątkowym i atrakcyjnym dla Indusów, skrajnie już zmęczonych korupcją, pustosłowiem i interesownością polityków i biurokratów.

Tukharam Mundhe nie kłania się możnym ani decydentom. W ciągu 21 lat pracy zwalniano go już 25 razy. Kontrolował m.in. dostępność przestrzeni publicznych, czystość wody, walczył z mafią piaskową, z lekarzami opuszczającymi dyżury w szpitalach. Był wielokrotnie nagradzany i wyróżniany jako urzędnik, ale równie często wysyłany do innych miast i funkcji. Powód zawsze ten sam: surowość i konsekwencja, z którą pilnował przepisów. Podczas pandemii pracował w mieście Nagpur i stał się tam bohaterem zwykłych ludzi.

Odkąd odpowiada za bezpieczeństwo żywności w stanie Maharasztra, każdego dnia organizuje kilkadziesiąt wizyt kontrolnych – w luksusowych hotelach, szkolnych i szpitalnych stołówkach, na małych straganach, w międzynarodowych sieciach fast foodów. Dotąd mówiono, że żałośnie niska liczba kontrolerów w Mumbaju (ok. 500 osób) nie wystarczy, by zmienić jakość żywienia w mieście milionów biznesów gastronomicznych.



Nocny targ w Mumbaju

Mundhe dowodzi, że to nieprawda. I liczy nie tylko wręczone zakazy, anulowane licencje, ale także drobne, ważne sukcesy.

Słynne mumbajskie kanapki, tostowane z serem, świeżymi warzywami i przyprawami na straganach, od niepamiętnych czasów serwowane były w kawałku gazety zadrukowanej toksyczną farbą. Od kilku tygodni klienci dostają je w specjalnym papierze nieprzesiąkającym tłuszczem. Gazety zniknęły, jak ręką odjął.

Sąd nad talerzem

Legenda Mundhego – gastronomicznego mściciela – pędzi przez miasto. Podobnie jak coraz częściej filmowane i upubliczniane przypadki gastronomicznych horrorów: robaków w porcjach, zgnilizny na talerzach. Wydaje się, że nic nie przebije szczura znalezionego przez ucznia w misce w szkolnej stołówce w 2017 r. Ale pulpa z mango, widoczna na tegorocznym nagraniu z fabryki, zgarniana przez pracownice z podłogi kawałkami plastiku i ładowana do maszyny wyciskającej sok, również przyprawia o mdłości.

Media społecznościowe oczywiście podkręcają panikę, natomiast kontrole są beznamiętne, realne i konsekwentne. Dlatego popędzani strachem mali i więksi restauratorzy z Mumbaju szorują kuchnie i zmieniają zwyczaje. Inni starają się stawiać opór, zaskarżają decyzje komisarza i odwołują się od nich. Gdy sąd okręgowy zakwestionował część jego metod, odwołując w kilku przypadkach natychmiastowe zawieszenie licencji w lokalach, Mundhe zarządził kontrole w sądowych stołówkach w Mumbaju i zawiesił trzy licencje.

Co znajdują wysyłani przez niego kontrolerzy? Brudne kuchnie, produkty surowe przechowywane z przetworzonymi w nieprawidłowych temperaturach i opakowaniach, karaluchy, muchy i robaki, brak chłodzenia i wentylacji, personel w niewłaściwych strojach, nieprzestrzegający zasad higieny, szykowanie potraw na podłodze, żywność przeterminowaną, a nawet gnijącą. Wszystko to inspektorzy z miejsca wysyłają do utylizacji.

Dla inspektora w gastronomii nie ma świętych krów i – jak pokazują natychmiastowe kary, np. dla sieci Domino's Pizza czy kebabowni Ayub, w której jadają mumbajscy maklerzy i prawnicy – nie ma też bezpiecznych rewirów. Odkrycia urzędników nie tyle szokują opinię publiczną, ile stanowią potwierdzenie jej doświadczeń. Co się więc zmienia? To, że wreszcie ktoś staje po stronie żołądków i zdrowia zwykłych ludzi.

Tukharam Mundhe to właśnie zwykły człowiek. Chłopak urodzony w połowie lat 70. XX w. we wsi w zachodnich Indiach. Jego ojciec był rolnikiem, mama utrzymywała dom. Tukharam po szkole sprzedawał wyhodowane przez rodzinę warzywa, do nastoletniości chadzał boso, na buty nie było ich stać. Jego starszy brat jako pierwsze dziecko z całej wsi poszedł do szkoły średniej. I to on później dofinansował naukę młodszego brata. Tukharam zrobił magisterkę z nauk politycznych w 1998 r., akurat gdy wolny rynek i globalizacja przemieniały Indie. Ale nie wybrał kariery w biznesie. Bez prywatnych korepetycji (a to rzadkość) zdał ze świetnym wynikiem trudny egzamin do administracji publicznej i w 2005 r. został urzędnikiem.

Ten prestiżowy zawód wiąże się z dwoma przywilejami – pewnością zatrudnienia zakończonego godną emeryturą, a także mnogością okazji do intratnego wykorzystywania urzędu porzez łapówkarstwo. Jeśli urzędnicy cieszą się nad Gangesem poważaniem, to raczej ze względu na władzę, której często nadużywają.

Jedzenie śmierci

Biurokracja, której podwaliny stworzyli Brytyjczycy w epoce kolonialnej, w czasach niepodległej już republiki rozrosła się do gargantuicznych rozmiarów – rozmaite regulacje, namnażane bez umiaru, stały się

eprasa.pl 9f2fdbac8e

strukturą zapewniającą dystrybucję apanaży, ale dla zwykłych mieszkańców są udręką, tłamszą codzienność i przedsiębiorczość. Aby niezliczone wymogi spełnić albo obejść, często potrzeba łapówki. Na tym tle Tukharam Mundhe wydaje się lśnić jak nieskazitelny wyjątek. Głosi przekonanie, że Indie mają dobre przepisy dotyczące bezpieczeństwa żywności.

Faktycznie, obowiązująca ustawa nie odbiega od standardów europejskich. Tyle że to prawo nie jest przestrzegane. Stąd rosnące w ostatnich latach liczby zatruć i fatalne rezultaty kontroli. Wyraźna większość indyjskich stanów ma przeciętne lub słabe wyniki na skali bezpieczeństwa żywności, mierzonej regularnie przez państwo. I zestawianej w raportach z liczbą zatruć, w tym śmiertelnych. Oficjalne statystyki za lata 2023–24 mówią o ponad 1,1 tys. takich przypadków w całym kraju i są zapewne zaniżone. Z regularnego badania próbek żywności w kraju wynika natomiast, że 20 proc. lokali serwujących jedzenie nie spełnia wymagań zdrowia i higieny.

Błyskawiczne akcje pod kierownictwem Mundhego pokazują, że sprawy mogą zmienić się szybko, a zgłoszenia nieprawidłowości nie muszą mozolić się w sądach bez wyniku przez lata. Terapia szokowa komisarza robi wrażenie także z dala od Mumbaju. W jego ślady poszli np. kontrolerzy w Bengaluru, położonej na południu Indii stolicy hi-tech, gdzie żyje wielu przedstawicieli cyfrowej elity. Tam kontrole doprowadziły do kar i zawieszenia licencji w drogich hotelach, łącznie z ekskluzywną siecią Taj Oberoi.

Także w Kolkacie (dawniej Kalkuta) kontrolerzy sieją postrach w lokalach stanowiących filary kulinarnych tradycji miasta, jak restauracje Nizam's czy Arsalan, słynące z birjani i ziemniaczanych rollsów (zawijanych placków). Przy czym w Kolkacie, gdzie od początku roku rządzi prawicowa Indyjska Partia Ludowa, kontrole uderzają w lokale muzułmańskie i nakładają się na próby upolitycznienia bengalskiego jadłospisu, co było szczególnie widoczne przed październikowym Durga Pudżą, najważniejszym w regionie festiwalem religijnym.

Bengalczycy nie są wegetarianami, większość jada ryby, baraninę, a nawet wołowinę, której nowe władze chcą się z miasta pozbyć. W tym religijnym sezonie zakazały już serwowania mięsa w pobliżu ołtarzy bogini Durgi. Takie polityczne zawłaszczenie jest obce mumbajskiemu komisarzowi, który – gdy ktoś próbuje go mieszać do partyjnych rywalizacji lub porównywać z premierem Narendrą Modim – odpowiada zawsze: „Tu nie ma polityki, tu jest bezpieczeństwo i zdrowie".

Jego mantra to miód na serca Indusów, szczególnie tych z klasy średniej czy do niej aspirujących, którzy starają się o poprawę życia swoich rodzin, a jedzenie traktują wyjątkowo. W Indiach potrawy są częścią unikatowych tradycji – lokalnych i rodzinnych, łączą się ściśle z wierzeniami i okolicznościami religijnymi, mają też wiele znaczeń symbolicznych. Jednak w ostatnich latach jedzenie staje się również znakiem statusu i dobrego, a więc zdrowego, życia.

Zrób to sam

Dbanie o to, by jeść bezpiecznie i odżywczo, urasta do rangi obsesji wśród kobiet pragnących zapewniać standardy idealnego życia w swych rodzinach. Mają się o co martwić. Indusi jedzą bowiem coraz mniej tradycyjnie, coraz bardziej przypadkowo i podobnie do globalnej klasy średniej. Częściej zamawiają posiłki z dowozem, rzadziej mają czas na wieloskładnikowe dania spożywane w domu, jakie gotowało pokolenie matek czy babć. W ich diecie szybko przybywa żywności przetworzonej, słodzonej, ulepszanej, uprawianej na pestycydach. Rosną wskaźniki cukrzycy i otyłości.

Dlatego także nad Gangesem żywy jest trend „zrób to sam" – suszenia i mielenia ziół na przyprawy, warzenia sera paneer w domu, a także kupowania droższej, ale bezpieczniejszej biożywności z wiarygodnych źródeł. Im więcej ludzi chce jeść dobrze, szybko i różnorodnie, tym więcej ryzyka na talerzu. A doświadczenie uczy, że to nie widoczny z daleka karaluch jest najgroźniejszy, ale chemiczne domieszki i trujące substancje, które zamiast wywołać natychmiastowe torsje, niszczą zdrowie powoli i po cichu.

Popularność komisarza Mundhego, o którym ma powstać bollywoodzki film, nie odmieni całych Indii. Ale jeden taki bohater wystarczył, by wywołać coś na kształt rewolucji świadomości, doprowadzić do kresu tolerancji. Jego wierność wobec zasad i ludzka przyzwoitość współgrają z hasłami, jakie w ostatnich dniach tysiące protestujących studentów, opozycjonistów i związkowców podnoszą na ulicach Delhi. Chcą dymisji szefa państwowej komisji wyborczej – za to, że z list wyborczych zniknęły miliony wcześniej już zarejestrowanych wyborców. Kilka miesięcy temu takie protesty doprowadziły do dymisji ministra edukacji, który nie potrafił zapewnić uczciwych egzaminów na uczelnie. Praworządność to dziś najgorętsze słowo w Indiach. To o niej mówi się przy herbacie i nad każdym talerzem.

PAULINA WILK

© SNEHAL PAILKAR/ALAMY/BE&W

REKLAMA



eprasa.pl 9f2fdbac8e

Coś za cios

Czym się ostatnio straszy ludzi w sieci i co na to nauka? Odpowiada dr Tatiana Witkowska z Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego.

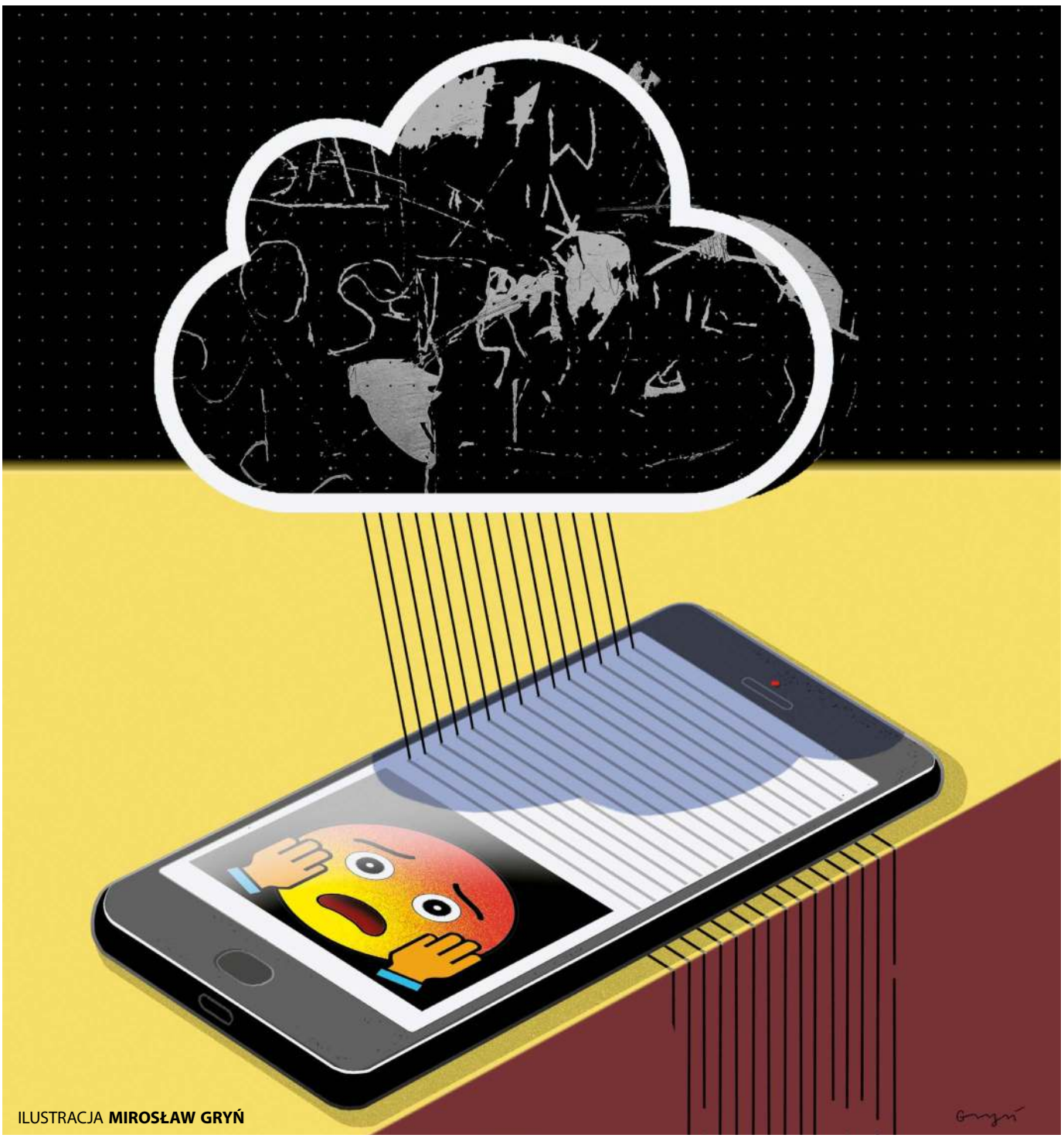

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 9f2fdbac8e

KATARZYNA CZARNECKA: **– O czym ludzie rozmawiają? Gdzie? Kiedy? Jak? Te pytania wam towarzyszyły, kiedy przygotowywaliście swoje najnowsze raporty.**

TATIANA WITKOWSKA: – Chcieliśmy sprawdzić, z jakimi informacjami naukowymi Polacy spotykają się na co dzień i w jaki sposób te wiadomości są wykorzystywane w działaniach dezinformacyjnych. Analizy prowadzone w ramach projektu Nauka Sprawdza pozwalają monitorować kluczowe tematy w mediach społecznościowych i obserwować zmiany z kwartału na kwartał. Postanowiliśmy uzupełnić ten obraz o media tradycyjne i spojrzeć na niego przez pryzmat wskaźników stosowanych do oceny działań branży PR – zasięgu i ekwiwalentu reklamowego. Dlatego dodatkowe badanie przeprowadził Instytut Monitorowania Mediów (IMM).



© ŁUKASZ ZIOMEK

Dr **Tatiana Witkowska**, zastępczyni kierownika Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego, odpowiada za upowszechnianie osiągnięć badaczy UW.

Czyli zobaczyć nie tylko, co krąży w sieci, lecz także jaką ma siłę przebicia?

Tak. IMM analizował materiał z 2025 r. – ponad 267 tys. informacji. Monitoring objął tytuły prasowe, portale internetowe, radio, telewizję. We wszystkich analizach korzystamy z ogólnodostępnych źródeł polskojęzycznych, więc to oczywiście nie jest obraz całego internetu.

Czego konkretnie szukaliście?

Wybraliśmy pięć obszarów istotnych społecznie: medycynę i zdrowie, energetykę, technologię i biotechnologię, żywność oraz klimat i środowisko.

Który temat wysunął się na pierwszy plan?

Zdrowie. To się zgadza z obserwacjami innych instytucji zajmujących się dezinformacją. Zauważyliśmy znaczny wzrost popularności alternatywnych terapii i suplementów, któremu towarzyszy niskie zaufanie do koncernów farmaceutycznych. Powtarzało się m.in. nagłaśnianie rzadkich powikłań po terapiach konwencjonalnych lub zestawianie statystyk ogólnej śmiertelności z harmonogramami szczepień, czyli sugerowanie związków, których nie ma.

Wszystko to zmyślone?

Nie. Analizowaliśmy zarówno treści celowo tworzone i rozpowszechniające fałsz, jak i te nieświadomie powielane czy wykorzystujące prawdziwe informacje w szkodliwym kontekście. Często pojawiają się dowody typu anegdotycznego, czyli np. historia pani X, która uskarża się na migrenę na skutek przebywania nieopodal farmy wiatrowej.

Żeby stworzyć dobre kłamstwo, trzeba jednak użyć sporo prawdy?

To jest bardziej złożone. Liczy się moment publikacji, podpięcie pod toczącą się dyskusję, osoba lub źródło mające autorytet w danym środowisku. I język: alarmistyczny, opowiadający o walce, dzielący ludzi na „nas" i „onych", „uśpionych" i „przebudzonych". Czasami wystarczą telefon, dostęp do internetu, kilka minut i chwytliwa treść jest gotowa. Istnieją też tzw. miękkie punkty wejścia. Ktoś interesuje się ezoteryką, dołącza do grupy, zaczyna czytać, przechodzi dalej do skoków kwantowych i biorezonansu. Albo zaczyna od zdrowego odżywiania i dochodzi do szkodliwej suplementacji czy niesprawdzonych metod terapeutycznych. Na początku może nie zauważyć w tym niczego niepokojącego.

Czym się straszy poza medycyną?

Podważa się bezpieczeństwo i stabilność OZE oraz energetyki jądrowej. Wybiera się pojedyncze dane, pomija szersze tło naukowe i w ten sposób buduje niepokój wokół strategicznych inwestycji. Najpierw kwestionuje się rozwiązanie, a później zaufanie do instytucji, która je proponuje.

A jeśli chodzi o żywność czy klimat?

GMO, produkty importowane, owady. Podważa się zaufanie do kontroli jakości. W obszarze klimatu analizowaliśmy manipulacje dotyczące regulacji proekologicznych, zwłaszcza unijnych. One wszystkie żywią się emocjami. Dobrze, że ludzie szukają odpowiedzi, ale powinni sprawdzać wiedzę, której dostarcza im wyszukiwarka czy chatbot.

Kiedy posortowaliście wyniki według platform komunikacyjnych, zobaczyliście różne światy?

Każda platforma ma swoją specyfikę i publiczność. W naszym raporcie, obejmującym lata 2024–25, na Instagramie wyraźnie obecne były alternatywne metody leczenia. Na YouTube, który daje przestrzeń dla dłuższych wypowiedzi, pojawiały się rozbudowane teorie spiskowe – depopulacja czy plandemia. Na Facebooku – tematy łączące się z klimatem. Takie informacje mają praktyczne znaczenie dla osób zajmujących się komunikacją naukową. Nie zareagujemy na wszystko. Możemy jednak lepiej przygotowywać materiały, dobrać moment publikacji oraz kanał, którym będziemy komunikować.

Mówiła pani o wskaźnikach piarowych. Co one pokazały w odniesieniu do tych treści?

Mogę zobrazować skalę zjawiska na przykładzie fałszywej tezy, że samochody elektryczne są bardziej podatne na pożary niż spalinowe. IMM przeanalizował ok. 6 tys. publikacji i oszacował ich ekwiwalent reklamowy na ponad 19,5 mln zł.

Ktoś tyle wydał?

Nie, to jest szacunek wartości porównywalnego działania reklamowego. Nie mówi nam, ile ktoś rzeczywiście zapłacił za rozpowszechnianie tej treści. Kiedy ludzie przekazują ją sobie sami, nieświadomie zwiększają jej zasięg i obniżają potencjalny koszt wykupienia reklamy po stronie tych, którym zależałoby na jej promowaniu. Warto o tym pamiętać.

Czy te posty prowadzą do jakichś wiarygodnych źródeł?

W raporcie naszego zespołu zaledwie 16 proc. analizowanych wzmianek miało jakiekolwiek linki, te jednak prowadziły głównie do innych treści na portalach społecznościowych, a nie do źródeł zewnętrznych. Do tego dochodzi architektura platform, na którą użytkownicy nie mają wpływu – algorytmy promują określone treści i podsuwają użytkownikowi kolejne. To wszystko sprawia, że odbiorcy pozostają w zamkniętym obiegu informacyjnym.

Można pokazać, jak internetowy strach przekłada się na konkretne działania? Weźmy chociażby kwestię technologii 5G.

Przyglądaliśmy się także temu zjawisku. Najpierw informacja krąży w tzw. strefie cienia, później dociera do szerszej publiczności. Proszę sobie wyobrazić: czyta pani, że niedaleko domu ma powstać infrastruktura 5G, a ktoś nazywa to „mikrofalowym ludobójstwem". To porusza. Dalej pojawiają się pseudonaukowe argumenty, łączące fakty techniczne z teoriami spiskowymi, wreszcie odwołania do pozornych ekspertyz i autorytetów, np. osób ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ z tytułami naukowymi, tyle że z innej dziedziny. Przekaz obrasta eksperckim językiem. Dla kogoś, kto nie ufa głównemu nurtowi, może stać się alternatywą.

Czyli nauce zarzuca się hermetyczność, jednocześnie korzysta się z jej słownika?

To jest ciekawe. W komunikacji naukowej staramy się przekazywać wiedzę w przystępny sposób, ale bez wypaczania treści. Byłam przekonana, że narracje dezinformacyjne, jeśli chodzi o formę, działają podobnie. Tymczasem one nie zawsze są proste, a dodatkowo naukowe sformułowania mogą je uwiarygodniać. I później człowiek zaczyna się zastanawiać: „Czy ten maszt będzie dla mnie zagrożeniem?". Obawy przeradzają się w protesty, kwestionowanie procedur. W analizowanych materiałach mieliśmy przykłady z Kielc i Jaworzna. W Jaworznie petycję przeciw technologii 5G podpisało 300 osób. Takich sytuacji w Polsce było więcej – w raporcie IMM pokazujemy całą mapę sprzeciwów przygotowaną na podstawie wybranych doniesień mediów tradycyjnych z 2025 r.

Skończy się 5G, pojawi się 6G...

Są tematy stałe i takie, które odżywają przy konkretnych wydarzeniach. W naszych analizach widać było np. wzrost zainteresowania opowieścią o sfingowanym lądowaniu na Księżycu w związku z misją Sławosza Uznańskiego-Wiśniewskiego. Zwyżki widzieliśmy również w okresach wyborów lub klęsk żywiołowych, np. powodzi w Polsce i Hiszpanii w 2024 r. Kiedy dzieje się coś, co wywołuje lęk, poczucie zagrożenia czy silne emocje, ludzie szukają odpowiedzi. A to może być dobry moment, żeby zasiać wątpliwość.

Jedna pociąga za sobą następną?

To jest symptomatyczne, kiedy widzimy wzrost zainteresowania kilkoma narracjami jednocześnie. Ktoś zaczyna wątpić w jedną rzecz, słyszy: „A wiesz, że tamto też..." i przechodzi dalej. Efekt domina. Jednak udowodnienie, że dane zdarzenie jest wynikiem działań skoordynowanych, wymaga głębszej analizy.

Czy media, relacjonując protest lub omawiając fake news, mogą niechcący wzmacniać dezinformację?

Każdy komunikat o dużym zasięgu może ją rozpowszechniać. Duży portal może nie działać z intencją, ale jeśli przygotuje chwytliwy tytuł o społeczności przeciwnej 5G, przekaz pójdzie szerzej. Nie chodzi o to, żeby o protestach nie mówić. Chodzi o sposób opowiadania – powinno się unikać alarmistycznego czy prześmiewczego tonu, za to posługiwać się rzetelną informacją albo odsyłać do źródła, w którym można ją zweryfikować.

Skoro znane są tematy i można przewidzieć czas, w którym powrócą do obiegu, to może na przekaz emocjonalny trzeba zawczasu przygotować naukowy?

To jedna z myśli, jakie przyświecały nam przy opracowaniu projektu Nauka Sprawdza. Wraz z Jackiem Sztolcmanem, kierownikiem Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego, skupiliśmy się na rozwijaniu najbardziej wydajnych narzędzi komunikacyjnych, nie tylko kojarzonych ze sferą nauki i akademii. Do współpracy zaprosiliśmy twórców cyfrowych działających w mediach społecznościowych.

Tydzień Walki z Dezinformacją Naukową organizuje w dniach 16–22 listopada Centrum Współpracy i Dialogu Uniwersytetu Warszawskiego. To część projektu Nauka Sprawdza poświęcona rozwijaniu umiejętności krytycznej analizy informacji. Obejmuje działania na wielu płaszczyznach – od kampanii spotowej, poprzez pokazy filmowe i prezentacje raportów badawczych, aż po działania edukacyjne skierowane do szkół. W inicjatywę angażują się naukowcy z UW, którzy przybliżają odbiorcom proces naukowy, oraz twórcy internetowi. Więcej na **naukasprawdza.uw.edu.pl**

Zaczęliśmy od działań fact-checkingowych i odkłamywania (ang. *debunking*): widzimy szkodliwą, fałszywą informację, więc reagujemy, wyjaśniamy. Równocześnie zajęliśmy się prebunkingiem, czyli uprzedzaniem faktów i przygotowywaniem ludzi, zanim zetkną się z takim przekazem. Udostępniamy kolejne materiały mające rozwijać kompetencje informacyjne: jak weryfikować dane, na co zwracać uwagę, jak rozpoznawać wykorzystywanie emocji. Nawet nadmiernie ekspercki język, niepasujący do miejsca, w którym się pojawia, może być sygnałem do sprawdzenia treści. Na stronie projektu Nauka Sprawdza można dowiedzieć się, jak rozpoznać dezinformację, zbadać swoją odporność na fałszywe informacje, rozwiązując testy, a studenci i doktoranci mogą spróbować swoich sił w konkursie Fake Busters. Nauczyciele wkrótce znajdą również scenariusze lekcji do pobrania.

Co najbardziej utrudnia odpowiadanie na fałszywe informacje?

Czas. Nauka ma trudność z natychmiastową reakcją na wszystko. Żeby coś wyjaśnić, potrzebujemy danych, musimy opisać, jak doszliśmy do wniosków, pokazać ograniczenia badania. W rzetelnym raporcie one muszą się znaleźć. Odpowiedź często brzmi więc: „tak, ale" albo „tak, jeśli". To bywa odbierane jako unikanie odpowiedzialności. Ale właśnie z niej wynika – trzeba określić warunki, uprzedzić, że coś może się zmienić. Proces naukowy nigdy się nie kończy.

A alternatywna terapia obiecuje: weźmiesz pigułkę i problem zniknie.

Tego typu stwierdzenia pojawiają się często. Nie chodzi jednak o ocenianie osób, które mogą wątpić w dotychczasowe ustalenia nauki, niezależnie, czy z zakresu medycyny, czy fizyki kwantowej. Jednym z zadań badaczy i popularyzatorów nauki jest odpowiadanie na pytania. Nawet jeśli słyszymy tę samą wątpliwość setny raz, nadal powinniśmy udzielić odpowiedzi. Inaczej nie zbudujemy odporności.

Uczelnie mają wiedzę, media mają zasięgi. Jest miejsce na współpracę?

Tak. My możemy przygotować merytoryczny komentarz, ale musimy znaleźć kanał, którym dotrze do ludzi. Budowanie własnego medium od zera jest trudne. Można zrobić podkast i kampanię, uzyskać kilkadziesiąt odsłuchań, a można połączyć siły z kimś, kto ma już publiczność. My przekażemy wiedzę, partner pomoże z dotarciem do odbiorców. Tyle że działów naukowych w mediach, niestety, coraz mniej.

Samo prostowanie kłamstw wystarczy, żeby odbudować zaufanie?

Potrzebujemy obecności nauki na co dzień. Rozmów nie tylko o tym, czy dana metoda leczenia nowotworów działa, lecz także o badaniach, które doprowadziły do jej powstania. Im częściej stykamy się z rzetelnymi informacjami naukowymi, tym więcej okazji, żeby budować zaufanie. Jeśli nauki jest mało, możemy trafić na którąś z jej skrzywionych wersji. Najczęściej nieprawdziwą.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA CZARNECKA

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Katuj, tratuj



Chińskie tortury i egzekucje na obrazie z XIX w.

© JOSSE/LEEMAGE/CORBIS/GETTY IMAGES

Tortury można rozpoznać tylko wtedy, gdy widoczne są w kościach. Jak zatem badać przemoc sprzed wieków, skoro ślady znikają wraz z tkankami miękkimi?

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W chińskiej prowincji Henan na cmentarzysku Sanzhiyuan badacze odsłonili 299 grobów. W „Journal of Archaeological Science: Reports" bioarcheolodzy opisali jeden, datowany na lata 1298–1404, bo wyróżniał się spośród pozostałych. Należał do 40–45-letniej kobiety pochowanej twarzą do ziemi. Zmarła na przełomie panowania dynastii Yuan i Ming. Po analizach izotopowych można stwierdzić, że jadła głównie proso i niewiele produktów pochodzenia zwierzęcego – raczej więc nie należała do elity. W dodatku szkieletowi oznaczonemu numerem M318 brakowało nosa. Tomografia komputerowa wykazała, że odcięto część jego kości oraz delikatnych struktur. Usunięcie fragmentu twarzy mogło być przejawem zwyczaju, zgodnie z którym wdowy same się oszpecały, by zamanifestować wierność zmarłemu mężowi i odstraszyć kolejnych zalotników. W przypadku M318 badacze za bardziej prawdopodobne uznali jednak karę. Także ze względu na nietypowy i świadczący o braku szacunku sposób pochowania jej zwłok.

Winny ma stracić nos lub stopę

W dawnych Chinach usunięcie nosa (zwane yì) należało do tradycyjnego repertuaru kar i przez stulecia nakładano je za różne przestępstwa. Potwierdzają to kości wróżebne, na których znak je oznaczający łączył wyobrażenia nosa i noża. Co szczególnie istotne w przypadku M318, źródła prawne z późnego okresu Yuan dowodzą, że taki wyrok nie był wówczas jedynie echem odległej przeszłości, lecz środkiem „prawnym" nadal stosowanym. ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Znaleziona w Chinach czaszka z ok. XIII w. z usuniętym nosem może być znakiem surowego wyroku i dożywotniej hańby.
Z prawej: **piszczele ze śladami odcięcia stopy – za wiele przewinień karano tam wówczas także amputacjami części nóg.**

▶Skazana osoba miała przeżyć, ale doznać potwornego bólu i przez dalsze życie nosić znak hańby na twarzy. U M318 badacze dostrzegli jednak zmiany kostne, które mogą świadczyć o używaniu jakiejś protezy. Nie wiadomo, czy sztuczne nosy wykonywano już w jej czasach, ale kilka stuleci później były w Chinach znane. Hiszpański jezuita Adriano de las Cortes pisał w XVII w. o rzemieślnikach z Guangdongu wykonujących naturalnie wyglądające nosy w kolorze skóry.

Kobieta z Henanu nie jest jedynym przypadkiem, w którym kość zachowała ślad kary mającej trwać znacznie dłużej niż zadawany ból. W Chinach znamy kilka osób, które przez lata żyły po amputacji części kończyny. Na cmentarzysku Qijia East w Zhouyuan, datowanym na X–VIII w. p.n.e., odkryto szkielet 30–35-latki bez prawej stopy. Końce kości piszczelowej i strzałkowej zagoiły się i przebudowały, a noga była ok. 5 cm krótsza od zdrowej. Jeszcze bardziej wymowny jest opisany w 2026 r. w „International Journal of Osteoarchaeology" ok. 35-letni mężczyzna z nekropolii Qinglanfu w Shandongzie, z okresu Walczących Królestw (475–221 p.n.e.). Amputowano mu dolne części obu nóg, a kości dowodzą, że zabieg przeżył. Badacze wiążą oba przypadki z yuè, czyli amputacją stopy lub części nogi. Nie wiadomo, za co konkretnie ukarano tych ludzi – źródła wymieniają setki czynów zagrożonych yuè.

Odkrycia te pokazują zarazem siłę i słabość archeologii przemocy. Badacze mają szczęście, że podczas wykonywania wyroku M318 ostrze dosięgło kości. Gdyby odcięto jej jedynie miękkie części nosa, 700 lat później moglibyśmy nie wiedzieć nic o jej okaleczeniu. Wyrywania paznokci, cięć, przypalania, podtapiania, kastrowania czy przemocy seksualnej zazwyczaj na szkielecie nie widać. Tym bardziej nie ma śladu po izolacji, pozbawianiu snu czy groźbach. Archeolodzy przemoc widzą w szkielecie, ale nie zawsze mogą powiedzieć, czy doszło do niej przed śmiercią czy po niej, ponieważ kość człowieka właśnie zabitego ma podobne właściwości mechaniczne jak kość żywego.

Dobrym przykładem jest masowy grób odkryty w Schöneck-Kilianstädten w Niemczech. Ok. 5000 r. p.n.e. wrzucono do niego szczątki co najmniej 26 osób: kobiet, mężczyzn i dzieci. Na czaszkach widać ślady uderzeń, znaleziono też obrażenia związane ze strzałami, ale najbardziej zastanawiające są nogi. U wielu ofiar kości podudzi zostały potrzaskane w chwili śmierci lub bardzo krótko przed nią albo po niej. Według badaczy mogła to być tortura albo celowe okaleczenie zwłok, czyli demonstracja zwycięstwa.

Łamać kości można powoli

Czasami rozmieszczenie obrażeń pozwala lepiej poznać doświadczenia ofiary. W południowo-zachodnim Kolorado na stanowisku Sacred Ridge, zamieszkanym przez Indian Pueblo w latach 710–825, znaleziono kości co najmniej 33 osób. Ich ciała cięto, rozczłonkowywano, skalpowano i palono. W 2012 r. antropolożkę Annę Osterholtz zainteresowały stopy. Na kościach piętowych i skokowych dopatrzyła się uszkodzeń, które miały utrudniać lub uniemożliwiać chodzenie i ucieczkę. Jeszcze bardziej wymowne były obrażenia podeszew stóp. Zdaniem badaczki ludzi z Sacred Ridge wielokrotnie po nich bito – stosowano więc torturę znaną w wielu społeczeństwach. Podeszwy są silnie unerwione, zatem uderzenia powodują ogromny ból, a dopóki nie naruszą kości, mogą nie pozostawiać trwałych śladów.

Osterholtz idzie jednak dalej. Interpretuje przemoc w Sacred Ridge jako „performatywną" – zadawaną po to, by cierpiała ofiara, ale też by jej ból widzieli inni. To hipoteza, wiadomo jednak, że 33 zabitych nie stanowiło całej społeczności osady. Ci, którzy przeżyli, mogli oglądać masakrę lub jej skutki. A człowiek patrzący, jak komuś miażdżą kostki albo biją go po stopach, nie potrzebował wyjaśnienia, co może spotkać jego samego, jeśli spróbuje się opierać.

Na miejscach straceń archeolodzy znajdują zazwyczaj szczątki skazańców, których powieszono lub ścięto. Znacznie rzadziej udaje się znaleźć na ich kościach ślady wcześniejszego maltretowania. Wyjątkowy przypadek pochodzi z Weyhill pod Andover w południowej Anglii, gdzie przez kilka stuleci chowano ludzi uznanych za czemuś winnych. W 2016 r. znaleziono szkielet 35–45-letniego mężczyzny, któremu odcięto obie

eprasa.pl 9f2fdbac8e

dłonie w nadgarstkach, a w grobie ułożono je pod jego miednicą. Nie wiadomo, czy amputacja była karą poprzedzającą egzekucję, elementem kaźni czy dodatkowym pośmiertnym upokorzeniem.

Jeszcze bardziej charakterystyczny zapis pozostawiało łamanie kołem – człowieka rozciągano na ziemi, a kat uderzał ciężkim kołem lub innym tępym narzędziem w kończyny, powodując kolejne złamania. Przy karze „od góry" szybko zadawano śmiertelny cios w okolice głowy lub szyi. Okrutniejsze było łamanie „od dołu" – najpierw miażdżono nogi i ręce, po czym wplatano je między szprychy koła i wystawiano ciało na widok publiczny. Śmierć mogła nadejść po wielu godzinach.

W 2019 r. Debora Mazzarelli i jej zespół opisali prawdopodobną ofiarę takiej egzekucji z Mediolanu. W pobliżu Bazyliki Sant'Ambrogio znaleziono szkielet 17–20-letniego mężczyzny zmarłego między 1290 a 1430 r. Kości przedramion i obu podudzi zostały złamane w czasie zbliżonym do śmierci, a niemal symetryczny układ urazów trudno wytłumaczyć przypadkowym wypadkiem czy walką. Na potylicy zachowały się ponadto ślady mogące świadczyć o dekapitacji. Nie zachował się dokument z nazwiskiem ani wyrokiem młodzieńca, dlatego badacze mówią jedynie o „prawdopodobnej" egzekucji przez łamanie kołem. W tym przypadku geometria złamań pozwala jednak prawie idealnie zrekonstruować to, co działo się z ciałem. To był spektakl, który miał przerażać, bo choć kara dotyczyła jednego człowieka, komunikat przeznaczony był dla całej społeczności.



Okrutne i upokarzające piętnowanie ku publicznej przestrodze dokumentowano w Państwie Środka jeszcze na przełomie XIX i XX w.

Skórę z głowy zdjąć starannie

Niekiedy najważniejszą informację przynosi nie samo uszkodzenie, lecz reakcja organizmu. W 2011 r. antropolożka Marla Toyne opisała dwie czaszki z Kuélap, monumentalnego ośrodka kultury Chachapoya w północnym Peru. Na obu zauważyła pozostawione przez ostre narzędzie nacięcia biegnące wokół ich sklepienia. Położenie i układ przypominały ślady znane z dobrze udokumentowanych przypadków skalpowania w Ameryce Północnej. Odsłonięta powierzchnia kości jednej z czaszek zareagowała stanem zapalnym, a miejscami rozpoczęło się gojenie, co oznacza, że oskalpowany żył jeszcze krótki czas. Na drugiej proces bliznowacenia był bardziej zaawansowany. Charakter nacięć pozwolił stwierdzić, co tym ludziom zrobiono, lecz nie dlaczego. W grę wchodziło zdobycie trofeum podczas konfliktu, ale nie można było wykluczyć zabiegu chirurgicznego – Chachapoya stosowali trepanację.

Niemal identyczny problem powrócił w opublikowanych w 2026 r. badaniach nad szczątkami przedhiszpańskich mieszkańców Teneryfy. Na czaszkach dwóch dorosłych Guanczów z Barranco del Agua de Dios stwierdzono rozległe, owalne uszkodzenia sklepienia, którym towarzyszyły delikatne ślady cięcia. Nie była to trepanacja – kości czaszki nie przebito ani nie wycięto w niej otworu. Zmiany obejmowały zewnętrzną powierzchnię i mogły powstać po usunięciu dużego płata skóry wraz z tkankami pod nią. W obu przypadkach kość zdążyła się intensywnie przebudować, a więc mężczyźni przeżyli. Autorzy już w tytule publikacji opatrzyli jednak słowo „skalpowanie" znakiem zapytania. Brali pod uwagę zarówno przemoc, jak i praktykę rytualną lub zabieg leczniczy.

Pytania pozostają

I tu pojawia się kłopot ze słowem, którego używamy od początku. Nie każde celowe zadawanie bólu jest torturą, a współczesnej definicji nie można bezrefleksyjnie przenosić na ludzi sprzed setek czy tysięcy lat. Kara sądowa, przesłuchanie, rytuał, zemsta, zastraszenie przeciwnika, przemoc wojenna czy egzekucja mogą pozostawić na kościach podobne ślady. Dlatego najmocniejsze interpretacje powstają z połączenia kilku rodzajów dowodów: zmian kostnych, kontekstu pochówku oraz źródeł pisanych lub ikonograficznych. Tak jest w przypadku kobiety z Sanzhiyuan czy prawdopodobnej ofiary łamania kołem z Mediolanu. Najczęściej jednak archeolog musi poprzestać na stwierdzeniu, że wobec ciała zastosowano przemoc, której celu nie da się już odtworzyć.

Zawsze pozostaje jeszcze najliczniejsza grupa – ofiary tortur, po których nie zostało na kościach nic. To najważniejsze ograniczenie całej archeologii przemocy. Materiał kostny tworzy złudzenie, że da się dostrzec dawną brutalność bezpośrednio, tymczasem ukazuje tylko jej niewielki i bardzo specyficzny wycinek. Zapis archeologiczny jest pod tym względem przewrotny. Nie zachowuje się to, co bolało najbardziej. Pokazuje tylko to, co było wystarczająco silne, by dosięgnąć kości.

Obok kobiety z Sanzhiyuan mogli leżeć ludzie torturowani równie dotkliwie albo gorzej, a ich szkielety nie różnią się niczym od szczątków tych, którzy podobnej przemocy nigdy nie doświadczyli. Archeologia może więc czasami odtworzyć sposób zadawania cierpienia, a wyjątkowo nawet jego kolejność i czas trwania. Nie potrafi jednak stworzyć jego pełnej historii. Po strachu nie zostaje złamanie, po upokorzeniu – nacięcie, a po bólu – blizna, którą można odkopać po tysiącu lat. Każdy rozpoznany przypadek dawnej tortury przypomina jednak również o tych wszystkich, po których nie zostało nic.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© JOURNAL OF ARCHAEOLOGICAL SCIENCE: REPORTS (2026). DOI: 10.1016/J.JASREP.2026.106031, LI NAN/ACTA ANTHROPOLOGICA SINICA, LIBRARY OF CONGRESS/CORBIS/VCG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Gomułka nas obsobaczył

To była dla mnie wielka szkoła polityki – Krzysztof Pomian opowiada o Październiku ’56.



Tygodnik „Po Prostu” był symbolem odwilży, na zdjęciu jego zespół w pochodzie pierwszomajowym w 1956 r. Po likwidacji „Po prostu” z czasem jego rolę przejął nowy tygodnik „Polityka”.

© JERZY DĄBROWSKI/FORUM, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 9f2fdbac8e

JAKUB HALCEWICZ: **– Kim był Krzysztof Pomian w 1956 r.?**

KRZYSZTOF POMIAN: – Młodym komunistą. Byłem działaczem Związku Młodzieży Polskiej, członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. W końcu znalazłem się w najwyższych władzach ZMP, w Prezydium Zarządu Głównego.

Chciał pan robić karierę polityczną?

Nie. Byłem przekonany, że zostanę na uniwersytecie. Dostałem asystenturę jeszcze na ostatnim roku studiów, nie mając obronionej pracy magisterskiej. Żaden inny typ kariery mnie nie interesował. Działalność polityczna też nie. Działałem w ZMP i w partii z przekonania, ale traktowałem to jako obowiązek odrywający mnie od tego, co dla mnie najważniejsze.

Miał pan za sobą wojnę i zesłanie. Jak to wpływało na pana poglądy?

Uważałem się za komunistę, ale nie chciałem w Polsce budować socjalizmu w stylu Związku Radzieckiego. Nie tylko ja. Uważało tak wielu ludzi o podobnych życiorysach, którzy przeszli przez zesłanie w ZSRR i przyszli z armią Berlinga jako oficerowie czy żołnierze. To był istotny składnik naszego myślenia. W jakimś sensie eksplodował w Październiku '56 w haśle „polskiej drogi do socjalizmu". Czyli: socjalizm – tak, ale nie model sowiecki.

Zanim przyszedł Październik, w lutym 1956 r. był XX Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego z tajnym referatem Nikity Chruszczowa o kulcie jednostki.

To był wybuch bomby. Referat Chruszczowa, niezależnie od jego nędzy intelektualnej, spowodował jeden z największych wstrząsów światowego ruchu komunistycznego.

Bo przywódca ZSRR powiedział komunistom, że Stalin był zbrodniarzem...

...i zrehabilitował Komunistyczną Partię Polski rozwiązaną w 1938 r. przez Międzynarodówkę Komunistyczną. Jeżeli Międzynarodówka mogła się pomylić w tak kluczowej sprawie, to w jakich jeszcze? Dogmat nieomylności partii dostał wtedy śmiertelny cios. Przynajmniej dla tej części ludzi, do której należałem. Nadal czuliśmy się związani z partią, ale już mieliśmy pewien krytyczny dystans.

Historia polskiego Października wciąż jest chyba nie dość opowiedziana. I niewygodna. Bo wtedy najważniejsze rzeczy działy się wśród działaczy partii i w imię poprawy rządów partii. Uznanie dziedzictwa Października oznacza więc uznanie, że PRL to było nasze państwo. To nie pasuje do prostej opowieści całkowicie przekreślającej dawny system.

Oczywiście. Ale ja nie żądam od konserwatywnej polityki historycznej, nacechowanej tradycją endecką, by to uznawała. Myślę, że to się z czasem zmieni. Sprowadzenie Października do dyskusji między towarzyszami to podstawowa falsyfikacja, gdyż nie chce się przyjąć do wiadomości, że był to największy ruch społeczny w Polsce przed Solidarnością. I oczywiście nie zaczął się w październiku. Wcześniej był poznański Czerwiec, czyli robotniczy protest, który przerodził się w bunt przeciwko władzy, krwawo stłumiony przez wojsko. W sierpniu Kościół zorganizował pielgrzymkę na Jasną Górę z udziałem miliona osób i z pustym fotelem prymasa Stefana Wyszyńskiego, który był jeszcze internowany. Spontanicznie zaczynały się otwarte dyskusje. Dyrektorów wywozili na taczkach nie aktywiści partyjni, lecz robotnicy. Ogromne znaczenie miał ruch rad robotniczych.

Symbolem zmiany stał się Władysław Gomułka – wcześniej odsunięty od władzy i więziony, w Październiku wrócił na czoło partii i na chwilę stał się bohaterem narodowym.

VIII Plenum PZPR i dojście Gomułki do władzy miały daleko idące konsekwencje. Prymas Wyszyński został wypuszczony niemal natychmiast po Październiku. Ale trzeba pamiętać, że październikowy ruch obejmował robotników, chłopów i inteligencję. Kto wtedy jeździł po Polsce, nie mógł tego nie zauważyć.

Pan jeździł?

Bardzo dużo. Byłem w Zarządzie Głównym ZMP, więc bywałem na zebraniach, wiecach, spotkaniach w różnych częściach kraju, także w jednostkach wojskowych. Widziałem, że to nie jest zjawisko warszawskie. To była dla mnie wielka szkoła polityki. Nigdy przedtem ani potem nie miałem takiego doświadczenia. Na wiecu trzeba było bardzo szybko reagować. Stawało się przed kilkuset czy kilkoma tysiącami ludzi i natychmiast się wiedziało, czy to, co się mówi, trafia. Nie było czasu, żeby długo się zastanawiać. Trzeba było podejmować decyzje na miejscu.

Poznał pan wtedy Lechosława Goździka, który stał się twarzą robotniczych protestów. Jaki był?

Wspaniały! Rzeczywiście wspaniały. Świetny organizator. Po raz pierwszy zobaczyłem go podczas któregoś z wieców na Politechnice Warszawskiej. Przyszedł – zapewne za sprawą Karola Modzelewskiego – z grupą 20–30 robotników z Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu. To było bardzo ważne. Jeżeli na wiecu, na którym jest parę tysięcy osób, ma się zorganizowaną grupę, z którą ma się kontakt i o której wiadomo, że można na nią liczyć, sytuacja jest zupełnie inna niż wtedy, kiedy steruje się wiecem wyłącznie własnym głosem, nie mając żadnego oparcia.

W październikowej prasie, w tygodniku „Po Prostu", padły słowa „demokracja", „demokratyzacja". Ale pochodziły z innego słownika niż nam współczesny. Co wtedy dla was znaczyły?

Chodziło przede wszystkim o pluralizm, o uznanie, że można mieć różne poglądy, także wewnątrz partii, że mogą być dyskutowane i ścierać się ze sobą. Natomiast kierownicza rola partii pozostawała dogmatem. Nie pamiętam, żebyśmy wtedy poważnie myśleli o demokracji wielopartyjnej. Próbowaliśmy połączyć demokratyzację z kierowniczą rolą partii, co oczywiście było wewnętrznie sprzeczne. Ale wtedy nie wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

Z tej sprzeczności narodził się rewizjonizm?

Rewizjonizm był na swój nieśmiały sposób dążeniem do demokratyzacji przy naiwnym przekonaniu, że można ją połączyć z kierowniczą rolą partii. Dla naszych starszych kolegów czy nauczycieli był też rozrachunkiem z własną przeszłością. Dobrym przykładem jest „Poemat dla dorosłych" Adama Ważyka. To była bardzo ostra, jak na tamte czasy, krytyka rzeczywistości, ale odpowiedzią na tę krytykę nadal pozostawała partia. To dobrze oddaje sprzeczność tamtego momentu. ▶



Krzysztof Pomian (ur. 1934) – historyk, filozof i eseista, jeden z rewolucjonistów 1956 r. W 1968 r. stracił pracę na uczelni za publiczną krytykę polityki władz państwowych i partyjnych, a dwa lata wcześniej z tego samego względu został usunięty z PZPR. Na początku lat 70. wyemigrował do Francji. W 1984 r. został profesorem we francuskim Krajowym Ośrodku Badań Naukowych, a w latach 2001–18 był dyrektorem naukowym Muzeum Europy w Brukseli. Na emigracji współpracował z Jerzym Giedroyciem, opracował jego „Autobiografię na cztery ręce" i publikował na łamach „Kultury". Ostatnio napisał w trzech tomach „Muzeum. Historię światową".

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ Kilka dni po polskim Październiku Sowieci zbrojnie stłumili rewolucję węgierską. Jak pan to przeżył?

Węgry wszyscy bardzo przeżyliśmy. Reakcja w Polsce była spontaniczna. Zorganizowano wielką akcję oddawania krwi. Sprawa Węgier miała być dyskutowana w ONZ i Prezydium Zarządu Głównego ZMP wystosowało list do Gomułki, żeby Polska przynajmniej wstrzymała się od głosu. Skutek był taki, że o trzeciej nad ranem Gomułka wezwał całe Prezydium ZG ZMP i potwornie nas obsobaczył. Jak na niego to nawet dość kulturalnie – może dlatego, że były z nami koleżanki – ale strasznie krzyczał: „Nie będziecie za mnie prowadzić polityki zagranicznej! Zajmujcie się waszą rozpadającą się organizacją!". O wpół do czwartej zostaliśmy odesłani do domu. Nasz gest politycznie nie miał żadnego znaczenia, nie przyniósł efektów, ale świadczył o nastrojach. Nikt z nas nie miał wątpliwości, że gdyby było to możliwe, Polska powinna głosować za rezolucją potępiającą interwencję. Ale głosowała tak jak ZSRR.

Czołgi w Budapeszcie pokazały Polakom granice demokratyzacji?

Oczywiście. To, że ZSRR jest gotów interweniować, dla nikogo z nas nie ulegało kwestii. Zresztą interwencja sowiecka groziła Polsce przed VIII Plenum KC PZPR i wyborem Gomułki.

Kiedy przestał pan wierzyć, że partię można naprawić?

W latach 60. stopniowo traciliśmy poczucie związku z partią. Razem z Leszkiem Kołakowskim zainicjowaliśmy zamknięte seminarium, na którym spotykali się pracownicy naukowi krytyczni wobec władz PZPR. Dyskutowaliśmy o polityce, społeczeństwie, kulturze. Nie mieliśmy wspólnego programu, różniliśmy się poglądami. Ale te spotkania odegrały ważną rolę w naszym politycznym i intelektualnym dojrzewaniu. Proces ten zaczął się w okolicach Października i po dziesięciu latach przyniósł swoje owoce.

Dziesięć lat po Październiku byliście krytykami partii. Ta rocznica była ważna?

Adam Michnik zwrócił uwagę, że jest 10. rocznica Października i coś z nią trzeba zrobić. Ja, swoim zwyczajem, zajmowałem się głównie siedzeniem w bibliotece i nawet nie wiem, czy wcześniej w ogóle o tym myślałem. Ale kiedy temat się pojawił, było jasne, że to doskonała okazja. Michnik był wtedy studentem, więc ja jako adiunkt w Katedrze Historii Filozofii Nowożytnej prowadziłem rozmowy z władzami partyjnymi w sprawie zorganizowania spotkania.

Leszek Kołakowski powiedział wprost, że po początkowej liberalizacji nastąpił regres. Że władza nie spełniła postulatów praworządności ani rzeczywistej odpowiedzialności przed społeczeństwem. Wiedzieliście, że partia potraktuje to jako atak?

Wiedzieliśmy z Kołakowskim, że będą konsekwencje. Właściwie mentalnie, intelektualnie byliśmy już poza partią. Mogliśmy po prostu oddać legitymacje. Ale uważaliśmy, że nasza przeszłość do czegoś obliguje, że nie możemy po prostu odejść. Powinien nastąpić jakiś akt polityczny. Kołakowski zdawał sobie sprawę, że to, co powie, zostanie źle przyjęte przez władze.

Po latach Karol Modzelewski mówił młodym ludziom, którzy chcieli zmieniać świat, że kiedy robi się rewolucję, kończy się gdzie indziej, niż się chciało.

To jest prawda historyczna... Oczywiście, że rewolucje kończą się gdzie indziej, niż zamierzali ich twórcy. W pewnym sensie to banał. To zdanie miało naprawdę niebanalny sens tylko w opozycji do przekonania, że Lenin zrobił rewolucję, która doprowadziła dokładnie do tego, do czego miała doprowadzić.

W '56 sami daliście się porwać rewolucji.

Przez krótki czas ulegliśmy romantyzmowi rewolucyjnemu. Wznowiono wtedy w Polsce „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem" Johna Reeda, reportaże o rewolucji 1917 r. Ale ja i wiele innych osób bardzo szybko ten romantyzm pogrzebaliśmy. Przekonanie, że rewolucje – w tym bolszewicka – nie doprowadziły do tego, do czego miały doprowadzić, było już dosyć rozpowszechnione. Czasy zapatrzenia w ZSRR się skończyły.

Uważa pan Październik za sukces czy za niespełnioną rewolucję?

Za wydarzenie przełomowe w historii Polski, bez którego nie byłoby tego wszystkiego, co stało się potem. Gdyby ruch październikowy został brutalnie stłumiony, gdyby Gomułka nie doszedł wtedy do władzy – zupełnie niezależnie od tego, jak potem tę władzę wykorzystał – nie sądzę, żeby ewolucja Polski w późnych latach 50., 60. i następnych przebiegała tak, jak przebiegała. I żeby fenomen Solidarności mógł się pojawić. Październik uwarunkował historię Polski na kilkadziesiąt następnych lat aż do 1989 r. Władza robiła wszystko, żeby się z niego wycofać, ale nigdy nie wycofała się do końca.

Co zostało?

Na przykład otwarcie na Zachód. Można było wyjeżdżać, pojawiały się książki, tłumaczenia, kontakty naukowe. Polska już nigdy całkowicie się z tego nie wycofała. Rola Kościoła rosła aż doszło do swoistej dwuwładzy. Nie wróciła też kolektywizacja, nie doszło do likwidacji sektora prywatnego ani do całkowitego zglajchszaltowania wyższych uczelni. Bardzo dużo w tym kierunku zrobiono, zwłaszcza w Marcu '68, ale różne enklawy pozostały. Był jeszcze jeden skutek Października, trudniejszy do uchwycenia.

Zmienił to, co Polacy wiedzieli o sobie nawzajem?

W okresie stalinowskim żyło się w zamkniętych kręgach, które się ze sobą nie kontaktowały. Kiedy „Po Prostu" zaczęło publikować choćby teksty o żołnierzach z AK, dla części czytelników to była nowa wiedza. Ludzie z taką edukacją jak moja wiedzieli niewiele o AK. Skalę represji uświadomiły nam właściwie dopiero audycje Józefa Światły w Radiu Wolna Europa. Ja sam ludzi z AK poznałem dopiero gdzieś w 1955–56, głównie w Klubie Krzywego Koła. Październik przełamał wodoszczelne grodzie, które wcześniej oddzielały różne środowiska: byłych pepeesowców, komunistów, akowców, katolików.

Zmieniła się pozycja Kościoła?

Radykalnie. PZPR zrozumiała, że Kościół może być dla niej sprzymierzeńcem. Wskazywało już na to zachowanie Wyszyńskiego, który podczas wyborów do Sejmu w 1957 r. wezwał obywateli do głosowania i sam wziął w nim udział.

A pan kiedy zaczął rozmawiać ze środowiskami katolickimi?

Pamiętam taką historię z Wydziału Filozoficznego na UW jeszcze przed Październikiem. Dwie koleżanki z ZMP wpadły na pomysł, żeby zorganizować dyskusję ze studentami filozofii KUL. Tematem miała być wolność. Trzeba było dostać zgodę Zarządu Głównego ZMP. Ze strony warszawskiej za całość ideologicznie odpowiadał Leszek Kołakowski, a ja byłem głównym referentem marksistowskim. Przyjechali studenci z KUL i odbyła się normalna dyskusja. Dzisiaj trudno sobie wyobrazić, co w tym było nadzwyczajnego, ale wtedy sam fakt, że marksista i katolik mogą wystąpić na równych prawach i dyskutować o wolności, oznaczał przełamanie monopolu na jedyną słuszną rację.

ROZMAWIAŁ JAKUB HALCEWICZ

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Kto pierwszy rzucił bombę

Pomysł bombardowań z powietrza narodził się jeszcze przed skonstruowaniem samolotu. Podobnie jak idea, by tego zabronić. Przeciwni lotniczym atakom byli zwłaszcza Rosjanie.

ANDRZEJ KRAJEWSKI



Bombardowanie Wenecji w 1849 r. na obrazie Luigiego Quereny

© ALAMY/BE&W

Ku zdumieniu całej Europy 29 września 1898 r. car Mikołaj II ogłosił wezwanie do narodów, by zwołały konferencję dotyczącą ograniczenia zbrojeń. Jego apel padł na podatny grunt. Nie tylko prasa, uczeni i ludzie kultury z niepokojem śledzili nasilający się wyścig zbrojeń i wprowadzanie do użytku coraz bardziej skutecznych broni. Nawet przywódcy mocarstw czuli się zaniepokojeni. Zwłaszcza że wymuszało to nieustanny wzrost wydatków na armię. Spełniono życzenie rosyjskiego imperatora i zwołano w Hadze konferencję pokojową. Aż 26 państw zdecydowało się wysłać na nią delegacje. Zanim obrady się rozpoczęły, Rosja w grudniu 1898 r. zaproponowała w nocie dyplomatycznej, aby do przyszłego traktatu wprowadzić „zakaz zrzucania jakichkolwiek pocisków lub materiałów wybuchowych z balonów lub za pomocą podobnych metod". Kiedy 18 maja 1899 r. rozpoczęła się konferencja, na fali powszechnego entuzjazmu zaakceptowano propozycję Mikołaja II.

Wizje przyszłości

Zastrzeżenia zgłosił odpowiedzialny w delegacji USA za kwestie wojskowe kpt. William Crozier. „Nowe wynalazki i wydarzenia mogą wkrótce spowodować, że statki powietrzne dadzą się kierować, że przy pomocy siły motoru będzie można je wysłać nad pole bitwy, tak by wzięły w niej udział w krytycznym momencie, prawdopodobnie z decydującym wynikiem, przez co na dłuższą metę zaoszczędzone zostanie życie ludzkie i skrócony konflikt" – relacjonuje w monografii „Wyniosła wieża" Barbara W. Tuchman. Zamiast zakazu Crozier proponował pięcioletnie moratorium i pozyskał poparcie większości delegacji. Ku niezadowoleniu cara i jego otoczenia, które zdawało sobie sprawę z technicznego zacofania imperium Romanowów.

W Petersburgu obawiano się, że zachodnie mocarstwa pierwsze wejdą w posiadanie urządzeń latających i zyskają olbrzymią przewagę. Dlatego po wygaśnięciu moratorium Mikołaj II uparcie powracał do swojego postulatu. Ostatecznie w konwencji dotyczącej „praw i zwyczajów wojny lądowej", przyjętej w Hadze 18 października 1907 r., zawarto artykuł 25.: „Wzbronione jest atakowanie lub bombardowanie w jakibądź sposób bezbronnych wsi, domów mieszkalnych i budowli". Słowa „jakibądź" użyto dla zakazania bombardowań także z powietrza. Jednak tak daleko idące ograniczenia w prowadzeniu wojny wzbudziły opór przywódców mocarstw. Żadne z nich nie ratyfikowało tejże konwencji haskiej. Choć w rychłe nadejście czasów, gdy bombardowania z powietrza staną się czymś oczywistym, prawie nikt wówczas nie wierzył. Ów brak wiary umacniały wcześniejsze doświadczenia.

Nalot na Wenecję

Choć Franz von Uchatius wybrał karierę artylerzysty w armii cesarza Franciszka Józefa, najbardziej pasjonowały go nowinki techniczne oraz nauka. Z wynalazków jego autorstwa największą sławę przyniosły mu bombardowania z powietrza. Na nowatorski pomysł wpadł wiosną 1849 r., gdy austriacka armia oblegała Wenecję, w której wybuchło antyhabsburskie powstanie. Młody porucznik zaproponował wówczas dowódcom, że stworzy flotyllę papierowych balonów, które przeniosą nad miasto ważące po ok. 15 kg bomby. Ich upadek na cel miały zagwarantować zapalniki czasowe niszczące balony. Prekursorski nalot przeprowadzono 15 lipca 1849 r.

Śledzący wydarzenie anonimowy korespondent londyńskiego dziennika „Morning Chronicle" relacjonował: „Po kilku eksperymentach okazało ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ się, że skoro wiatr wieje dziewięć razy na dziesięć od morza, nadmuchiwanie balonów musi odbywać się na pokładzie statku. Tak było 15 lipca, o czym wspomniano w poprzednim liście, gdy dwa balony uzbrojone w bomby wzbiły się w powietrze z pokładu wojennego parowca »Volcano« i na wysokości 3500 sążni poleciały w kierunku Wenecji". Korespondent nie sprecyzował, ile balonów tamtego dnia wypuszczono. Natomiast twierdził: „po upływie dwudziestu trzech minut nastąpiła eksplozja. Kapitan angielskiego brygu Frolic i inne osoby przebywające wówczas w Wenecji zeznają o skrajnym przerażeniu i wpływie na morale mieszkańców". Potem różne relacje prezentowały sprzeczne liczby, od dwóch do nawet dwustu balonów wysłanych nad Wenecję przez porucznika von Uchatiusa. Z biegiem lat opowieści o panice, jaką wzbudziły wśród Wenecjan, stawały się coraz barwniejsze. Efekty militarne musiały jednak okazać się mizerne, skoro ataku nie ponowiono. Miasto skapitulowało 22 sierpnia 1849 r. z powodu głodu i epidemii cholery. Franz von Uchatius już nie wracał do swego pomysłu, nawet gdy dosłużył się stopnia feldmarszałka.

Robili to natomiast inni eksperymentatorzy podczas kolejnych wojen. Próby zrzucania ładunków wybuchowych na wroga z balonów obserwacyjnych odnotowano w czasie amerykańskiej wojny secesyjnej 1861–65 oraz francusko-pruskiej w 1870 r. Żadna z nich nie przyniosła sukcesu wartego uwagi. Balony leciały tam, gdzie niósł je wiatr, więc trafienie z powietrza w konkretny obiekt graniczyło z cudem.

Teoretycy lotnictwa nie dali za wygraną. „Do takich ludzi należeli niewątpliwie Aleksander Możajski w Rosji i Clément Ader we Francji, którzy zaprojektowali i zbudowali aparaty latające cięższe od powietrza" – podkreśla w monografii „Samoloty bombowe pierwszej wojny światowej" Wiesław Bączkowski. „Z opisu patentowego samolotu Możajskiego wiemy, że służyć miał do »rozpoznania, sygnalizacji, komunikowania się, a także bombardowania«. Także Ader zakładał wykorzystanie swego aparatu latającego do lotniczego rozpoznania, bombardowania, a nawet torpedowania" – dodaje Bączkowski. Kłopot polegał na tym, że maszyny latające, które pod koniec XIX w. obaj teoretycy oferowali wojsku, nie potrafiły wzbić się w powietrze na dłużej. Ale wkrótce świat usłyszał o samolocie braci Wright.



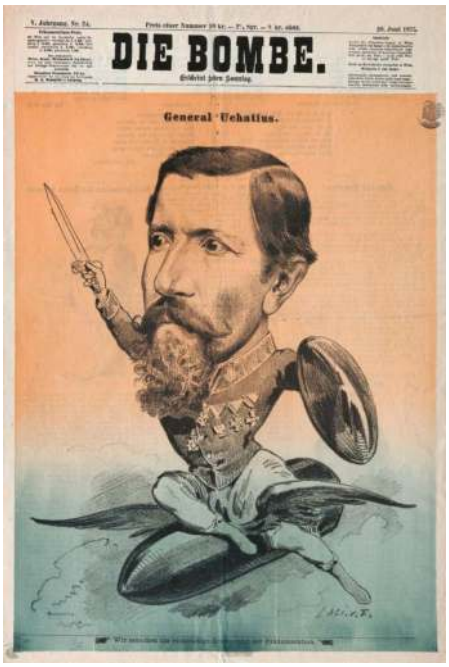

Od lewej: **konstruktor Glenn Curtiss, artylerzysta Franz von Uchatius (karykatura)**

Publiczne pokazy

„Kiedy tylko osiągi maszyn pozwoliły na zabieranie kilku kilogramów dodatkowego ładunku poza pilotem i obserwatorem, natychmiast rozpoczęto próby zainstalowania na nich broni" – pisze Walter J. Boyne w monografii „Skrzydła wojny". Autorzy eksperymentów musieli wybierać, czy bardziej przydatny okaże się karabin, czy coś, co wybuchnie, trafiając w cel. Amerykański konstruktor Glenn Curtiss jako pierwszy wypróbował oba rozwiązania. Najpierw 30 czerwca 1910 r. na oczach obserwatorów przysłanych przez marynarkę wojenną USA wzbił się na dwupłatowcu nad jezioro Keuka nieopodal Hammondsport (stan Nowy Jork). Po czym poleciał nad cel, którym były unoszące się na wodzie deski, powiązane siecią w kształt imitujący kadłub ówczesnego pancernika. Curtiss z wysokości ok. 100 m zrzucał nań puszki po konserwach wypełnione cementem. Na 20 „bomb" aż 18 trafiło w cel lub tuż obok niego.

Drugi pokaz wynalazca zorganizował 20 sierpnia 1910 r. na nowojorskim Brooklynie, wykorzystując tor wyścigów konnych Sheepshead Bay. W powietrzu towarzyszył mu por. Jacob Fickel, siedzący na metalowej ramie przy kabinie pilota. Oficer jedną ręką trzymał się stelaża skrzydła, a w drugiej dzierżył karabin Springfield M1903. Gdy przelatywali nad torem, wycelował i bezbłędnie trafił w ustawioną na nim tarczę, wzbudzając entuzjazm widowni.

Amerykanom próbowali dotrzymać kroku Francuzi. „W tym samym roku na publicznych pokazach lotniczych w miejscowościach Villacoublay, Meudon i Châlons, lotnicy francuscy demonstrowali zrzucanie petard do celu naziemnego z samolotów typu Voisin i Farman" – pisze Bączkowski. O wydarzeniach tych rozpisywała się europejska prasa, a fascynacja lotnictwem rosła.

Włoska robota

Tymczasem wkrótce wszystkich zadziwili lekceważeni przez inne mocarstwa Włosi. Na początku 1911 r. Rzym – pod pretekstem ochrony włoskich osadników – zażądał od Turków zrzeczenia się Trypolitanii i Cyrenajki. Gdy ci odmówili, pod koniec września 1911 r. wypłynął do Afryki korpus ekspedycyjny. Statki oprócz żołnierzy i broni wiozły tajemnicze skrzynie. Zapakowano do nich siedem samolotów zakupionych od trzech francuskich wytwórni: Louisa Blériota, braci Farman oraz braci Nieuport. Do kompletu dodano dwie maszyny austriackiego konstruktora Etricha Taubego. Udało się też zabrać na wyprawę 11 pilotów, spośród których pięciu było cywilnymi ochotnikami. Dowodził nimi kapitan artylerii, uczący się pilotażu Carlo Piazza. Początkowo włoscy lotnicy odbywali jedynie loty rozpoznawcze, przekazując meldunki o ruchach

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Włoski lotnik porucznik Giulio Gavotti

wojsk wroga. Szybko jednak przestało im to wystarczać.

Porucznik Giulio Gavotti, regularnie piszący listy do ojca, w wysłanym na początku listopada 1911 r. informował go: „Dziś postanowiłem spróbować zrzucić bomby z samolotu. To będzie nasza pierwsza próba i jeśli mi się uda, będę naprawdę zadowolony, że będę pierwszą osobą, która tego dokona". Opisał też szczegółowo przygotowania: „Przy siedzeniu zamontowałem małe skórzane etui z wyściółką w środku. Bardzo ostrożnie umieściłem w nim bomby. To małe, okrągłe bomby – każda waży około półtora kilograma. Włożyłem trzy do etui, a kolejną do przedniej kieszeni kurtki". Od dowództwa nie otrzymał żadnych instrukcji. Po prostu improwizował, najbardziej bojąc się tego, że któraś z bomb eksploduje podczas lotu. Swój samolot skierował nad oazę Ain Zara, znajdującą się na wschód od Trypolisu. „Zrzucanie bomb, choć nie przyniosło szkód materialnych, wywarło znakomity efekt moralny. Nasze wojska były pierwszymi na świecie, które zastosowały tę metodę ataku" – napisano w raporcie włoskiego sztabu generalnego.

Jak wielkie zainteresowanie wzbudziły lot porucznika Gavottiego i własnoręczne zrzucenie czterech bomb na głowy tureckich żołnierzy, najlepiej świadczy to, że jego listami oraz raportami przełożonych zainteresowali się wojskowi na całym świecie. Już w 1914 r. ukazał się w USA w formie książki zbiór dokumentów „The Italo-Turkish War (1911–12). Translated and Compiled from the Reports of the Italian General Staff" (Wojna włosko-turecka 1911–12. Przetłumaczone i skompilowane na podstawie raportów włoskiego sztabu generalnego). Zainteresowanie podsycało to, że po pierwszej próbie włoscy lotnicy zaczęli regularnie bombardować Turków. W grudniu 1911 r. do Trypolisu przybył osobiście wynalazca radia Guglielmo Marconi, by wesprzeć rodaków. Zainstalowanie radiostacji w samolotach nie wchodziło w grę z powodu ciężaru tych urządzeń. Jednak wynalazca wpadł na pomysł zbudowania sieci naziemnych stacji radiowych, przy których mogli lądować piloci i błyskawicznie skomunikować się z dowództwem. Po czym zabierać ładunek bomb i wyruszać do walki z zupełnie bezradnymi Turkami.

Konkurs bombardowań

„Powodzenie kampanii lotniczej wywarło ogromny wpływ na włoskie społeczeństwo, zachwycone deszczem odznaczeń, który spadł na głównych sprawców sukcesu, co zaowocowało zalewem poezji i piosenek, a nawet grą planszową na fali radosnych uniesień" – opisuje Walter J. Boyne. Jednocześnie Turcy przez cały okres walk ogłaszali na forum międzynarodowym kolejne protesty, odwołując się do konwencji haskiej. Oskarżyli też włoskich lotników o zbombardowanie szpitala, lecz nic tym nie wskórali. Starali się więc nadrobić zaległości, wysyłając do Niemiec grupę oficerów, by uczyli się pilotażu. Zakupili dla nich 15 samolotów różnych typów. Przydały się, kiedy na początku października 1912 r. sojusz utworzony przez Bułgarię, Serbię, Grecję i Czarnogórę rozpoczął wojnę z Imperium Osmańskim, by wyprzeć je z Bałkanów.

Wówczas okazało się, że jedynie Czarnogóra nie posiada własnych sił lotniczych. Bułgarii udało się zgromadzić aż 30 latających maszyn zakupionych we Francji, Niemczech i Rosji. Problem deficytu pilotów rozwiązała grupa rosyjskich ochotników. Ich przyjazd zorganizował Siergiej Szczetinin, petersburski przedsiębiorca, który w 1909 r. założył pierwszą w Rosji fabrykę samolotów. Wprawdzie sam nie latał, ale obserwując z bliska wojnę na Bałkanach, zbierał doświadczenia i szukał nowych rozwiązań. Zrzucanie małych bomb wprost z kabiny, co podobnie jak por. Gavotti praktykowali rosyjscy piloci, było bardzo niewygodne.

Wówczas Szczetininowi w sukurs przyszedł wyszkolony we Francji kpt. Simeon Petrow. Wszechstronnie uzdolniony Bułgar wpadł na pomysł, że bomba lotnicza musi mieć opływowy kształt, stabilizujące jej lot stateczniki oraz zapalnik uderzeniowy. Do tego dodał zaczep pod kadłubem samolotu oraz mechanizm zwalniający go, złożony z linki i dźwigni w kokpicie pilota.

Już 16 października 1912 r. zmodyfikowany wedle zaleceń Petrowa samolot Albatros F.2. zrzucił dwie bomby na stację kolejową Karaağaç w tureckim Adrianopolu. Zainspirowany tym Szczetinin uznał, że bombardowanie będzie skuteczniejsze, jeśli przeprowadzi je kilka bombowców. Zatem 12 listopada 1912 r. ten sam strategiczny węzeł kolejowy zbombardowały jednocześnie cztery samoloty pilotowane przez Rosjan i Bułgarów.

Jedyną rzeczą potrzebną do pełnego sukcesu pozostawał odpowiedni celownik. Bez niego pudłowano. Ale ów już istniał. Zaprojektował go Amerykanin Riley Scott i użył, by w styczniu 1912 r. wygrać międzynarodowy konkurs bombardowań na lotnisku Villacoublay we Francji.

Tak oto, zaledwie dziewięć lat po tym, jak w powietrze wzbił się samolot braci Wright, wszystko, co niezbędne do prowadzenia bombardowań, było już gotowe. Należało jedynie doskonalić konstrukcję samolotu oraz taktykę działania bombowców. Nastąpiło to błyskawicznie podczas pierwszej wojny światowej, gdy ataki z powietrza stały się codziennością.

ANDRZEJ KRAJEWSKI

© BE&W, ALAMY/BE&W, UIG/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e



serial

Biegun szczęścia 4/6

Matki pingwinów 2, twórczyni serii: Klara Kochańska-Bajon, 6 odc., Netflix

Premierowy sezon „Matek pingwinów" dwa lata temu odbił się szerokim echem. Zrodzony z pomysłu Klary Kochańskiej-Bajon, współtworzony przez Ninę Lewandowską, Dorotę Trzaskę i Jagodę Szelc, poruszał temat bardzo słabo obecny w rodzimej popkulturze – codzienności rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. Twórczynie nie zamierzały iść w martyrologię, ton opowieści uciekał od dramatu w stronę komedii. Czasem był to bieg na skróty, co nie wszystkich przekonywało i bywało podnoszone jako zarzut. Problematyczne było też uczynienie jednej z głównych bohaterek (a licząc ekranowy czas – głównej), Kamy (Masza Wągrocka), która w pierwszym sezonie musi się pogodzić z diagnozą neuroatypowości syna, gwiazdą walk MMA. Pewnie miało to przyciągnąć do serialu widzów niezainteresowanych jego tematyką i dzięki temu poszerzyć odbiór. Oby się opłaciło. W nowym sezonie wszyscy bohaterowie są bardzo zdziwieni faktem, że ciągłe uderzenia w głowę prowadzą do urazów mózgu i odbijają się na zdrowiu... I jakie ostatecznie wyciągają z tego wnioski? Bynajmniej nie takie, jakich można by się spodziewać. Jeśli jednak porzuci się podobne obiekcje, drugą rundę walki Kamy, Uli (**Barbara Wypych**), Tatiany (Magdalena Różczka) i Jerzego (**Tomasz Tyndyk**) o lepszą edukację dla swoich dzieci ogląda się z przyjemnością.

Tym razem kwartet zakłada szkołę integracyjną Biegun Szczęścia, ale kłopotów tylko przybywa. Grono scenarzystek zostało rozbudowane, a wraz z nimi pojawiły się nowe wątki, w tym „niewidzialnego dziecka" i edukacji seksualnej. Dzieci wchodzą w okres dojrzewania, a dorośli w (nowe) związki, co wywołuje temat rodzin patchworkowych. Najpełniej – i to najciekawszy element drugiej serii – uroki takich wielopoziomowych ludzkich szachów widać na przykładzie Kamy, obecnie mieszkającej ze swoim chłopakiem Pawłem (świetny Mateusz Damięcki) oraz ze swoim synem (**Jan Lubas**) i z córką Pawła, nastoletnią Mią (Tola Hułub), której matka zmarła kilka lat wcześniej. Finałowy zwrot akcji zapowiada powstanie kolejnego sezonu.

ANETA KYZIOŁ

film

Totalna demolka 3/6

Witajcie w Hope, reż. Na Hong-jin, prod. Korea Południowa, 157 min, w kinach od 30 października

Małe miasteczko gdzieś na granicy obu Korei wydaje się gotowe na ewentualną inwazję. Dostępu strzegą pola minowe, plakaty przestrzegają przed działalnością szpiegów, a mieszkańcy gromadzą zapasy broni. Nie takiej jednak inwazji się spodziewali: miejscowość zostaje zrównana z ziemią przez potężne, szybkie i najwyraźniej niemożliwe do zgładzenia potwory, a nierówną walkę prowadzi z nimi para miejscowych policjantów



Akcja bezlitośnie posuwa się do przodu. A myśleli, że wróg nadejdzie z północy...

z pomocą przypadkowej zbieraniny desperatów, od kłusowników po wiekowych weteranów. „Witajcie w Hope" to dwuipółgodzinny roller-coaster z nielicznymi przerwami na złapanie oddechu. Na Hong-jin, mistrz kina gatunkowego, nie ogląda się tym razem na logikę zdarzeń, ale bez litości pcha akcję do przodu, mieszając adrenalinę z wybornym, choć ryzykownym humorem. Do pewnego momentu to działa: pierwszy akt filmu to popis reżyserskiej maestrii, intensywny, trzymający w napięciu i turpistycznie zabawny. Im dalej jednak, tym gorzej, a odkrycie prawdziwej natury potworów to – także ze względu na wątpliwej jakości efekty komputerowe – srogie rozczarowanie. „Witajcie w Hope", zamierzone jako bezpardonowa kpina z hollywoodzkich blockbusterów i zrealizowane za znacznie niższy budżet, ma sporo wdzięku i mnóstwo fantastycznych pomysłów (warto docenić obsadowy żart: proszę zwrócić uwagę, jakie role grają tu Michael Fassbender i Alicia Vikander), lecz ostatecznie również okazuje się rozrywką tyleż angażującą, co pustą.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© KRZYSZTOF WIKTOR, MONOLITH FILMS, MAGDA HUECKEL, KRZYSZTOF MYSTKOWSKI, THE ESTATE OF ALINA SZAPOCZNIKOW/GALERIE LOEVENBRUCK, PARIS – HAUSER&WIRTH

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Co dobrego w „Złym”? 2/6

Zły, według powieści Leopolda Tyrmanda, reż. Krzysztof Garbaczewski, Teatr Powszechny w Warszawie

Chciałoby się, żeby teatralny „Zły” był dobry. Bo trwa pięć godzin, bo książkowy oryginał ma od 70 lat status powieści kultowej, zwłaszcza dla Warszawiaków, którzy widzą w nim hołd złożony miastu. Ale przede wszystkim dlatego, że Krzysztof Garbaczewski to jeden z wcale nie tak licznych reżyserów, którzy uwodzą rozmachem wyobraźni, potrafią zaskoczyć, wbić w fotel, rozśmieszyć. Tymczasem ten „Zły” jest nudny i monotonny. Powieściowe śledztwo w sprawie tajemniczego mściciela i działania szajki kryminalistów planujących przekręt z lewymi biletami na mecz, przedstawiane są tak, jakby twórcy robili wyprzedaż swoich zgranych chwytów – i aktorzy, i reżyser, który odgrzewa swoje firmowe cyfrowe dania: są obowiązkowe gogle VR, na ekranie z boku sceny AI przerabia wizerunki bohaterów, w kilku scenach pojawia się pies robot. Jeśli składa się to w jakąś opowieść, to może w taką, że popkultura, którą w latach 50. próbował w „Złym” przemycić za żelazną kurtynę Leopold Tyrmand, zjada dziś własny ogon: wszystkie te superbohaterskie i gangsterskie historie, których pełne są kino i seriale, powtarzane w kółko, zamiast ekscytować, nużą. W podobną powtarzalność wpada dziś zagubiony teatr. Czy jest z tego jakieś wyjście? W „Złym” temperatura rośnie w tych nielicznych momentach, w których intryga zostaje zawieszona, a bohaterowie mówią fragmentami „Dzienników” Tyrmanda – wtedy pojawia się ożywcze uczucie obcowania z żywym człowiekiem i jego myślą. AK



Gdzie jest Weiser 3/6

Ewa Fabiańska-Jelińska, **Weiser**, reż. Romuald Wicza-Pokojski, kier. muz. Radosław Droń, Opera Bałtycka

Gdański teatr operowy ma chlubną tradycję zamawiania oper u twórców współczesnych, często na lokalne tematy. A „Weiser Dawidek” Pawła Huellego to bardzo gdańska opowieść, choć rozgrywa się w 1957 r. w peryferyjnej Strzyży, między Wrzeszczem a Oliwą. Był to również jeden z najbardziej błyskotliwych debiutów w polskiej literaturze współczesnej, łączący mit dzieciństwa, cień Zagłady, opowieść o Innym. Wyjątkowość tej książki zasadza się w atmosferze, w budowaniu napięcia. Jednak w operze trudno to zrobić tak skutecznie. Efekt sprawia wrażenie wyjętych z kontekstu osobnych scen, nawet pierwszy akt kończy się, jak nożem uciął. Muzyka jest nierówna, obok ciekawych fragmentów są monotonne. Użyte środki teatralne również nie przybliżają do treści, wręcz przeciwnie, a już zakończenie, gdzie – w roli pamiętnych śniętych ryb – na scenę zostają wniesione nagie ludzkie ciała, jest łopatologiczną już metaforą. Pochwalić można wykonanie muzyczne; ciekawy jest pomysł powierzenia roli tytułowej kontratenorowi (**Jan Jakub Monowid** w pierwszej obsadzie i Michał Sławecki w drugiej), a roli Elki – solistce śpiewającej białym głosem, z kaszubska (**Anna Bochniak-Fryc** lub Joanna Gostkowska). Również poboczne role wypadają pozytywnie, jednak w poszatkowanej całości ginie urok oryginału. Spektakl reklamują plakaty z pytaniem „Gdzie jest Weiser?”. No właśnie.

DOROTA SZWARCMAN



Rzeźbiarka z protezą 4/6

Alina Szapocznikow/Nairy Baghramian, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, Warszawa, do 31 stycznia 2027 r.

W 2026 r. mija setna rocznica urodzin wielkiej polskiej rzeźbiarki Aliny Szapocznikow, ale polscy parlamentarzyści na patrona roku wybrali malarza Józefa Czapskiego (na okoliczność 130. rocznicy jego urodzin). Na szczęście świat sztuki poważnie podszedł do kalendarzowego faktu. Była więc imponująca wystawa dorobku artystki we francuskim Grenoble i bardzo rzetelna w Muzeum Narodowym w Krakowie. Wystawa w Zachęcie to budujący powrót (czy na stałe?) do tego, co powinno być fundamentem wystawienniczym tej placówki – klasyki polskiej i światowej sztuki XX w. Niestety, pozostawia pewien niedosyt. Oczekiwałbym wystawy monograficznej, skreślonej z rozmachem, pokazującej niezwykłą artystyczną drogę Szapocznikow i jej sztukę, na której piętno odciskały kolejne traumy, lęki, nadzieje, wyzwania. Tymczasem tutaj „udało się” sformatować rzeźbiarkę w dwóch tylko salach wystawowych, a nadto zapewnić jej towarzystwo współczesnej (urodzonej w 1972 r.) znanej i cenionej w świecie irańsko-niemieckiej rzeźbiarki Nairy Baghramian. Ciekawej, ale reprezentowanej w Zachęcie sztuką biegunowo różną od Szapocznikow. Owszem, obie artystki łączą wprawdzie odwołania do ludzkiego ciała, ale to trochę za mało, by poczuć, że ich sztuka wchodzi ze sobą w jakikolwiek dyskurs. Do tego monumentalne, chłodne, wyrafinowane prace Baghramian wydają się przytłaczać emocjonalne dzieła naszej artystki.

PIOTR SARZYŃSKI



Alina Szapocznikow, „Popiersie bez głowy”, 1968 r.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Świnie i święte krowy 4/6

Marek Krajewski, **Złodzieje trupów**, Wydawnictwo Znak, Kraków 2026, s. 448

Dużo Wałbrzycha w literaturze tej jesieni. I u Marka Krajewskiego, i w nowej powieści Olgi Tokarczuk Wałbrzych to jeszcze Waldenburg, ale na tym podobieństwa się kończą. Krajewski odmalowuje czasy przedwojenne, gdy w okolicy szerzy się „psychiczna zaraza" (inne również). Chorzy „szaleńcy" są uznawani za opętanych i chowani osobno. Tyle że podczas jednego z pogrzebów z trumny wychynęła zdechła świnia. Zmarła, a teraz też zaginiona Agnes Wicke wywołuje sensację i łączy kilku bohaterów tej powieści. Kluczowy jest tu „praktykant medyczny" Herbert Anwaldt, psychiatra, specjalista od syfilityków i ludzkich dusz, słynący z tego, że potrafi odwieść od myśli samobójczych. Gdy odchodzi ze szpitala w aurze skandalu, dostaje inną, nieomal detektywistyczną misję do wykonania. Anwaldt jest głównym bohaterem wałbrzyskiej serii, ale występuje tu także dobrze znany z książek Krajewskiego wachmistrz kryminalny Eberhard Mock, żywo zainteresowany zagadką znikających ciał. Bo Agnes to nie jest odosobniony przypadek. Co ma z tym wspólnego miejscowy „król funeralistów", przedsiębiorca pogrzebowy Heinrich Rexner? A co „król porcelany", z której Wałbrzych słynął w owych czasach? Przychodzi na myśl nie tak dawna sprawa „łowców skór", ale ciekawsze od makabry zbrodni jest tu podejście do psychologii i psychiatrii sprzed stu lat, jeszcze raczkujących. W przypisach czytelnik jest odsyłany do innych książek Krajewskiego, nie musi niczego sam szukać. Wystarczy, że gubi się w intrygach. Po to czyta się kryminały.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA





Wejście w wojnę 5/6

Antonina Palarczyk, **Neńka licho. Ukraina. Reportaż z wojny**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 384

Co robi dziewczyna na froncie? W dodatku „Polaczka" z Katowic? Antonina Palarczyk jeździła jako wolontariuszka i współpracowniczka „Tygodnika Powszechnego" do kolejnych brygad i batalionów daleko na wschodzie pod Kupiańskiem, Kramatorskiem, Pokrowskiem, Awdijiwką czy Donieckiem, z pomocą, ale przede wszystkim – żeby móc o tym pisać. Kiedy wybuchła pełnoskalowa wojna, miała 21 lat i – jak pisze – wojna stała się jej miejscem wchodzenia w dorosłość. Weszła w nią jako „durny podlotek", a po kilku latach stała się kimś innym. Z tego zbioru reportaży dowiadujemy się też, jak to jest być dziewczyną wśród Czeczeńców – czasem ucieczką jest udawanie dziecka, czasem trzeba mieć gaz pieprzowy pod ręką. Jednak książka jest przede wszystkim obserwacją wojny z bardzo bliska, z całym koszmarem i beznadzieją. Palarczyk ma oko, które potrafi wychwycić cały obraz, obrazy, zapachy, przyrodę i ludzi. Fragmenty książki zamieniają się wręcz w poetyckie opisy, brawurowe i piękne – jak oda do lasu czy opis Charkowa, który był „monumentalny i całkowicie bezbronny jak gołe pisklę". A przy tym dumny i wart miłości. To tekst porywający i przyszpilający mocnymi zdaniami, pisany ze słuchem i umiejętnością tworzenia portretów spotkanych ludzi, z którymi autorka przez pewien czas dzieli życie, by potem dowiedzieć się o ich śmierci.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

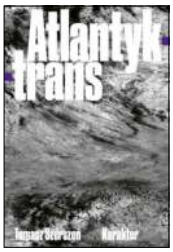

Trans na Atlantyku 4/6

Tomasz Szerszeń, **Atlantyk-trans**, Karakter, Kraków 2026, s. 256

Książka „Atlantyk-trans" Tomasza Szerszenia – pisarza, fotografa i antropologa – to eseistyczny dziennik pokładowy. Oceaniczna wyprawa w skali makro łączy się tu z peregrynacjami po tworzących istny labirynt wnętrzach statku, co pozwala podglądać społeczne interakcje, a niejako przy okazji pomaga zrozumieć nowego siebie: z jednej strony podróżnika po przestworze oceanu, z drugiej – chwilowego więźnia ograniczonej pokładowej przestrzeni. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że w tej opowieści płynie się z Ameryki do Europy, co niejako odwraca klasyczne narracje przybyszów ze Starego Kontynentu. Dlatego jest to w pewnym sensie podróż do źródeł, a tym samym subiektywny i zaskakujący pod względem interpretacyjnym przegląd „transatlantyckich" dzieł kultury. Jest to też podróż śladami emigrantów, którzy na pokładach (choć częściej pod pokładami) statków uciekali przed wojną, szukając po drugiej stronie Atlantyku lepszego życia. Zdawać by się mogło, że pisząc o transatlantyckiej podróży, nie da się uciec od gombrowiczowskiego patronatu. A jednak Szerszeń podejmuje taką próbę, odwracając tytuł powieści autora „Ferdydurke". Po pierwsze – na honorowym miejscu znajduje się w tym przypadku sam ocean. Po drugie zaś, na niezależność wybija się tu „trans", który do podstawowego znaczenia tranzytowego dorzuca termin z pogranicza psychologii, medycyny i antropologii. Taka długa podróż transatlantykiem (podobnie zresztą jak zajmująca lektura) bowiem jest w stanie – jak zauważa Tomasz Szerszeń – wprowadzić nas w odmienny stan świadomości.

MACIEJ ROBERT

© MACIEJ ZIENKIEWICZ/FORUM, ASTRIDA VALIGORSKY/GETTY IMAGES, MP(9)

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Do pierwszego bossa 4/6

Valor Mortis, One More Level, better.gaming agency, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5



Taki wynaturzony, mroczny świat mógł zobaczyć w malignie gorączki umierający żołnierz armii napoleońskiej rejterującej przed rosyjskim „generałem zimą". Ziemia zasłana gnijącymi trupami ludzi i koni. Strzaskane pnie drzew, palisady z zaostrzonych bali i monstra niczym z koszmarów. Anachronizmami byłyby w tej agonalnej wizji co prawda lokomotywy z wagonami oraz okopy niczym z pierwszej wojny światowej, ale jako scenografia widowiska wypadają przekonująco. Polskie studio One More Level stworzyło udaną, spójną koncepcyjnie grę. Wpływ stylu i filozofii tworzenia gier FromSoftware jest ewidentny, ale w przeciwieństwie do niezliczonych naśladowców tego japońskiego studia krakowscy projektanci podążyli własną ścieżką. Popełnili tylko jeden powszechny, grubszy błąd. Pierwszy poważny przeciwnik (boss) może się okazać dla wielu frustrująco mozolnym wyzwaniem.

Ścigacze z dopalaczem 3/6

Star Wars: Galactic Racer, Fuse Games, Plaion, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5



W niezbyt udanym filmie „Gwiezdne wojny: część I – Mroczne widmo" epizodem, który robił bodaj największe wrażenie, był wyścig ścigaczy na planecie Tatooine z udziałem młodego Anakina Skywalkera. Powstało już kilka gier nawiązujących do tej rywalizacji. „Star Wars: Galactic Racer" być może nie zyska równie kultowego statusu co do dziś uwielbiany „Star Wars Episode I: Racer" sprzed ponad ćwierćwiecza, ale zadowoli koneserów. Ma mocno zręcznościowy charakter i – zgodnie z filmowym przekazem – polega nie tylko na wyprzedzaniu przeciwników, lecz także na eliminacji ich z wyścigu w sposób daleki od dyplomacji. Trzy rodzaje dopalaczy sprawiają, że rajdowcowi nie brakuje szybkości i dopaminy. Jest tu wszystko, czego można wyczekiwać. Co nie dziwi, bo choć to debiutancka produkcja nowego studia Fuse Games, stworzyli ją weterani stojący za sukcesami takich klasyków jak „Burnout" czy „Need for Speed".

Poeta miecza 4/6

Onimusha: Way of the Sword, Capcom, Cenega, Windows, Xbox Series X/S, PlayStation 5, Nintendo Switch 2



Co może mieć wspólnego nieżyjący japoński aktor Toshirō Mifune, sławny dzięki filmom Akiry Kurosawy, z nową grą wideo „Onimusha: Way of the Sword"? W latach 50. Mifune zagrał główną rolę w wyreżyserowanej przez Hiroshiego Inagakiego samurajskiej trylogii filmowej. Protagonistą tych opowieści był Musashi Miyamoto – postać historyczna, japoński bohater narodowy. Ronin, poeta, malarz, twórca szkoły walki dwoma mieczami. I on jest bohaterem pierwszej od dwóch dekad gry Capcomu z serii „Onimusha". Co więcej, ma twarz Mifune. W grze bohater to jednak typ porywczy, arogancki, wręcz pyszałkowaty. Za to niezrównany mistrz miecza – tylko jednego, nie stworzył jeszcze swojej szkoły walki. I tu się kończy historyczna paralela, a zaczyna typowa japońska gra akcji, w której sztuka władania orężem przypomina gracją przeczący grawitacji balet, a widowiskowością pokazy iluzjonisty. Dla smakoszy gatunku.

OLAF SZEWCZYK

nie przegap



Diabły, reż. Ken Russell, prod. Wielka Brytania, już w kinach

Ten film z 1971 r., bezkompromisowy traktat o inkwizycji i manipulacji społecznej, zyskał sławę najostrzej cenzurowanego dzieła w epoce kontestacji. Szok budziły epatujące nagością i przemocą sekwencje, oskarżany o bluźnierstwo przez Watykan film został zakazany również w krajach bloku wschodniego, a przez studio Warner Bros. był okrajany. „Diabły" wchodzą dziś na nowo do kin w wersji reżyserskiej, co pozwala docenić wizjonerski popis wyobraźni Kena Russella i scenografa Dereka Jarmana. JW



Voo Voo, **1986**, Polskie Radio

Odnaleziony w archiwach radiowych zestaw utworów Voo Voo we wczesnym składzie (prócz Wojciecha Waglewskiego i Mateusza Pospieszalskiego są tu Jan Pospieszalski i Andrzej Ryszka), zarejestrowanych w tytułowym roku tuż przed historyczną „Sno-powiązałką". Część materiału trafiła kiedyś na już niedostępną kompilację Trójki, a dzisiejsze, premierowe wydanie tych ważnych staroci to także ciekawy przykład współpracy między zespołem a Polskim Radiem (Adam Domagała) i fanami (Zbigniew Błasiak w roli kronikarza i inspiratora całości). BCH



Cameron Winter, **Live at Carnegie Hall**, Partisan

Płyta „Heavy Metal", solowy debiut lidera Geese, Camerona Wintera, z metalem nie ma nic wspólnego. A już tym bardziej w wersji koncertowej, do której 23-letni Nowojorczyk przepisał swoje poruszające ballady na fortepian i głos. Ten skromny, solowy występ w Carnegie Hall (utrwalony także na filmie przez Paula Thomasa Andersona) robi kolosalne wrażenie. I jest to rzadki przypadek, kiedy wokół jakiegoś muzyka w ciągu paru sezonów rośnie taka atmosfera oczekiwań, każdorazowo spełnianych, tu nawet z nawiązką. BCH

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Sława Przybylska (ur. 1931 r.) – piosenkarka i aktorka. Zwyciężczyni konkursu piosenkarskiego organizowanego przez Władysława Szpilmana (1957 r.). W 1958 r. zaśpiewała „Pamiętasz, była jesień" do filmu „Pożegnania" Wojciecha Hasa i nagrała pierwszy album („Stare a zapomniane piosenki"). Aktywna twórczo od ośmiu dekad, co stanowi ewenement polskiej estrady, w 2026 r. wydała płytę „Pieśni poetów żydowskich".

Starość nie istnieje

Jeśli przeznaczenie mnie jeszcze nie wzywa, to chcę, żeby chwile były pełne pieśni, i dopóki mogę, to jeszcze śpiewam – mówi Sława Przybylska, świętująca 95. urodziny i 70-lecie na scenie.

KRZYSZTOF NOWAK: **– Jaki pierwszy zapach pani pamięta z dzieciństwa?**

SŁAWA PRZYBYLSKA: – Moja mama pochodziła z Drelowa, z małej wsi na Podlasiu. Ja wyłoniłam się z lasu zielonego, pełnego kwiatów, drzew. Las śpiewał, pachniał. To było symfonią dla dziecka. Doszłam do wniosku, że muzyka otacza nas wszędzie.

Co jeszcze było tą muzyką?

Kot śpiewał mruczeniem. Pies śpiewał szczekaniem. Wieś ma niesłychaną dla mnie wartość, bo wszystko, co w przyrodzie, jest piękne. Przyroda przekazuje nam wszystkie wartości, tak jak w japońskim haiku. Czyta się je i się nie rozumie, ale się czuje.

Jak pachniał Międzyrzec Podlaski, gdzie się pani urodziła?

Ten Międzyrzec też był muśnięty wsią, bo każdy, kto miał domek, to miał i chlewiki, i świnki, i kury, i psa, i kota. Nauczyłam się zachwycać dzięki mamie, osobie, która kochała piękno. Potrafiła poprzez uśmiech wyrazić życzliwość do ludzi, do świata. Nigdy nie narzekała, nigdy nie uderzyła dziecka.

A sam Międzyrzec?

Tam już była szkoła, byłam tam traktowana inaczej. Miałam poczucie mikromanii, która teraz jest w Polsce tak powszechnie uprawiana. Mikromania to jest traktowanie siebie jako kogoś niższego, jako kogoś, kto jest gorszy. I ja w tym Międzyrzecu właśnie tak się poczułam – mała i brzydka.

Już nie było tyle tej przyrody wokół, ale wciąż był śpiew. Miałam starsze siostry, które też były muzykalne, i ja uczyłam je harmonii, to znaczy drugiego głosu i seksty. Śpiewałyśmy na trzy głosy. Jak przychodzili chłopcy – bo moja starsza siostra była już nastolatką, bardzo ładną – to ja wchodziłam pod stół, a oni śpiewali przedwojenne piosenki. Podlasie jest rozśpiewane, tam przy każdym wydarzeniu brzmiały muzyka i śpiew.

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Artystka dziś – jako 95-latka, na sąsiedniej stronie: **w 1959 r.**

© LUCJAN FOGIEL/EAST NEWS, BARTOSZ KUŚMIERSKI

Śpiewano przy kapliczkach przydrożnych, których było pełno, i ja chłonęłam te ludowe pieśni. Był jeszcze śpiew żydowski, bo po odzyskaniu niepodległości 80 proc. mieszkańców w Międzyrzecu to byli Żydzi. Chodziłam po ryneczku w szabat, zatrzymywałam się pod oknami, słuchałam.

Co pani wtedy czuła?

To było dla mnie dziwne, bo to była muzyka śpiewana po hebrajsku czy w jidysz, ale przepojona ich miłością, wiarą, emocjami. Po latach zaczęłam śpiewać te pieśni, lecz najpierw była najgorsza rzecz w Międzyrzecu – ten moment, kiedy zapanowało szaleństwo zniszczenia Żydów. Ze Wschodu transportem przewozili ludzi, żeby ich zgromadzić, bo były tu synagogi. Z moją starszą siostrą poszłyśmy zobaczyć zgromadzonych na rynku ludzi, których później wywozili do Treblinki. Kto był niedołężny, to po drodze zabijali.

Wie pan, do dziś pamiętam, że na ryneczku zostały jakieś tobołki, lalka. Nie było już piękna wioski, tylko zło. Nie mogłam się odnaleźć jako dziecko, potem przez długie lata nie mogłam śpiewać nic radosnego. Miałam cierń w sercu, który został na zawsze.

Po latach nagrałam pieśni żydowskich twórców, aby ocalić od zapomnienia ich piękno. Jestem wdzięczna dyrektor Teatru Żydowskiego Gołdzie Tencer. Pomogła mi w wyborze repertuaru, który śpiewałam na festiwalach w Kanadzie, Barcelonie, Szwecji, Berlinie, Moskwie i na Festiwalu Singera w Warszawie. To było tworzenie mojego osobistego pomnika pamięci.

Opuściła pani miasto po wojnie?

Tak. Znalazłam się w Krzeszowicach w Pałacu Potockich, tam przeżyłam dwa najpiękniejsze nastoletnie lata. To było miejsce trochę na wzór Korczaka, młodzież sama się rządziła. Cudowne harcerstwo i szczere przyjaźnie. Jak pani profesor badała słuch tej pewnie dwusetki dzieci, które tam były, to wybrała mnie jako numer jeden. Powiedziała, że będę się uczyć gry na fortepianie, rytmiki, tańca. Ja tam odżyłam. Nikt nie mówił, że jestem mała i brzydka.

A później?

Później była Warszawa. Rano chodziłam do liceum plastycznego, wieczorem do szkoły muzycznej, uczyłam się emisji głosu. Śpiewanie było bardzo ważne. Nauka polegała na ustawianiu głosu, oddechu. Takie podstawowe sprawy, nie piosenki, tylko wykonania operowych arii. A mnie nie interesowała opera, tylko piosenki.

Krótko to wytrzymałam, a potem studiowałam na wydziale handlu zagranicznego, bo mnie namówiły dwie przyjaciółki. Moje uczenie się polegało też na tym, że organizowałam akademie, utworzyłam chór i tercet muzyczny. Wszyscy mnie znali, że jestem ta śpiewająca. I lubiłam rosyjskie piosenki.

Dlaczego?

One miały źródło w folklorze rosyjskim. Na międzyuczelnianym konkursie piosenek z chórem wykonaliśmy jednak piosenkę po hebrajsku, bo mi się podobała. Ludzie mówili, że będziemy mieli pierwsze miejsce.

Faktycznie je pani zdobyła?

Nie zdobyłam żadnego. Ktoś doniósł, że piosenka jest hymnem hechaluców, czyli izraelskich pionierów, którzy mieli budować ten nowy Izrael. Takie było ich marzenie.

O czym pani marzyła w tamtym czasie?

Ja ciągle się zastanawiam, co to jest marzenie. Czy to jest pragnienie? Czy to jest coś planowanego? Jeśli ktoś mówi: a chciałabym pojechać kiedyś gdzieś tam, to znaczy, że chce. A jak chce, to niech jedzie. Marzenie to dla mnie chyba pobożne życzenie. Bo ja chciałabym, żeby nie było nienawiści, żeby nie było wojen. Czy to jest marzenie?

Patrząc na historię świata, raczej tak.

To jest moje ogromne pragnienie, żeby tak było, żeby ludzie byli życzliwi, żeby nie okazywali nienawiści. Jeśli mówię komuś „dzień dobry", to przekazuję emocje. Naprawdę chcę, żeby dla tego kogoś ten dzień był dobry, żeby przyniósł dobre zdarzenia.

Czyli nie marzyła pani o byciu piosenkarką?

Nie. Dla mnie śpiewanie było imperatywem, wyrażaniem moich emocji. Jeśli czułam się źle, to sobie śpiewałam i czułam się lepsza, wcale nie taka mała i brzydka.

To kiedy była pani pewna, że piosenkarką zostanie?

Jeszcze w STS-ie, Studenckim Teatrze Satyryków. Piosenka była tam, jak sama nazwa mówi, traktowana jako przerywnik. Kiedy uznano, że jestem niepotrzebna, to poszłam do Stodoły. ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ Przyjacielsko mnie przyjęła, bo była tam inna atmosfera niż w STS-ie. Śpiewałam songi Brechta, jeszcze nie było mikrofonów, czyli trzeba było śpiewać tak, żeby usłyszeli nawet ci z ostatniego rzędu. Chyba powiedziałam już dość o przeszłości.

Ale nie doszliśmy nawet do pani wielkich sukcesów.

Zdobyłam nagrodę w konkursie Polskiego Radia, zorganizowanym przez Władysława Szpilmana. Szpilman stworzył roczne studium, gdzie piosenki uczyli Hanna Skarżanka i Aleksander Bardini. Uczyli nas interpretacji. A po roku otrzymałam propozycję do filmu „Pożegnania" Wojciecha Hasa. Zaśpiewałam „Pamiętasz, była jesień".

Jak do tego doszło?

Po którymś koncercie poszłam do SPATiF-u i tam podszedł do mnie jakiś pan. Dał mi na serwetce nuty do utworu i oznajmił, że za tydzień wchodzę do studia i nagrywam. Przyjechałam do domu, wzięłam gitarę, zagrałam sobie te nuty i stwierdziłam, że to piosenka bardzo trudna. Nie wiedziałam, czy sobie poradzę. Ale nagrałam i to był zwrot w moim życiu. Stałam się bardzo popularna, rozpoznawalna. Występowałam w kraju i za granicą: Stany Zjednoczone, Kanada, Szwecja, Izrael, cała Europa. I tak aż do stanu wojennego. Nagle nie było koncertów, nie było telewizji, nie było nic. Potem wyjechałam do Szczawnicy i robiliśmy z mężem festiwal poezji emigracyjnej „Od Mickiewicza do Miłosza". Ale nie wytrzymałam w tym miejscu. Co innego jest być turystą i tam zostawiać pieniądze góralom, a co innego, jak się chce zamieszkać.

Wróciliśmy do Warszawy, moje życie stało się mniej nudne. A później zostałam sama. Myślałam: trzeba odejść. To Krzysiek, mój menedżer, sprawił, że znów zaczęłam koncertować.

Tak jak kiedyś?

Inaczej. Zmieniłam repertuar. To nie były już sentymentalne pioseneczki przedwojenne ani późniejsze, tragiczne, tylko nagle zmieniłam się cała. Powiedziałam sobie: będę żyć jeszcze radośnie, nie wracać do przeszłości i nie myśleć o przyszłości, bo chcę zaistnieć teraz. Śpiewać to, co lubię.

Tylko jak nie wracać do własnej przeszłości, skoro jest tak barwna i bogata?

O moje dziedzictwo dba założona w 2024 r. Fundacja Imienia Sławy Przybylskiej „Sława". Jej założycielem i fundatorem jest Krzysztof Rydzelewski, a wiceprezesem – Dariusz Gajda, który również jest ogromnym wsparciem i pomocą merytoryczną w projektach.

Czy ta fundacja zajmuje się tylko upamiętnianiem pani dokonań?

Nie. Wspiera seniorów i osoby wykluczone społecznie – wspomaga ich zdrowie fizyczne i psychiczne, umożliwia dostęp do usług zdrowotnych, wspiera w codziennych obowiązkach.

Sama nie chcę wracać do tego, co było – wszystkie pamiątki i odznaczenia wysyłam do swojej wioski fanów niedaleko Krakowa. Jej szef, bartnik, przysyła mi zaś miody. Jakiś czas temu zorganizował dla całej wsi autokar, żeby wszyscy mogli przyjechać na mój koncert do Warszawy. Prawie na każdym koncercie jest również Maria Szyszkowska, z którą jestem zaprzyjaźniona. Maria przyjeżdża aż z Nałęczowa, taksówką. Bardzo ją cenię jako filozofa i niezwykłego człowieka.

Chwilę przed 95. urodzinami pozostaje też pani aktywna wydawniczo. To chyba ewenement w skali kraju.

W kwietniu tego roku ukazał się mój najnowszy album „Pieśni poetów żydowskich", wydany przez wytwórnię MTJ we współpracy z moją fundacją. Na płycie znalazły się między innymi wiersze Mordechaja Gebirtiga, barda krakowskiego, który pisał teksty i muzykę, a był stolarzem. Jest taki wiersz Anny Kamieńskiej pod tytułem „Stół Mordechaja Gebirtiga". Kiedy przyszła do Gebirtiga pani, żeby zrobił jej stół, on powiedział: „Ja pani zrobię krzesło, że usiedzi na nim największy niepokój,/ Ale najlepiej to ja zrobię stół,/ taki stół, co sam pisze wiersze,/ a jak zechce – może zaśpiewa".

Oprócz tego na płycie znalazły się wiersze Icyka Mangera i Jakuba Glatsztejna, lubelskiego poety, a całość muzyki do płyty skomponował Hadrian Tabęcki, założyciel i dyrektor artystyczny zespołu Tango Attack, z którym od ponad dwóch lat koncertuję.

Który rok był dla pani najintensywniejszy koncertowo?

W nowych czasach? 2024, po występie na festiwalu w Opolu. Było pracowicie, bo posypały się propozycje, zagrałam ponad 100 koncertów po całej Polsce. Widownia dopisała, ludzie musieli siedzieć na schodach, a ja zawsze grałam w swoich 12-centymetrowych szpileczkach. W listopadzie odbędzie się mój wyjątkowy koncert urodzinowy z Tango Attack w Stodole w Warszawie, gdzie również wystąpi zespół Czerwony Tulipan, z którym się przyjaźnię. Spotykamy się przynajmniej dwa razy w tygodniu, jeżdżę też do różnych projektantów, żeby dobrać piękną kreację na to wydarzenie.

Czym jest dla pani starość?

Starość nie istnieje. Nie trzeba narzekać, że niedługo się umrze, bo to nie jest ważne. Jeśli mogę coś radzić: wieczorem trzeba sobie powtarzać, że jest się młodym, nacisnąć guzik szczęścia. A uciążliwe obowiązki zamieniać w radosną konieczność.

Co włącza u pani ten guzik szczęścia poza śpiewem?

Zaczęłam pisać wiersze. To też był imperatyw, jak ze śpiewaniem. Trzeba żyć dalej. Jeśli przeznaczenie mnie jeszcze nie wzywa, to chcę, żeby chwile były pełne pieśni, i dopóki mogę, to jeszcze śpiewam.

A co pani myśli o przemijaniu?

O tym, jak zakończę życie?

O tym, że się kiedyś zakończy.

Rodzimy się i zaczynamy podróż. W trakcie są kręte ścieżki, podejmujemy dobre lub złe decyzje. Każda podróż kiedyś się kończy, to jest naturalne. Jutro może mnie nie będzie, ale dziś jestem. Mówiąc Arystotelesem – jestem w ataraksji, czyli rodzaju spokoju. Nie akceptuję chaosu umysłowego, niepotrzebnych informacji. Jestem panią swoich myśli i chcę pozostać nią do ostatniego dnia.

Wie już pani, czy da się w życiu zaśpiewać wszystkie piosenki, jakie chciało się zaśpiewać?

Nie wiem. O żurawiach na pewno chcę jeszcze zaśpiewać. O piesku, o głupocie...

Może zamówi pani teksty od młodych autorów?

Teraz młodzi piszą dla siebie, nie ma poezji.

A co jest?

Natura. Za oknem mam brzozę, więc opowiedziałam Jackowi Bursztynowiczowi, który jest poetą, reżyserem i tekściarzem: wiesz co, napisz mi piosenkę o brzozie, która tańczy, „Tańczącą brzozę". I tak powstała piosenka o drzewie, do którego się przytulam. Idę do brzozy i mówię: witam cię, masz tyle energii i jesteś taka piękna, jak tańczysz. I ja uczę się od niej tańca i też obdarzam ją energią życia. Zresztą wszystkim, którzy kochają przyrodę, muzykę i poezję, przekazuję radosne myśli. Skoro mogę, to powiem: bądźcie szczęśliwi, pełni życzliwości i przyjaźni. Życie jest piękne.

ROZMAWIAŁ KRZYSZTOF NOWAK

eprasa.pl 9f2fdbac8e

ŻYWOT PANÓW BRACI



W sprzedaży

KUP TERAZ

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 9f2fdbac8e

[*] Koniec z gwiazdami

Internet zmienił sposób, w jaki przeżywamy i postrzegamy żałobę. Nie tylko po bliskich, ale też po znanych i lubianych.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

W grudniu 2021 r. na ekrany kin wszedł film „Matrix Zmartwychwstania" w reżyserii Lany Wachowski, nieoczekiwany powrót do zamkniętej trylogii, którą wraz z siostrą Lilly nakręciła na przełomie mileniów. Zmagając się żałobą po stracie rodziców, Lana postanowiła wskrzesić swoich bohaterów, Neo i Trinity. Parę hakerów, którzy poświęcili swoje życie w walce ze zniewalającą ludzkość sztuczną inteligencją. Powstał film, który nie tylko zmierzył się z dziedzictwem kultowej pierwszej części, lecz także pokazywał prawdę o współczesnym internecie jako wielkiej maszynie napędzanej ludzkimi emocjami. Cóż, cyfrowa nieśmiertelność (POLITYKA 14/24), jakiej doświadczyli bohaterowie, jest wciąż pieśnią przyszłości, ale media społecznościowe od dawna są przestrzenią do przeżywania cyfrowej żałoby. Swojej i pożyczonej.

Smutek Twittera

W kwietniu 2005 r. Polska żegnała Jana Pawła II przed telewizorami. Odejście Karola Wojtyły było niemalże transmitowane na żywo. Także żałoba zmieniła się w medialny spektakl. Pogrzeb pokazywany przez cztery główne stacje oglądało 21 mln telewidzów. Totalność odgórnie narzuconego – przez państwo i media – rytuału zmuszała do uczestnictwa w nim także osoby, które tego nie chciały. „Przez pierwsze tygodnie kwietnia nikomu z głównych mediów i żadnemu politykowi nie przyszło do głowy, że są ludzie wzruszający ramionami na tego czy innego papieża (i że nie są to nihiliści, sataniści i upodlone wyrzutki, tylko porządni, szanujący bliźniego mieszczanie)" – pisał Paweł Bravo, proponując hasło „Nie płakałem po papieżu" dla akcji „Tiszert dla Wolności". Schronieniem przed dominującymi narracjami okazał się internet, który umożliwił kontestację narodowego pobudzenia. Już wówczas pojawiły się pierwsze obrazoburcze memy, daleka zapowiedź tzw. cenzopap, czyli kpiarskich reakcji internetowych trolli i młodzieży na uprawiany w szkołach kult jednostki.

Rok 2005 był zarazem zmierzchem starego internetu, przed epoką mediów społecznościowych i smartfonów. Rok później powstały Nasza Klasa (Facebook polską wersję zyskał w 2008 r.) i Twitter, serwis przeznaczony początkowo do wysyłania krótkich wiadomości (*microblogging*). Jak nowojorskie zamachy 9/11 były przełomowym momentem dla telewizji informacyjnych nadających przez 24 godziny na dobę, tak historyczna chwila dla Twittera, test dla nowego medium, nadeszła w 2009 r., gdy umarł Michael Jackson, papież popu. Po informacji o jego śmierci serwis odnotował rekordowe natężenie ruchu, wedle doniesień odejściu idola było poświęconych 5 tys. wiadomości na minutę.

Telewizja wciąż dominowała w głównym nurcie, ale nikt nie potrzebował wzruszonego dziennikarza mówiącego, co należy czuć. Twitterowa żałoba była oddolnym ruchem, działającym wiralowo. Gdy w 2011 r. zmarł Steve Jobs, założyciel Apple, odnotowano prawie 5 mln tweetów jednego wieczoru, po śmierci Whitney Houston w 2012 r. w szczytowym momencie pojawiało się ponad 73 tys. wpisów na minutę. Zamiast alienującego ekranu dostaliśmy do dyspozycji okienko z wiadomościami nie tylko z serwisów newsowych, ale i od znajomych, wobec których należało się określić – tak, też płakałem po Jacksonie. Temu doświadczeniu daleko było jednak do totalności. Szybko się okazało, że internetowe rytuały rządzą się własnymi prawami. Gdy jedni płakali, inni się z nich śmiali, podawali w wątpliwość prawdziwość fanowskich uczuć czy nawet podważali wzniosłość tego wydarzenia.

22 listopada 1963 r. zmarli trzej znani ludzie. Odeszli pisarze – Aldous Huxley, autor powieści „Nowy wspaniały świat" i C.S. Lewis, twórca cyklu „Opowieści z Narnii". Wiadomości zdominowała jednak śmierć prezydenta Stanów Zjednoczonych – w zamachu zginął John F. Kennedy. Niedawno, w sierpniu 2026 r., doszło do podobnego wydarzenia. We wtorek 25 sierpnia w wieku 80 lat zmarła Dolly Parton, królowa muzyki country. Tego samego dnia odszedł jej rówieśnik, kultowy aktor Tim Curry. O jego śmierci poinformowano w środę, a w czwartek przyszła kolejna wiadomość: nie żyje Yayoi Kusama, superpopularna japońska artystka znana z obsesyjnie malowanych lub reprodukowanych kropek (więcej na polityka.pl).

Fala śmierci

Można było odnieść wrażenie kolejnej „śmiertelnej kumulacji", ale tym razem odpowiadał za to internetowy obieg informacji. 97-letnia Kusama zmarła 14 sierpnia. Lecz przekonanie o tym, że celebryci „umierają trójkami" stało się na tyle powszechne, że sprawę – zupełnie na poważnie – zbadali fizycy Edward Ramirez i Stephen Hagen. W badaniu z 2018 r. wykazali, że można to wytłumaczyć statystyką. Przy 35 zgonach rocznie prawdopodobieństwo wystąpienia co najmniej jednej trójki znanych ludzi w odstępie dwóch dni wynosi ok. 50 proc. Do tego jesteśmy w stanie porządkować pożegnania w ten sposób, bo w pamięci zaciera nam się odstęp czasu: Jimi Hendrix zmarł we wrześniu 1970 r., Janis Joplin w październiku, a Jim Morrison dopiero w lipcu 1971 r. Tymczasem powszechnie myśli się o nich jako o trójce, bo należeli do tego samego straconego pokolenia muzyki i mieli po 27 lat.

Nie ma więc mowy o żadnej klątwie związanej z seriami odejść znanych ludzi, choćby czasem trudno było w to uwierzyć. Wystarczy cofnąć się o dziesięć lat, do przeklętego – jak się dziś podnosi – roku 2016. W styczniu odszedł piosenkarz David Bowie, cztery dni później aktor Alan Rickman, w kwietniu książę popu Prince, potem bokser Muhammad Ali, aktor Gene

© STEPHEN SIMPSON/ZUMA PRESS/FORUM, JASON KEMPIN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Yayoi Kusama odeszła 14 sierpnia. Wiadomość o jej śmierci rozniosła się jednak w internecie dopiero na fali żałoby po Dolly Parton, zmarłej 11 dni później.



Wilder i jeszcze śpiewający poeta Leonard Cohen. Boże Narodzenie (co za koszmarna ironia) przyniosło śmierć George'a Michaela, a ostatnie dni grudnia – aktorek Carrie Fisher i Debbie Reynolds. Nick Serpell z działu nekrologów BBC policzył wykorzystane przez redakcję wcześniej przygotowane wspomnienia o zmarłych. W 2012 r. było ich 16, w kolejnych latach 24, 29 i 32, a w 2016 r. – aż 49, jakby Ponury Kosiarz faktycznie postanowił przyjść po znanych i lubianych.

Serpell zauważył, że ten wzrost nie jest szczególnie zaskakujący. Od rozkwitu telewizji i kultury popularnej w latach 60., który ogromnie powiększył grono osób publicznie rozpoznawalnych, minęło przecież pół wieku. Internet – zarówno media społecznościowe, jak i portale – dodał do tego własny mechanizm. Kolejne niezależne śmierci traktuje się jak odcinki posępnego serialu.

Różne odcienie czerni

Warto zwrócić uwagę na aspekt globalny i lokalny. Krajowe media zwykle pominą np. śmierć celebryty znanego głównie w innym obszarze świata. W sieci jego odbiorcy się znajdą niemal wszędzie. Śmierć Jana Pawła II przeżywał cały świat, głównie katolicki, ale jej niezwykły narodowy odbiór miał miejsce tylko w Polsce. Śmierć megacelebrytów, takich jak David Bowie czy Dolly Parton, rezonuje mocno w homogenicznej kulturze centrum narzuconej peryferiom. Uczestniczymy w światowej żałobie – tak, ale z naszymi umarłymi, dopisując ich do smutnej listy.

W 2016 r. odeszło m.in. trzech Andrzejów – Żuławski, Wajda i niezapomniany „Czterdziestolatek" Kopiczyński. W 2026 r. pożegnaliśmy m.in. Edwarda Lindego-Lubaszenkę, Bożenę Dykiel, Igę Cembrzyńską i Jana Frycza. 22 sierpnia, trzy dni przed śmiercią Parton i Curry'ego, zmarł 50-letni prozaik Ignacy Karpowicz. 7 września w wieku 40 lat odeszła poetka Joanna Dziwak.

Te odejścia pokazują, jak bardzo zmieniają się także rodzaje sławy. Dziwak była autorką powieści i tomików poetyckich, ale większość internautów nie żegnała poetki – wielką rozpoznawalność przyniosło jej tworzenie memów politycznych na stronie „Hipsterski Maoizm". Internet pozwolił zdobyć popularność ludziom, którzy wcześniej pozostawaliby poza zasięgiem tradycyjnych mediów. Jednocześnie rozbił publiczność na niezliczone ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Cała Polska wspomina Jana Frycza (zm. 15 sierpnia). Jedni pamiętają go z teatru, inni z serialu, w gruncie rzeczy są to bardzo różne środowiska i bardzo różne wspomnienia.

▶ społeczności, z których każda ma własnych idoli, własne wspomnienia i swoje powody do żałoby. Portale internetowe potrzebujące nieskończonej treści potrafią napisać o śmierci amerykańskich aktorów epizodycznych, ale raczej się nie interesują, gdy umiera np. japoński twórca komiksów (chyba że chodzi o takiego giganta jak Akira Toriyama) czy aktorka głosowa znana z anime i gier.

Ale i wśród tych najbardziej znanych nie wszystkie nazwiska znaczą to samo dla wszystkich. Dla jednych Bożena Dykiel pozostanie na zawsze Aniołową z serialu „Alternatywy 4", dla innych Marią Ziębą z „Na Wspólnej". Jana Frycza jedni zapamiętają z teatru, inni – i ten masowy kult postaci gorąco manifestowano w sieci – jako gangstera Daria z serialu „Ślepnąc od świateł". Jakub Żulczyk, autor zekranizowanej powieści, żegnał aktora, któremu zawdzięczał nowe życie własnego bohatera. „Nie powiedziałem Panu w trakcie tych spotkań, ile Panu zawdzięczam" – napisał.

Na podobnej zasadzie Tim Curry był żegnany przez zupełnie różne środowiska. Miłośnicy musicali pamiętali go z campowej roli w „Rocky Horror Picture Show", w pamięci graczy zapisał się jako kabotyński premier Cherdenko z gry „Red Alert 3"; przeciętny widz zapamiętał go jako konsjerża w drugiej części przygód „Kevina" lub jako diabolicznego klauna z serialu „To".

Żałoba po celebrycie jest w istocie żałobą po nas samych. Czyjeś długie życie i bogata kariera zostają zredukowane do naszego wspomnienia i szczegółu biograficznego – nie kim był zmarły, lecz kim był dla mnie. Pierwsza płyta kupiona za własne pieniądze, film obejrzany na randce, piosenka słuchana po rozstaniu... To wszystko są autentyczne wspomnienia i emocje, nawet jeśli aktorka czy piosenkarz nie wiedzieli o naszym istnieniu. Media społecznościowe narzucają do tego wymóg pewnego performansu. Nawet jeśli żal jest szczery, to sposób jego okazywania może wpisywać się w zjawisko wirtualnego snobizmu (POLITYKA 24/20). Wspominanie znanych zmarłych służy też budowaniu więzi społecznych czy po prostu realizacji potrzeby przynależności. Żałoba przybiera formę opowieści o sobie samym („Co robiliście, kiedy usłyszeliście o śmierci Michaela Jacksona?"), zrównując to wydarzenie z innymi wielkimi datami, jak lądowanie na Księżycu czy atak na WTC 11 września.

„Nie pamiętam, czy płakałem, kiedy przeczytałem o jego owdowiałej narzeczonej" – tak w piosence „American Pie" śmierć Buddy'ego Holly'ego uwiecznił Don McLean. Piosenka o „dniu, w którym umarła muzyka", czyli 3 lutego 1959 r., ukazała się 12 lat po tym wydarzeniu i była kroniką amerykańskiej popkultury. Śmierć znanych ludzi (w przypadku katastrofy samolotu, w której zginął Holly – w rozkwicie kariery) była przeżyciem pokoleniowym w czasach, gdy pokolenia coś znaczyły, przed wielkim podziałem społecznym na nisze i fandomy. Dziś hasłem rozpoznawczym staje się np. pytanie „Pamiętacie 16 października 2024?". Kto bez sprawdzenia wie, że chodziło o datę śmierci Liama Payne'a, byłego członka zespołu One Direction, zapewne należy do jego fanklubu.

Cyfrowe rytuały

Rytuał dzielenia się pamięcią pozwala opowiadać o sobie i swoim smutku, dzieląc go z innymi fankami, ale też pokazuje ewolucję żałoby – po pierwszej fali smutku zmienia się w doroczny festiwal wspomnień. Dzielenie się czymś szczerym i prawdziwym w czasach fejków i algorytmów jest niewątpliwie pozytywnym zjawiskiem. Świadczy o tym niechęć, jaką wobec fanowskiej żałoby wyrażały ironiczne trolle z 4chana. Kilka lat po śmierci aktora Heatha Ledgera krążył prześmiewczy mem „Kiedy byłeś jak umiera heat legend" (oryg. *when were you when heat legend dies*).

Cyfrowa żałoba przejawia się w różnych gestach – kto nie umie ubrać emocji w słowa, korzysta z animowanych naklejek albo emoji. Czasem przeżywanie cudzej straty pozwala opowiedzieć o swojej. Umierający na raka celebryta może stać się okazją do wspomnienia bliskiego, którego spotkał podobny los. Bardzo typowe dla kultury internetowej jest też złamanie zasady „o zmarłym dobrze albo wcale". Śmierć celebryty dla niektórych stanowi najlepszą okazję, by przypomnieć światu o jego grzeszkach i przewinach, zwłaszcza z dziedziny MeToo. Z brakiem poszanowania uczuć fanów, ale z jasną intencją – jeśli teraz nie posłuchają, to kiedy? W ludzkiej naturze leży przecież unikanie rzeczy nieprzyjemnych.

Tak, żałoba po celebrycie jest żałobą po nas samych – przypomina o przemijaniu. Stanowi przystanek w rozpędzonej kulturze, skupionej na nowości, młodości i nieustannym wzroście. Śmierć? Tego nie robi się konsumentom, ma być tylko atrakcją w detektywistycznym serialu albo pożółkłą kartą z historii. Stąd wszystkie wielkie wyparcia rzeczy nieznośnych – świat szybko zapomniał o współczesnych ofiarach pandemii, wojen i ludobójstw, bo śpieszył się do życia.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

© JACEK KURNIKOWSKI/AKPA

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Twórca potworów

„Król Smutek” mówi o tym, jaki ślad w ludziach pozostawiają okrucieństwa, których się dopuszczamy, by zapewnić sobie wygodne życie – mówi Joe Hill, czołowy twórca literatury grozy.



© VALERIE MACON/AFP/EAST NEWS, WYDAWNICTWO ALBATROS

Joe Hill (ur. w 1972 r.) – amerykański pisarz, scenarzysta filmowy i komiksowy. Jako syn Stephena Kinga dorastał w otoczeniu opowieści grozy, jako autor zadebiutował pod koniec lat 90. Ma na swoim koncie zbiory opowiadań, powieści i komiksów, m.in. przenoszone na wielki i mały ekran „NOS4A2”, „Rogi” i „Locke & Key”. Jego najnowsza książka „Król Smutek” ukazała się nakładem Wydawnictwa Albatros w przekł. Anny Dobrzańskiej.

JAKUB DEMIAŃCZUK: **– Jakie ma pan plany na tegoroczne Halloween?**

JOE HILL: – Całą rodziną idziemy zbierać cukierki, przebieramy się za gang Scooby'ego-Doo, bo moje czteroletnie bliźniaki właśnie przeżywają okres fascynacji tą kreskówką. Ja będę Kudłatym, a moja żona Velmą. Początkowo chcieliśmy przebrać dzieci za Scooby'ego i Scrappy'ego, ale nikt nie lubi Scrappy'ego-Doo, więc będziemy mieli dwóch Scoobych. I bardzo dobrze, bo to najlepsze święto w całym roku!

Najlepsze?

Jasne. Przez wiele lat nie przepadałem za Bożym Narodzeniem, choć z biegiem czasu nauczyłem się je lubić. Jednak wciąż przeszkadza mi, że zmieniło się w tak skomercjalizowany rytuał. Orgia wydawania pieniędzy, która zniszczyła to, co najważniejsze: przyjemność płynącą ze spędzania czasu z rodziną lub przyjaciółmi. Dla wielu osób liczy się to, jak wiele prezentów dostały i dlaczego akurat nie była to najnowsza konsola do gier. Dzień Dziękczynienia jest przyjemny, ale to tylko pretekst, żeby zjeść wielkiego indyka. Halloween też jest komercyjne, lecz to jego przesłanie przemawia dziś do mnie najbardziej: korzystajmy z życia, póki tu jesteśmy; nic nie trwa wiecznie.

Pana najnowsza powieść „Król Smutek” powstawała przez blisko dekadę. To historia grupy przyjaciół, którzy przywołują mitycznego smoka, by ich chronił, ale w zamian co roku muszą mu złożyć kogoś w ofierze. Czytałem ją jako opowieść o sławie i popularności. Trzeba regularnie karmić bestię, jeśli sami nie chcemy zniknąć.

To wspaniała interpretacja. Nie myślałem o „Królu Smutku” w ten sposób, lecz to prawda: popularność to monstrum, które trzeba nieustannie zaspokajać, zwłaszcza dziś, w epoce mediów społecznościowych. Pisałem tę książkę jako połączenie kameralnego horroru i wielkich, epickich scen akcji. Chciałem mieć grupę bohaterów, którzy sami wpakowali się w moralne bagno i muszą ponosić tego konsekwencje. A jednocześnie chciałem napisać filmowe, pełne rozmachu sekwencje walki smoka z czołgami i myśliwcami F-16, mieszać różne gatunki fantastyki. Choć oczywiście nadrzędnym celem była próba spojrzenia na naszą rzeczywistość, bo wydaje mi się, że wszyscy żyjemy z takim Królem Smutkiem, smokiem, który żywi się cierpieniem, strachem, troską ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ o jutro. To opowieść o tym, co moje pokolenie zrobiło światu.

A co takiego zrobiło?

Proszę spojrzeć na współczesną Amerykę. Jeśli jesteś szczęściarzem, to masz pieniądze, dom, czujesz się bezpiecznie. Ale ceną jest krew, nawet jeśli nie myślisz na co dzień o atakach dronów, które armia wysyła, żeby zbombardować kogoś uznanego za terrorystę na drugim końcu świata. I może uda nam się dorwać jakiegoś złego typa, przy okazji jednak dron trafi w wesele w Afganistanie i zabije 150 niewinnych osób. Wysyłamy smoka, by złapał złoczyńcę, ale smok ma to do siebie, że nie da się kontrolować.

Horror to dobre narzędzie do społecznej analizy?

Bardzo dobre. Pisząc „Króla Smutka", zastanawiałem się, jaki ślad w zwykłych ludziach pozostawiają zbrodnie, okrucieństwa i morderstwa, których jako narody dopuszczamy się, by zapewnić sobie wygodne życie. Czy w ogóle czujemy to piętno? A może jesteśmy współwinni tego rodzaju czynów – np. wojny, którą rozpoczęto, żeby utrzymać niskie ceny paliwa. Horror to mikroskop, przez który przyglądamy się społeczeństwu, kulturze, wyborom, jakich dokonujemy. A dzięki temu, że to rozrywkowy gatunek literatury czy filmu, możemy bezkarnie się tą analizą bawić, zgłębiać ją i testować.

Mówił pan kiedyś, że odbiorcy horroru są lepiej przystosowani do życia w niepewnym świecie i trudnych czasach.

Oczywiście! I to nie jest wyłącznie moja fantazja. Duński badacz horroru Mathias Clasen opublikował badania, z których wynikało, że fani horroru znacznie lepiej znieśli pandemię i izolację niż inne badane grupy odbiorców kultury. Byli po prostu uodpornieni na pewne wyzwania, które się wiązały z nową rzeczywistością, w końcu covid był znacznie mniej przerażający niż apokalipsa zombie. To też znany fakt, że im trudniejsze czasy, tym chętniej ludzie sięgają po fantastykę grozy, by zmierzyć się ze swoimi lękami. To taki intelektualny odpowiednik chodzenia na siłownię i budowania masy mięśniowej. Fikcja pozwala odreagować strach, który towarzyszy nam każdego dnia. Życie jest pełne stresu i nierozwiązanych problemów, a mamy naturalne pragnienie doprowadzenia spraw do końca. Nawet jeśli nie do szczęśliwego finału, to przynajmniej do jakiegoś zamknięcia. Wiemy przecież, że w życiu nie zawsze dobro zwycięża, a złoczyńca zostaje ukarany. Wręcz przeciwnie – ludzie, którzy prowadzą świat ku zagładzie, nie ponoszą kary, mają za to władzę, wielkie jachty i miliardy dolarów na koncie. Są nietykalni. Potrzebujemy zatem literatury, bo ona daje nam rozwiązania, których odmawia życie. Zanurzenie się we własnej wyobraźni jest często najlepszym sposobem, by zmierzyć się z własnymi wewnętrznymi problemami. Czasami wydaje mi się, że opowieści istnieją właśnie po to, byśmy potrafili uporać się sami ze sobą.



Ekranizacja opowiadania „Czarny telefon" w reż. Scotta Derricksona

Dorastał pan u boku ojca, Stephena Kinga, który jest najbardziej znanym i najpopularniejszym twórcą literatury grozy na świecie. A kiedy pan sam poczuł, że horror jest czymś, co pana fascynuje?

Bardzo wcześnie. Miałem osiem lat, kiedy tata załatwił mi występ w filmie „Koszmarne opowieści", do którego napisał scenariusz. To był hołd dla amerykańskich komiksów grozy z lat 50.; reżyserował George A. Romero, który wcześniej zrobił m.in. „Noc żywych trupów" i „Świt żywych trupów". Ikona kina niezależnego. Był jak najdalej od Hollywood, ale to oznaczało, że na swoje filmy miał mikroskopijne budżety, często grali u niego bliżsi i dalsi znajomi. Tak trafiłem na plan. To był początek lat 80., zupełnie inaczej się wtedy pracowało, nie było też szczegółowych wytycznych dotyczących pracy dzieci na planie filmowym. Ekipa nie bardzo miała pomysł, co ze mną zrobić w przerwach między zdjęciami, więc przydzielili mi opiekuna. To był Tom Savini.

Kolejna legenda horroru.

Jedna z największych. Tom jest słynnym twórcą bardzo krwawych efektów specjalnych. To ojciec chrzestny filmowego gore'u. Pracował m.in. przy „Świcie żywych trupów" i pierwszej części „Piątku trzynastego". Wyglądał jak gwiazda rocka: nosił czarną skórzaną kurtkę i motocyklowe buty, miał brwi krzaczaste jak Mr. Spock ze „Star Treka". Uwielbiałem go i spędzałem długie godziny, przyglądając się, jak swoją charakteryzacją oszpeca aktorów i aktorki, jak opracowuje sceny brutalnych śmierci filmowych postaci. Gdy skończyły się zdjęcia do „Koszmarnych opowieści", wiedziałem, że to jest właśnie to, co chcę robić: zabijać w wymyślny sposób i tworzyć niezapomniane potwory. I że chcę to robić albo w filmie, albo na papierze.

Czy po tym doświadczeniu jakikolwiek horror był w stanie naprawdę pana przestraszyć?

Skutkiem ubocznym było to, że już jako dzieciak wiedziałem, jak powstają efekty specjalne i charakteryzacja, jak kreuje się monstra i sprawia, żeby dekapitacja wyglądała na ekranie realnie. Specjaliści od najbardziej krwawych efektów – urywanych rąk i nóg, rozbijanych głów, wypruwanych flaków – mówią o tych scenach „gagi", bo traktują je jak żarty. To, co ma przestraszyć albo zniesmaczyć widzów, dla nich jest slapstickowe. A kiedy widzisz, jak te sceny powstają na planie, naprawdę trudno się nie śmiać. Więc horror od młodości fascynował mnie nie dlatego, że wydawał mi się straszny, lecz raczej dlatego, że kojarzył mi się z serią błyskotliwych sztuczek magicznych, które mają oszukać tego, który patrzy. I chciałem pozwalać się oszukiwać.

Wiadomo, że przez lata czytałem książki i widziałem filmy, które wywoływały u mnie lęk. Ale pierwszą reakcją w moim przypadku i tak zawsze był zachwyt. Czytałem „To", książkę mojego ojca, jeszcze zanim trafiła do druku. To potężna cegła, ale przed redakcją była jeszcze bardziej obszerna. Serio, miałem 11, może 12 lat, a maszynopis sięgał mi do pasa. I na pewno ta powieść budziła we mnie lęk. Ale pamiętam przede wszystkim radość czytania. Nie mogłem oderwać się od lektury, przeżywałem przygody dzieciaków z Derry tak, jakbym sam ruszał do walki

eprasa.pl 9f2fdbac8e

z morderczym klownem. Podsumowując: lubię być straszony, lecz jednocześnie przyznaję, że moja reakcja na horrory nie jest normalna. Nigdy nie była.

W pańskich powieściach tę radość da się wyczuć. Horror zazwyczaj zderza się u pana z mrocznym poczuciem humoru i atmosferą wielkiej, choć niebezpiecznej przygody.

Nie chciałbym pisać inaczej. Horror i komedia zawsze będą dla mnie ze sobą bardzo blisko spokrewnione. Lubię w takich sytuacjach podawać przykład komików z The Three Stooges: gdy w filmach Moe wali Larry'ego młotkiem w głowę, śmiejesz się na głos. Gdy w „Teksańskiej masakrze piłą mechaniczną" Leatherface wali kogoś młotkiem, krzyczysz z przerażenia. Oczywiście inne są okoliczności, inny rezultat, ale zasadniczo to jest ta sama scena, tylko podana w inny sposób. A twoja reakcja jest podświadoma. Chcę w swoich książkach osiągać podobne efekty: straszyć i bawić, czasami w tym samym momencie. Uwielbiam pisać dynamiczne, dowcipne dialogi – nauczyłem się tego, oglądając w młodości seriale Jossa Whedona, „Buffy: Postrach wampirów" i „Firefly". Pozwalają wpuścić do akcji trochę oddechu i lepiej opisać bohaterów.

W pańskich książkach nawet postaci drugoplanowe, pojawiające się na kilka, kilkanaście stron, często są ludźmi z krwi i kości, a nie statystami.

Wydaje mi się to ważne przy pisaniu każdego rodzaju fikcji, nie tylko horroru. Musisz mieć bohaterów, za którymi chcesz podążać. Nie tylko główną postać, lecz także te z drugiego planu. Jako pisarz muszę ich kochać, żeby chcieć spędzać z nimi czas, a później przeprowadzić ich przez piekło. Czytelnik musi ich polubić, żeby to, co się z nimi dzieje, wywołało w nim jakieś silne emocje. Jeśli to będą nijakie, pozbawione charakteru postaci, to cały pisarski wysiłek na nic. Zdałem sobie z tego sprawę, nie tyle czytając książki, ile oglądając filmy, szczególnie slashery z lat 80. Pomijając wyjątki takie jak pierwszy „Halloween" Johna Carpentera czy „Koszmar z ulicy Wiązów" Wesa Cravena, to nie były dobre horrory. Niezła rozrywka, wyborne komedie, ale nieudane kino grozy.

Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że większość postaci, które się w nich pojawiają, to banalne stereotypy. Grupa nastolatków, która ma ponieść śmierć z ręki seryjnego mordercy, zawsze jest taka sama: usportowiony przystojniak, cheerleaderka, uzależniony od marihuany obibok i mądra, dobra dziewczyna, której przeznaczona jest rola *final girl*, czyli tej, która przeżyje starcie ze złem. To postaci, o które jako widz w ogóle nie dbasz, bo twoją uwagę odwraca seryjny morderca: Jason Voorhees, Freddy Krueger, Michael Myers czy Leatherface. A ja nie chcę kibicować czarnemu charakterowi. Slashery dostarczają fajnej, bezpretensjonalnej rozrywki, jednak bardzo często



Plansza z komiksu „Locke & Key: Witamy w Lovecraft" z rysunkami Gabriela Rodrigueza

brakuje w nich złożonych, pogłębionych, niejednoznacznych postaci. Kogoś, kto jest dowcipny albo smutny, kto ma wyrzuty sumienia, próbuje odpracować swoje winy, ma życiowe problemy. Daj czytelnikom albo widzom taką postać, a wybiorą się z nią – i z tobą – w długą podróż.

Sądzi pan, że właśnie ten brak zaangażowania i poleganie na schematach były przyczyną kryzysu amerykańskiego horroru w latach 90.?

Z pewnością. To był okres, kiedy do kin trafiało niewiele dobrych filmów grozy, w księgarniach prawie nie było horrorów poza książkami mojego ojca. To się zmieniło na początku lat 2000. Sytuacja polityczna uległa zmianie, po 11 września, po wojnie w Iraku i Afganistanie, ludzie znów zaczęli szukać ucieczki w fantastyce grozy. Jednak nie w tym bezmyślnym wydaniu – potrzebowali czegoś bardziej skomplikowanego, nieoczywistego. Czegoś, co w Stanach Zjednoczonych określamy jako *elevated horror*, groza na wyższym poziomie. Zaczął się wtedy może najlepszy okres amerykańskiego horroru, trwający zresztą do dziś. Filmy takie jak „Uciekaj", „Hereditary", „Coś za mną chodzi", „Obsesja", „Backrooms", seriale: „Wdowia Zatoka", „Crystal Lake" czy nowa wersja „Carrie". Pisarze tacy jak Nat Cassidy, Tananarive Due, Christopher Buehlman. To są nowe, świeże głosy w fantastyce grozy. Mają do powiedzenia ważne rzeczy na temat społeczeństwa, polityki, kultury. Złota era horroru trwa w najlepsze.

Skąd ta popularność? Przecież nie wzięła się jedynie z reakcji na niespokojne czasy.

Od jakiegoś czasu horror tworzą ludzie, którzy dorastali, czytając powieści Stephena Kinga i oglądając filmy Johna Carpentera, George'a Romero czy Davida Cronenberga. To ich ukształtowało i pozwoliło patrzeć na horror jako gatunek w zupełnie nowy sposób. Ludzie często pytają mnie o to, jak to jest być synem Stephena Kinga. A ja odpowiadam, że całe pokolenie twórców to dzieci Stephena Kinga: nie tylko ja i mój brat Owen, który też pisze książki, ale także reżyserzy tacy jak Mike Flanagan, Scott Derrickson czy bracia Dufferowie, twórcy „Stranger Things" – może najlepszej ekranizacji prozy mojego ojca, choć przecież nie opartej na żadnej z jego powieści. Dufferom w najpełniejszy sposób udało się przenieść na ekran doświadczenie, jakim jest czytanie książek Stephena Kinga.

Myśli pan, że kolejne pokolenia twórców będą kontynuować tę tradycję grozy jako komentarza do rzeczywistości?

Kto wie? A może w ogóle czytanie książek zniknie jako czynność? Może sztuczna inteligencja będzie nam je streszczać albo ktoś wymyśli lektury w pigułkach? Będziesz łykał tabletkę i od razu wiedział, o czym był „Moby Dick" czy „Ulisses", nie będziesz musiał odprawiać tego żmudnego rytuału patrzenia w książkę, przewracania kartek, myślenia o tym, co przeczytałeś.

To może najstraszniejsza fabuła, jaką pan wymyślił.

Też tak sądzę. Choć ja sam nie mam zamiaru się poddać. Będę czytał do samego końca.

ROZMAWIAŁ JAKUB DEMIAŃCZUK

© LMK/BE&W, TAURUS MEDIA

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Polscy siatkarze mistrzami Europy po wygranej z Francją w Mediolanie 26 września

Bieguny piłki

Medalowa reprezentacja siatkarzy to dzieło spójnego systemu szkolenia. W futbolu też działa system: każdy sobie rzepkę skrobie.

MARCIN PIĄTEK

Kolejny sukces siatkarzy zderzył się z kolejnym już pokazem niemocy piłkarzy. Ci pierwsi w pięknym stylu obronili mistrzostwo Europy po ograniu w finale mistrzów olimpijskich, Francuzów. Ci drudzy w czterech meczach Ligi Narodów przegrali dwa razy, ze Szwecją oraz z Bośnią i Hercegowiną. O powrocie do wyższej dywizji, z której zresztą niedawno spadli, mogą zapomnieć.

Odniesienia do siatkarzy, mających w zanadrzu również dwukrotne mistrzostwo świata i wicemistrzostwo olimpijskie, działają futbolistom na nerwy. Siatkarze są przy okazji takich porównań dyplomatyczni, ale kibice już mniej, wywieszają na meczach hasło: „Patrzcie piłkarze, jak grają siatkarze". Głód sukcesu futbolowego jest w narodzie wielki, medale siatkarzy trochę go rekompensują, ale tylko na miarę zaspokojenia aspiracji wewnętrznych.

Rezonansu, jaki wywołują medale imprez siatkarskich, jak i same turnieje, nie da się porównać z tym nakręcanym przez futbol, sport globalny. To zresztą koronny argument większości środowiska piłkarskiego: w siatkówce liczy się w świecie pięć krajów na krzyż i łatwiej się tam przebić, zaistnieć, coś osiągnąć niewielkim – w porównaniu z futbolem – kosztem. Rozmowa

© ANTONIO CALANNI/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 9f2fdbac8e

o składnikach sukcesu w zawodowym sporcie sprowadza się do pieniędzy i trudno dyskutować z tym, że w odpowiednim miejscu (czyli w Polsce, pamiętającej sukcesy reprezentacji Huberta Wagnera) w odpowiednim czasie (mniej więcej od dwóch dekad) znalazło się ich tyle, by siatkówka rozkwitła.

Telewizyjną obecność zapewnia lidze, klubom i reprezentacji Polsat, odpowiednie wsparcie dał najpierw biznes prywatny – przede wszystkim Polkomtel – a z czasem państwowy, bo spółki Skarbu Państwa sponsorowały lokalne kluby, najważniejszym zaś mecenasem reprezentacji i całego PZPS jest od lat Orlen. Te pieniądze wystarczyły na stworzenie jednej z najsilniejszych lig na świecie, konkurującej dziś – zarówno jeśli chodzi o poziom, jak i o wysokość kontraktów dla zawodników – tylko z ligami włoską i turecką. Przez polską ligę przewinęli się i wciąż przewijają najlepsi siatkarze świata, większość reprezentantów kraju gra w rodzimych klubach, nasze zespoły od paru lat mają żelazne miejsce w finałowym turnieju Ligi Mistrzów (z udziałem czterech drużyn). Niedawno trzy razy z rzędu wygrywała go ZAKSA Kędzierzyn-Koźle, a finał w 2023 r. był sprawą wewnętrznie polską – ZAKSA pokonała Jastrzębski Węgiel.

Siatka mówi po włosku

Polska siatkówka doszła do takiego poziomu „produkcji" krajowych zawodników, że odgórny zakaz przebywania na boisku w jednej drużynie więcej niż trzech cudzoziemców łatwo respektować. Pojawiają się wprawdzie głosy, że ograniczenie trzeba poluzować, gdyż polscy siatkarze zrobili się na lokalnym rynku za drodzy. Póki jednak ten protekcjonizm działa dla dobra reprezentacji – bo liga jest poligonem doświadczalnym – zmian nie należy się spodziewać.

Środowisku siatkarskiemu udało się stworzyć coś, co na polskim gruncie – gdzie mocno trzyma się skłonność do improwizacji – wydawało się trudne: system identyfikacji talentów, a następnie ich szlifowania od nieopierzonego smyka do reprezentanta kraju. Od 2012 r. na dole piramidy są siatkarskie ośrodki szkolne, zsynchronizowane z zajęciami w szkołach podstawowych. Klasy 4–6 to okres próby – dla dzieci, czy złapią bakcyla, i dla trenerów dokonujących selekcji. Dwa ostatnie lata nauki w szkole podstawowej to czas akcesu do klas o profilu siatkarskim, z programem poszerzonym o dziesięć godzin treningów tygodniowo. Ciąg dalszy, również w ramach specjalnie sprofilowanych klas, czeka w wybranych liceach i technikach.

Obecnie pod nadzorem jest 10 tys. dzieci, a od początku programu przewinęło się przez niego dobre kilkadziesiąt tysięcy uczestników. Na najbardziej perspektywicznych czekają dwie krajowe szkoły mistrzostwa sportowego – dla dziewcząt w Szczyrku i dla chłopców w Spale. Za kilka lat ma dojść do unifikacji placówek dzięki rozbudowie zaplecza infrastrukturalnego w Spale (na razie koedukacyjna jest tam tylko siatkówka plażowa).

W złotej drużynie siatkarzy było sześciu absolwentów spalskiej szkoły mistrzostwa sportowego, stanowią oni też trzon reprezentacji juniorskich, regularnie przywożących medale z mistrzowskich imprez. Co zdaniem dyrektora placówki Jacka Matyszewskiego jest najlepszym dowodem, że system działa jak w zegarku. – *We wcześniejszych medalowych drużynach seniorskich naszych absolwentów było nawet więcej. Dziś coraz więcej klubów rozwija swoje akademie* – mówi.

W całym liceum jest tylko 60 uczniów. W roczniku jedna klasa, w niej kilkanaście osób. Spała ma z punktu widzenia ewentualnych uczniów jedną zasadniczą wadę, będącą jednocześnie zaletą dla kadry szkoleniowej – ośrodek otoczony jest lasami, do najbliższego miasta, Tomaszowa Mazowieckiego, jest ponad 10 km, co dla niepełnoletniej licealnej młodzieży oznacza uziemienie w trójkącie: szkoła–internat–obiekty treningowe. Niektórych to zniechęca, nie są w stanie zrezygnować z towarzyskich atrakcji, odciąć się od znajomych. Bywa też, że opierają się rodzice. – *Nie każde dziecko jest emocjonalnie gotowe, by w wieku 14–15 lat wyprowadzić się z domu* – dodaje dyrektor.

Inna podskórna obawa rodziców to poziom nauki w „przyszytym" do siatkówki liceum. – *Mamy absolwentów studiujących medycynę, matematykę, psychologię, rachunkowość, więc niekoniecznie po takiej szkole jedyną opcją jest Akademia Wychowania Fizycznego. Uczymy włoskiego, bo to język międzynarodowej siatkówki. Dziewczęta trenujące u nas siatkówkę plażową wiodą prym, jeśli chodzi o wyniki w nauce, i motywują kolegów* – zapewnia dyrektor Matyszewski.

Co serwuje Spała

System selekcji i rozwoju talentów siatkarskich w całej Polsce, jak również wymiana informacji między trenerami działają tak sprawnie, że właściwie żaden zdolny i perspektywiczny dzieciak nie umyka uwadze trenerów ze spalskiej szkoły. Ci trenerzy też są zresztą nie od parady: szkolenie z „plażówki" nadzoruje Mariusz Prudel, jeszcze niedawno aktywny zawodnik, medalista – w parze z Grzegorzem Fijałkiem – mistrzostw Europy. A jednym z trenerów siatkówki halowej jest Jacek Nawrocki, który ze Skrą Bełchatów zdobywał medale mistrzostw Polski, był też selekcjonerem kobiecej reprezentacji. Dyrektor Matyszewski: – *Trenerzy chcą pracować w Spale. Możliwość prowadzenia najzdolniejszej młodzieży w kraju i kierowania jej rozwojem wiąże się z dużą odpowiedzialnością, ale jest też ekscytująca.*

Uczniowie nie zaczynają nauki, mając już zdefiniowaną i niezmienną pozycję na boisku. To właśnie do trenerów należy dopasowanie zawodnika do roli w drużynie. Mariusz Prudel trafił do plażówki, ucząc się jej nieco na własną rękę, mniej więcej dwie dekady temu, gdy jeszcze patrzono na nią w Polsce z przymrużeniem oka. – *Przez ten czas wykonaliśmy olbrzymi skok. Spała daje uczniom wszystko, łącznie z halą, w której jest podgrzewany piasek. Zresztą jedyną w kraju, ale w planie jest kilka kolejnych* – mówi.

Magnesem dla uczniów jest dostęp do fachowców i narzędzi szkoleniowych z najwyższej półki, w świecie zawodowego sportu zarezerwowanych dla profesjonalistów. Mają do dyspozycji psychologa, trenerów od przygotowania motorycznego, fizjoterapeutę, dietetyków, a ich stan zdrowia i reakcja organizmu na trening są monitorowane i są podstawą dawkowania obciążeń. W hali czekają technologiczne cudeńka. Można trenować odbiór piłki serwowanej przez maszyny zaprogramowane na konkretną siłę uderzenia, rotację piłki, kąt jej padania; ćwiczyć atak na wyrastającym po drugiej stronie siatki automatycznym bloku. Technika serwisu jest na bieżąco analizowana dzięki powtórkom wyświetlanym z kilkusekundowym opóźnieniem na dużych monitorach: trener przekazuje uwagi, uczeń widzi właściwie na żywo, gdzie popełnił błąd.

Choć siatkówka to sport zespołowy, bardzo duży nacisk kładzie się na trening indywidualny. A miejsce w szkole nie jest dane raz na zawsze. Mariusz Prudel: – *Czasami musimy zrezygnować z dalszego szkolenia. Powody? Brak oczekiwanych postępów* ▶

eprasa.pl 9f2fdbac8e

▶ *sportowych albo trudności z przystosowaniem do wymagań szkoły, zasad życia w internacie oraz funkcjonowania zespołu.*

Przeskok juniorów do rywalizacji zdominowanej przez dorosłych jest trudny, ale siatkówka ma nad innymi sportami zespołowymi zasadniczą przewagę: jest bezkontaktowa, w związku z czym wyeliminowane zostaje ryzyko zderzenia – a w konsekwencji kontuzji – ze starszymi i silniejszymi fizycznie zawodnikami, traktującymi młodzież bez taryfy ulgowej jako przyszłą konkurencję. Dla sportowego rozwoju takie konfrontacje są wskazane, nie można poprzestać na szkoleniu pod kloszem. Drużyny spalskiej szkoły mistrzostwa sportowego występują w ligach na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej. Uczniowie nie są rozliczani z wyników i dostają posmak dorosłej siatkówki: analizę statystyczną swoich występów, taktyczne odprawy z rozłożeniem na czynniki pierwsze stylu gry rywali, mogą się przekonać, jak w praktyce wygląda pomeczowa regeneracja.

Żeby Jasio strzelił trzy

Polski futbol również ma swoją szkołę mistrzostwa sportowego pod patronatem PZPN – w Łodzi. Równolegle – ze wsparciem piłkarskiej centrali oraz Cracovii – działa niepubliczna szkoła w Krakowie. Absolwentów tych placówek, którzy stali się podporą reprezentacji Polski i zrobili karierę w mocnej zachodniej lidze można policzyć na palcach jednej ręki. Konkretnie na jednym palcu, odhaczając go przy nazwisku Kuby Błaszczykowskiego (uczył się w Krakowie). Faktyczny wpływ samej szkoły na jego godną pozazdroszczenia karierę trudno jednak ocenić; sam piłkarz o tym nie wspomina.

Wśród ludzi polskiej piłki ze świecą trzeba szukać rozmówców skłonnych do sensownej odpowiedzi na pytania, jak to się dzieje, że w kraju, gdzie według PZPN zarejestrowano niemal pół miliona zawodników, ich poziom wyszkolenia jest słaby, co widać również w meczach reprezentacji. I jak to się dzieje, że klub uznawany za wzorową fabrykę talentów, czyli Lech Poznań, w dwóch pierwszych kolejkach Ligi Europy (czyli zaplecze elitarnej Ligi Mistrzów) przegrał dwa razy i ma bilans bramkowy 0:8 tylko dzięki litości rywali. Tak wyglądało zderzenie wychowanków akademii Lecha z futbolem z wyższej europejskiej półki. A co by było w najwyższej – w Lidze Mistrzów, do której Lech aspiruje? Strach pomyśleć.

Nazywaniu rzeczy po imieniu sprzyja funkcjonowanie poza oficjalnym obiegiem. Tak jak Łukasz Budzyński, współwłaściciel firmy Football Lab, organizującej obozy treningowe oraz szkolenie indywidualne dla dzieci, jak również przygotowującej programy dla zawodowych piłkarzy. – *Największy problem? Szkolimy drużyny, a nie jednostki. Drużyna może nieźle funkcjonować jako całość, ale piłkarz prędzej czy później ją zmieni, trafi w nowe środowisko. W którym obroni się dzięki mocnej psychice, przygotowaniu motorycznemu i dzięki technice gry, opanowaniu piłki. A z tym ostatnim jest u nas bardzo duży problem, zresztą widać to gołym okiem na poziomie Ekstraklasy. Jeśli więc przygotowujemy indywidualne plany treningowe, to przede wszystkim pod kątem poprawy techniki* – mówi.

Jego doświadczenia z zawodowym futbolem w Polsce dają do myślenia. – *Zdarzało się, że po dwóch, trzech zajęciach rezygnowaliśmy ze zlecenia od klubu, bo trenerzy z góry negowali nasze plany. Piłkarze proszą, by trzymać współpracę z nami w tajemnicy. Nie chcą, by dowiedział się o tym klubowy trener, który odbierze to jak krytykę własnego warsztatu i uzna, że to dodatkowy wysiłek, narażanie na kontuzję. W jednym z klubów Ekstraklasy piłkarz postanowił jednak poinformować trenera o tych zajęciach. Ten powiedział „super", po czym posadził chłopaka na ławkę* – śmieje się Budzyński.

Trenerzy jak ognia unikają zarzutów o „zajechanie" piłkarzy, bo mają obawy, że piłkarze się zbuntują, zaczną seryjnie przegrywać i w ten sposób ich zwolnią. Polska piłka ligowa pisana jest takimi przypadkami, po których następuje cudowna metamorfoza tych samych zawodników pod okiem nowego szkoleniowca. Chucha się i dmucha już od małego. Łukasz Budzyński: – *Pytam trenerów z różnych akademii: dlaczego nie zarządzacie tym dzieciakom dodatkowych ćwiczeń z techniki, nawet jako praca domowa? Przecież aż się o to prosi. „A nie, wiesz, lepiej nie, bo oni są przemęczeni". Jak to, pytam, po półtorej godziny treningu? A ty jak byłeś w ich wieku, to ile grałeś? „No, odkąd wróciłem ze szkoły, do zmroku". Trenerzy w akademiach w jednym mają rację: trafia do nich coraz słabszy fizycznie materiał. Gdybyśmy na naszym obozie dzisiaj wprowadzili ten sam program co dziesięć lat temu, po pierwszym dniu mielibyśmy szpital.*

Indywidualne szkolenie leży już od najmłodszych lat. A straty na tym polu trudno nadrobić. Dlaczego? – *Do piłkarskich akademii trafiają dzieci, które nie potrafią poprawnie wykonać najprostszych ćwiczeń, nadają się na gimnastykę korekcyjną. Poza tym dziecięca piłka jest u nas skrajnie skomercjalizowana, akademie zabijają się o dzieciaki i starają się zrobić wrażenie superprofesjonalnych. A jak ocenia się poziom akademii? Poprzez jej wyniki. Wynikomania to choroba dziecięcej piłki. Żeby zrobić wynik, drużyny komponuje się z najsilniejszych fizycznie, a nie najzdolniejszych i najbardziej perspektywicznych* – opowiada Budzyński.

Wynikomania zabija nacisk na szkolenie indywidualnych umiejętności i szerzy się wśród właścicieli akademii (bo to „dowód" jakości szkolenia, magnes, na który łapie się kolejnych i konkuruje na rynku), rodziców (niemogących sobie darować przechwałek, że ich Jasio znowu strzelił trzy), a także trenerów, którzy również są przekonani, że miejsce w tabeli jest najlepszym dowodem jego warsztatu. – *Gdy zapytasz trenera takiej grupy dzieciaków, jakie ma priorytety, odpowie, że oczywiście dobro dzieci, ich rozwój, zabawę z piłką. W gruncie goni za pieniędzmi ze szkółki do szkółki, odhacza kolejne konspekty zadań bez refleksji, czy mają sens, i dałby się pokroić za pracę w dorosłej piłce, nawet w okręgówce. Wie, że zostanie zauważony tylko dzięki wynikom. Więc ciśnie. Takich, którzy są naprawdę oddani pracy z dziećmi, jest mniejszość.*

Nie pobiegnie, kto nie chodzi

Kilkanaście lat temu PZPN, jeszcze za prezesury Zbigniewa Bońka, uznał, że rodzimą myśl szkoleniową trzeba ujednolicić i uporządkować. Ogłoszono prace nad Narodowym Modelem Gry. Powstało nawet stosowne opracowanie teoretyczne, a wraz z nim „narodowe" ustawienie taktyczne w systemie 4–3–3. Pozostało na papierze. Jednak PZPN wciąż publikuje suplementy do swego „kanonicznego" periodyku szkoleniowego.

Zdaniem Łukasza Budzyńskiego od narzuconego modelu gry, do którego zawodnicy mają się dopasować, bardziej potrzebny jest cierpliwy rozwój umiejętności indywidualnych, ich weryfikacja, a potem dobór taktycznego planu i etap tzw. rozumienia gry. To termin, który ostatnio robi wśród trenerów furorę: piłkarz musi rozumieć grę, mniejsza o to, że ma technikę jak Pinokio. A trudno nauczyć biegać kogoś, kto nie potrafi chodzić.

MARCIN PIĄTEK

eprasa.pl 9f2fdbac8e

FELIETON

Koziołek



Dzieci złe

Widział pan to? – zapytała wzburzona sąsiadka, wskazując wózek dziecięcy pchany przez młodego mężczyznę.

– Zaszokował panią uchwyt na smartfon – odparłem domyślnie.

– A pana nie?

– Gdybym dziś był młodym rodzicem, przykleiłbym sobie telefon nawet do czoła, żeby karmienie albo usypianie było krótsze.

– Tylko co ono widzi na tym ekranie, skoro jeszcze nie mówi? Mnie babcia straszyła, że jak będę gapić się za długo w lustro, pokaże mi się tam diabeł. Śmiałam się z tego, wspominając dzieciństwo, ale ostatnio przestałam.

Miotamy się w bezradnej wściekłości, aby dopaść „coś", co przez ekrany komputerów i telefonów krzywdzi nasze dzieci, a niektóre czyni zdolnymi do zabijania. Niestety, to nie ekran, ale dziecięcość dziecka jest portalem, którym chętnie wyłażą na świat potwory. Odkryliśmy to w XVIII w., kiedy zaczęto rozumieć, że dzieciństwo jest kluczową fazą dojrzewania człowieka i nie można zostawiać rodzinie monopolu na wychowanie, bo będzie ono replikować dorosłych, którzy je krzywdzą lub rozpieszczają. Zgodziliśmy się, że państwo musi się wtrącić, poddając dziecko opiece systemowej, przede wszystkim w zakresie zdrowia, higieny, wychowania oraz wykształcenia. Romantyzm odrzucił oświeceniowy projekt pedagogiczny. Uznał, że szkoła i tresura społeczna niszczą w dziecku spontaniczność, wrażliwość, ufność, a i tak nie uwolnią jego umysłu spod władzy mrocznych sił.

> Dorośli zatracili instynktowną zdolność wyczuwania zagrożenia, jaką mają zwierzęta i dzieci. A te znów nas ostrzegają.

– Dlaczego, synku, odwracasz wzrok?
– Nie widzisz, tato? Popatrz tam, w bok.
Król olch mnie wabi, korona mu lśni.
– To tylko mgła. Coś ci się śni.

J.W. Goethe, „Król Olch", przeł. Antoni Libera

Ojciec racjonalista tłumaczy dziecku, że to fejk, instaświat; bierze synka w ramiona, wynosi z ciemnego pokoju. Za późno. „– A tam, duby smalone i stare baśnie! Przecież wiadomo, że to wszystko przez komputery! Kiedyś było inaczej. Dzieciństwo spędzaliśmy, bawiąc się na podwórkach, dlatego byliśmy zdrowi i szczęśliwi" – protestujemy. Spokojnie, nasi przodkowie też załamywali ręce, nie rozumiejąc „czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z?".

Orcio z „Nie-Boskiej komedii" na pewno nie miał smartfona, a jednak szczęśliwy nie jest, choć żadne troski materialne mu nie doskwierają. Przepełnia go smutek bez przyczyny, którą znałby dorosły. Dziecko romantyczne jest „czymś" w rodzaju technologii mistycznej; nadprzewodnikiem między widzialnymi i niewidzialnymi wymiarami świata. Łatwiej porozumiewa się z naturą i z duchami niż z dorosłymi. Mocą swojej wrażliwości wyczuwa zło i jego grozę mocniej i wcześniej niż dorośli.

Postać dziecka jako swoisty „radar grozy" chętnie wykorzystuje horror. Danny („Lśnienie" Stanleya Kubricka), Rhoda („Bad Seed" Mervyna LeRoya), Cole („Szósty zmysł" M. Nighta Shyamalana), Regan („Egzorcysta" Williama Friedkina), Damien („Omen" Richarda Donnera), Gage („Smętarz dla zwierzaków" Stephena Kinga), Will Byers („Stranger Things"), Ciri (saga o Wiedźminie Andrzeja Sapkowskiego) – to tylko najbardziej znane rodzeństwo chłopca wabionego przez demonicznego króla elfów.

Wszystkie te opowieści mówią jedno: pogrążeni w kulcie racjonalności i technologii dorośli zatracili instynktowną zdolność wyczuwania zagrożenia, jaką mają zwierzęta i dzieci. A te znów nas ostrzegają, płacąc cenę zdrowia i życia. Zostawiliśmy dzieci i młodzież na pastwę demonicznych ekranów, ale problemem jest groza, która znalazła przez nie drogę do umysłu dziecka. Nie wystarczy zabrać mu telefon. Trzeba wziąć je za uwolnioną od telefonu rękę i pójść razem do „króliczej nory". Czyli najpierw pomóc mu nazwać potwory – istniejące i wymyślone – a potem wspólnie z nimi walczyć.

Kiedy Bruno Bettelheim pracował nad książką o terapeutycznej roli baśni, miał wątpliwości, czy dzieci z traumą obozów koncentracyjnych powinny czytać pełne grozy i przemocy baśnie braci Grimm. Badania przekonały go, że tak. Tamte i nasze dzieci wiedzą, że świat bywa strasznym miejscem; że są w nim przemoc, choroby, ból, śmierć, wobec których często jesteśmy bezradni. Zwłaszcza jako dzieci. Jednak czytając baśń, dziecko widzi bohatera, który cierpi, jest poniżany, traci rodziców, ale nie jest pozbawiony zdolności niezbędnej do zdrowego życia – siły i sprawczości potrzebnych do zmiany życia na lepsze. To, jak potoczą się wydarzenia, zależy od bohatera, choćby był śmiesznym głupim Jasiem. Jeśli jest odważny, dobry, życzliwy, uprzejmy dla ludzi i zwierząt, może dokonać czegoś ważnego: pokonać smoka, rozkochać w sobie księcia lub księżniczkę, zdemaskować fałszywego króla, zmienić zły rząd... I żyć długo i szczęśliwie.

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Siły ciemności

Z okazji setnych urodzin Gdyni (wszystkiego najlepszego!) w gdyńskim Konsulacie Kultury zorganizowano wydarzenie „Horyzonty pokoju". Wystąpili Aleś Bialacki, Norman Davies, Richard Flanagan i Andrij Lubka, prowadziła Katarzyna Kasia i wszystkie te wystąpienia były wspaniałe i niezapomniane. To jednak jest felieton, a nie relacja, skupię się więc na tym, co mówił Andrij Lubka – ukraiński pisarz, który łączył się z nami ze swojej jednostki przez internet.

Przepraszam pozostałych mówców, na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że (jak widać z innych moich tekstów) wojnę w Ukrainie uważam za najważniejszy temat współczesności. Zależą od niej wszystkie nasze plany na przyszłość (a nawet to, czy w ogóle będziemy mieć jakąkolwiek przyszłość). Najchętniej czytałbym i pisałbym tylko o niej, chociaż oczywiście rozumiem, że nie żyjemy w czasach Remarque'a, więc media nie mogą publikować tekstów typu „Na wschodzie bez zmian".

Lubka, jak mówił, zgłosił się na ochotnika, ale nie dlatego, że „lubi być żołnierzem". Nie może się doczekać, żeby przestać nim być i wrócić do swojego normalnego życia – jako pisarza, nauczyciela, ojca, męża i wędkarza. Zgłosił się nie z miłości do życia wojskowego, tylko do życia cywilnego, bo zwycięstwo Rosji oznaczałoby jego koniec. Co mnie szczególnie zaciekawiło w wystąpieniu Lubki, on ten koniec widzi dwojako. Na pierwszym planie jest geopolityczna oczywistość. Przywrócenie rosyjskiej dominacji w Ukrainie oznaczałoby biedę, terror, ludobójstwo, czyli te trzy rzeczy, które Rosjanom wychodzą najlepiej. Z powodzeniem realizują je na tych 20 proc. terytorium Ukrainy, które udało im się zająć.

Muska, Thiela i Vance'a łączy głęboka nienawiść do Ukrainy. Co Ukraińcy im zrobili złego? Łatwo to wyjaśnić.

Jest jednak jeszcze drugi aspekt, który dotyczy całego świata. Front w Ukrainie to nie tylko front między dwoma państwami, ale dwiema ideologiami. Jedną z nich jest tradycyjna demokracja liberalna, drugą coś, co Lubka nazywał technofaszyzmem, ale funkcjonuje to pod wieloma określeniami.

Internetowy przedsiębiorca Peter Thiel – jedyne nazwisko, które wymienił Lubka – finansuje rozmaite projekty polityczne, czasem nazywane „ciemnym oświeceniem", „arystopopulizmem", „neoreakcjonizmem" albo „alt right". Thiel jest inwestorem, więc stoi nie za konkretną technologiczną firmą, lecz za funduszem inwestycyjnym Founders Found, który z kolei stoi za wieloma. Spośród tych, których wypromowały jego pieniądze, najbardziej znany jest Elon Musk, ale Thiel miał swój udział w sukcesach Facebooka, Palantira i wielu start-upów AI. To świat biznesu, a w świecie polityki najbardziej znanym otwartym sympatykiem tych ruchów jest wiceprezydent J.D. Vance. Muska, Thiela i Vance'a łączy głęboka nienawiść do Ukrainy – tak wisceralna, że aż się można zastanawiać, co Ukraińcy im zrobili złego. Łatwo to wyjaśnić.

„Ciemne oświecenie" zawdzięcza nazwę temu, że jego celem jest cofnięcie społeczno-politycznego dziedzictwa epoki oświecenia (łaskawie godzą się zostawić dziedzictwo naukowe). Co za tym idzie, chcą skasować demokrację i przywrócić monarchię absolutną (niekoniecznie pod tą nazwą) oraz zasadę „koncertu mocarstw", zgodnie z którą duże państwa mogą robić z małymi państwami, co chcą. Imperialistyczny neocarat Putina to ich naturalny sojusznik – w Rosji z oświeceniem co prawda zawsze było krucho, ale jeśli chodzi o „ciemność", mają jej *skolko ugodno*.

Z Putinem im po drodze, bo ich celem jest stworzenie ustroju, w którym prawa mają tylko nieliczni bogacze, a cała reszta będzie zredukowana do bezwolnej masy. Szary obywatel ma być pozbawiony prawa do jakiegokolwiek protestu, ma tylko radośnie machać chorągiewką, gdy oligarchia zademonstruje mu jakiś bezsensowny gadżet w rodzaju „latającego samochodu". Rosja już ma podobny system, dlatego ludziom Trumpa łatwiej się dogadać z ludźmi Putina niż z Zełenskim czy z Unią Europejską. Wygrana Rosji w Ukrainie wzmocniłaby ruchy „ciemnego oświecenia" na całym świecie. Także w Stanach Zjednoczonych, gdzie na razie neoreakcjonistom brakuje siły, żeby przeforsować zmiany ustrojowe.

W razie wygranej Putina w Ukrainie z Rosji popłyną strumienie pieniędzy. Nie do kieszeni przeciętnych Amerykanów, tylko dla wyselekcjonowanych przez władzę oligarchów – dokładnie tak jak oligarchię w Rosji budował Jelcyn. „Ty dostaniesz ropę, ty gaz, a ty nikiel". Rosjanie teraz jednym proponują kontrakty przy budowie tunelu pod Cieśniną Beringa, innym „centra obliczeniowe zasilane z rosyjskich elektrowni atomowych", jeszcze innym dochody z eksportu rosyjskich surowców. To by uczyniło oligarchię z Krzemowej Doliny jeszcze potężniejszą niż obecnie, a wtedy naprawdę mogliby wcielać w życie przerażające pomysły ustrojowe „ciemnego oświecenia".

Warto o tym pamiętać, gdy śledzimy informacje z Ukrainy. Stawka jest większa niż tylko kreski na mapie. To jest wojna o prawo zwykłego człowieka do życia w wolności i dostatku, także w Polsce, także w USA, także w Norwegii i gdziekolwiek bądź. To wojna światła z ciemnością.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Kopiuj i wklej

Kto nie ściągał – a nie chodzi o tekstylia – niech pierwszy rzuci kamieniem. Na geografii na klasówce z geologii ściągałam od mojej przyjaciółki Marty R. To pożałowania godne zachowanie wyszło wszystkim na dobre. Redaktor Marta wykorzystuje swą rozległą wiedzę ze wszystkich przedmiotów, gdyż jest jedną z najlepszych autorek nagradzanych słuchowisk w Europie. Skały pozostają niewzruszone moimi brakami w geologii. A ja nadal nie odróżniam gnejsów od łupków, bo w górach jestem zbyt zajęta walką o życie, żeby kolekcjonować kamienie. Latem wpatruję się nerwowo w znaki i sprawdzam, ile męki zostało jeszcze do zimnego piwka. Daleko jeszcze? A zimą niczym kobra w goglach wpatruję się w plecy włoskiej instruktorki Lisy, stają się coraz mniejszymi punkcikami, migiem pokonując muldy. Zgubienie we mgle włoskiej instruktorki w moim przypadku grozi zjechaniem do zupełnie innego miasteczka już po zamknięciu gondoli i łapaniem autostopu. W górach Włosi śmigają starymi Fiatami Panda, miejsca mało, spieszą się z roboty szykować polentę z grzybami, więc zgarnianie frajerek z Polski w ubłoconych butach narciarskich nie jest ich pierwszym wyborem na popołudnie.

Czy pozwalałam od siebie odpisywać? I owszem. Znałam ten ból braku talentu, przygotowania, umiejętności oraz lęk przed kompromitacją w domu i szkole, a pamiętajmy, że odrabianie lekcji w dawnych epokach przed AI wymagało też pracy, tzw. przysiąścia fałdy, by notować, i to długopisem, szukać informacji, może nawet poza domem, bo w bibliotece osiedlowej, no straszne męki Tantala – dawałam kolegom i koleżankom ściągać, tego też wymaga solidarność w stadzie.

„To ja jestem Trzecią Drogą". W starzejącym się społeczeństwie Morawiecki słusznie liczy na efekt trzeciej świeżości.

Sama ściągałam, dlatego widzę, jak rozpaczliwe łypie oczami były bankier, ekspremier Mateusz Morawiecki. Jak by tu coś zgapić od swoich zdolniejszych, bardziej wygadanych, charyzmatycznych i popularniejszych kolegów z ławek: Donalda, Szymona, Rafała? Wszak ze zmarzniętym staruszkiem chybocącym się w za dużym kaszkiecie pod płotem Trybunału Konstytucyjnego już nie chce mu się pokazywać – no, może się czasem tam przemaże, ale ojczym Jarosław raz już z niego zrobił premiera i widać, że ten bajer drugi raz się nie uda. Dziadzio pomógł, dziadzio może się bujać. W fotelu z nieistniejącymi wnuczkami. Pozostaje zrzynać np. od Szymona, który teraz dryfuje niczym Ofelia, efektownie zaliczając kolejne polityczne samobójstwo.

Morawiecki może dosłownie wejść w jego buty. „To ja jestem Trzecią Drogą" – przemawiał w Klubie Palladium. W starzejącym się społeczeństwie, gdzie wygrzebani w second handach sześćdziesięciolatkowie, następnie odprasowani i nabotoksowani, spokojnie nadają się do trzecich małżeństw czy triatlonów ze studentkami, Morawiecki słusznie liczy na efekt trzeciej świeżości. Wykończeni pandemią, alertami o nalotach dronowych i rewelacjami o rozliczeniach „dotkniętego geniuszem" Obajtka czy listach żelaznych jesteśmy jak mieszkańcy osiedli przy lotnisku – już nawet nie słyszymy tego hałasu wokół afer z czasów Pinokia.

Można też zgapiać od Bonżura. Dla Warszawiaków dawne Kino Palladium to miejsce z tradycjami. I serce najważniejszego projektu Rafała Trzaskowskiego, tzw. Nowego Centrum. Z jednej strony zieleń i otwarcie na pieszych, a z drugiej bezduszna gentryfikacja wypychająca mieszkańców poza miasto. Adres stał się *instafriendly* i podoba się turystom zagranicznym. I taki stara się być cały Rozłam Plus, jak tu sobie o nich na podwórku mawiamy. Europejski i nowoczesny jak Bonżur. Regionalizm nie wypalił. Próbował Morawiecki podlizywać się wyborcom na Śląsku, a to defilując z górnikami, a to handlując z proboszczem, i co? „Poseł ze Śląska, oszust z Wrocławia".

Spisując od innych, powielamy ich styl. Smykałką do pozyskiwania nieruchomości pochwalić się mogła większość rozmodlonej prawicy. Nawrocki zainteresował się mieszkaniem samotnego staruszka, Morawieccy mieli metodę „na proboszcza", a stołeczna Platforma czyściła kamienice, by dziś kręcić rolki w kasku Boba Budowniczego na tle kilkuset TBS. Może rzuci się parę monet za te grzechy na termy Rydzyka i jakoś to będzie? U ojca dyrektora Morawiecki lubił się bujać za rączki ze Zbigniewem Ziobrą, ale ten wybrał karierę dziennikarską na Dzikim Zachodzie. W dodatku słuchalność Radia Maryja spadła, więc nie warto „rydzykować" – lepiej odsłuchać poranne psalmy na swą cześć w radiu Wnet.

Ściągając od kolegów, musimy im się jakoś odwdzięczyć. Spektakularna klęska kandydatki KO w wyborach w Grodzie Kraka jest przez Rozłamowców nader taktownie przemilczana. Nie przeszkadzają koalicji udawać, że w sumie ten Kraków to galicyjski skansen bliżej Wiednia niż Polski i nie jest wart mszy, bo bez naszego papieża w okienku to już i tak się nie liczy. Morawiecki swoje dawne teksty o „świętości granicy" i uszczelnianiu muru pozwolił premierowi Tuskowi odpisać od siebie na zasadzie *copy and paste*, prawda?

AGATA PASSENT

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Ocalony ocean

Co prawda w konflikcie z Iranem, w zdobywaniu Grenlandii i w zakańczaniu wojny w Ukrainie Donald Trump nie ma takich sukcesów, na jakie zasługuje, ma za to sukcesy w nadawaniu nowych nazw różnym miejscom. W zeszłym roku doprowadził do zmiany Zatoki Meksykańskiej na Zatokę Amerykańską, w tym podpisał rozporządzenie wykonawcze w sprawie natychmiastowej zmiany nazwy jeziora Ontario na jezioro Ameryka. Najnowszym pomysłem Trumpa była zmiana Oceanu Atlantyckiego na Ocean Trumpa, ale szef Google, nie wiadomo dlaczego, nie zgodził się na wprowadzenie tej nazwy do Google Maps.

Nie zgadzam się z oceną, że to bolesna porażka prezydenta USA, zwłaszcza że po odmowie szefa Google Trump osobiście zadecydował, że nazwa oceanu pozostanie bez zmian. „Zostawimy to jako Ocean Atlantycki" ogłosił i to dzięki niemu akwen ten będzie się odtąd nazywał tak, jak się nazywał dotąd.

Ponieważ Karol Nawrocki przez ponad rok nie zdołał zmienić w Polsce nazwy niczego, zaufanie do niego w sondażach trochę siadło. Jak dotąd nie udało mu się zmienić nawet rządu Tuska, który zamiast porządnie rządzić, straszy tylko Polki i Polaków narastającym zagrożeniem ze strony Rosji. Nie wiadomo, gdzie Tusk to narastanie ze strony Rosji widzi. Zdaniem prezydenta poza zagrożeniem ze strony rządu Tuska żadne inne zagrożenie nie narasta, a to, że Rosja, która mogłaby doprowadzić do narastania zagrożenia, nie doprowadza do niego, świadczy po prostu o tym, że się Nawrockiego boi.

W opinii Tuska Polsce najbardziej zagrażają rosyjskie drony, rakiety oraz wdychający od rana do wieczora ruski gaz europoseł Braun. Z tym że według mnie odurzony gazem Braun jest od drona groźniejszy, gdyż: dysponuje większą inteligencją i zasięgiem; wykrywa i niszczy obiekty także w pomieszczeniach zamkniętych; ze szczególną precyzją uderza w takie cele, jak Żydzi, Ukraińcy, choinki, menory i unijne flagi; trudno ustalić, kto i skąd w Rosji nim steruje.

Dzięki alertom RCB i akcjom informacyjnym rządu wiadomo, że atak dronów i rakiet najlepiej przeczekać w lesie, schronie lub piwnicy. Niestety ukrywanie się w piwnicy przed europosłem Braunem nic nie da, bo może nas znaleźć i po tradycyjnym „Szczęść Boże" użyć gaśnicy albo napuścić na nas tego prymitywa „Jaszczura".

Uważam, że najlepszy sposób, żeby się przed Braunem obronić, to nie głosować na jego partię. A jeśli mimo to wydarzy się najgorsze, zawsze można spakować plecak ewakuacyjny i ewakuować się w Bieszczady albo za granicę.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint

eprasa.pl 9f2fdbac8e



Od lewej: **Zbigniew Nosowski, prof. Robert Gałązkowski, ks. Adam Boniecki, Marcin Mikos i Jerzy Baczyński**

Laur za dzielność

W ubiegłym tygodniu poznaliśmy laureatów XIX edycji Nagród za Dzielność Publicystyczną i Obywatelską im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego. W tym roku kapituła Nagrody wyróżniła ks. Adama Bonieckiego oraz prof. Roberta Gałązkowskiego. Jak podkreślał redaktor naczelny POLITYKI Jerzy Baczyński, uhonorowano „dwóch ratowników: ratownika duchowego i ratownika medycznego".

Nagrodę im. Janiny Paradowskiej otrzymał ks. Adam Boniecki, redaktor senior „Tygodnika Powszechnego". Podczas laudacji Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny kwartalnika „Więź", dziękował czcigodnemu laureatowi „za dzielność opisywania pokus władzy" oraz „za dzielność milczenia, gdy przełożeni nakładali na niego zakaz wypowiedzi medialnych".

„Chciałem zwrócić uwagę na to spotkanie »Tygodnika Powszechnego« i POLITYKI. Mówi się: »to konkurencja«. Może w jakimś sensie tak, ale przede wszystkim, odkąd pamiętam, czytało się POLITYKĘ i »Tygodnik«. To różne spojrzenia i perspektywy, ale oba tytuły są serio" – podkreślał ks. Boniecki. I dodawał: „Z podziwem patrzę na POLITYKĘ, która przyznaje ludziom z »Tygodnika Powszechnego" taką nagrodę. I nie przeszkadzało wam, że ktoś jest księdzem".

Z kolei Nagrodę im. Jerzego Zimowskiego za Dzielność Obywatelską otrzymał prof. Robert Gałązkowski, „architekt polskiego ratownictwa medycznego, które – jak podkreślał w laudacji Marcin Mikos z zarządu PZU Zdrowie – nosi ślady jego misji i determinacji". Prof. Gałązkowski zbudował także Lotnicze Pogotowie Ratunkowe i przez lata nim kierował (czytaj też s. 43). „Jego misją jest ratowanie ludzkiego życia. Ratował na masową skalę, choćby po zawaleniu się hali w Katowicach czy po katastrofie kolejowej pod Szczekocinami" – wyliczał Mikos.

„Wszystko się zaczęło, gdy uwierzyłem, że warto pracować i żyć dla drugiego człowieka, a jego uratowanie jest największą satysfakcją, jaką można mieć" – wspominał prof. Gałązkowski. Zarazem gorzko diagnozował współczesność i zwracał uwagę, że nie można poddawać się zmęczeniu wojną w Ukrainie. „Musimy reagować na agresję dobrym słowem. Głosić dobro, szacunek człowieka do człowieka" – dodawał profesor.

FUNDACJA IMIENIA Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego

Nagroda upamiętnia wybitnych małżonków: zmarłego w 2008 r. Jerzego Zimowskiego, prawnika, zasłużonego członka demokratycznej opozycji, wiceministra spraw wewnętrznych w pierwszych rządach III RP, oraz Janinę Paradowską, zmarłą przed dziesięcioma laty dziennikarkę POLITYKI. Od 2017 r. nagroda jest przyznawana przez powołaną przez przyjaciół i współpracowników małżonków Fundację im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego.

Fundacja jest organizacją non profit. Działa dzięki donatorom i osobom wspierającym. Wszystkim, którzy chcieliby ją wesprzeć, będziemy wdzięczni za wpłaty na numer konta: **51114020040000370277014612**.

Więcej informacji o Nagrodzie i jej Patronach na: **jankajerzyfundacja.pl**



© LESZEK ZYCH, MAREK KWIATKOWSKI

Kolejna nagroda dla Marka Kwiatkowskiego

Z dumą odnotowujemy, że nasz redakcyjny kolega, projektant graficzny i ilustrator Marek Kwiatkowski kolejny raz został nagrodzony – tym razem podczas III edycji konkursu „À propos Derwicha – satyra jest kobietą".

Marka Kwiatkowskiego wyróżniono za „dowcipną i pełną uroku barwną ilustrację prowadzoną swobodną kreską"; jego praca „Para" zajęła drugie miejsce. Wernisaż wystawy oraz wręczenie nagród odbędzie się 16 grudnia o godz.18 w Bibliotece Wielkopolskiej przy ul. B. Prusa 3 w Poznaniu.

Marku, gratulujemy!

Margit Kossobudzkiej-Lipińskiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci **Mamy**

składają przyjaciele z redakcji

eprasa.pl 9f2fdbac8e

W Lizbonie zakończyły się mistrzostwa świata sommelierów. Niespodziewanym zwycięzcą został Norweg.



Najlepsi z najlepszych

WINO

Cóż to były za emocje! Japończyk Wataru Iwata, który nieoczekiwanie wtargnął do wielkiego finału i dobrze mu szło, przy dekantacji (czyli przelewaniu do karafki) porto z grubym osadem kompletnie się pogubił, stracił cenne punkty i tym samym szansę na końcowy sukces. Wielka faworytka ekspertów i publiczności Pascaline Lepeltier, Francuzka pracująca w Nowym Jorku, w degustacji w ciemno – zazwyczaj jej mocna strona – pomyliła włoskie barolo, pachnące i eteryczne, z przysadzistym wysokoalkoholowym francuskim châteauneuf. Ostatecznie to zatem opanowany i dokładny Norweg **Nikolai Haram Svorte** ku zdziwieniu wszystkich – samego siebie również – sięgnął po najwyższy sommelierski laur.

Mistrz Polski Tomasz Żak zrealizował plan minimum, awansując do półfinału, ale ostatecznie zajął 19. miejsce, przegrywając z... przeziębieniem, do którego przyczyniła się nadmierna klimatyzacja – nie tylko zresztą w jego przypadku. Szkoda, bo był świetnie przygotowany i liczył na więcej.

Brzmi to wszystko jak sprawozdanie z tenisowego turnieju Masters 1000? Zawody restauracyjnych specjalistów od wina – tradycyjnie nazywanych sommelierami – dawniej były nudnawym spotkaniem wąskiego kręgu specjalistów. Od paru lat jednak międzynarodowe stowarzyszenie sommelierów AIS przy wsparciu sponsorów uczyniło z niego wielkie widowisko. Dość powiedzieć, że finał w Lizbonie na żywo obserwowało ponad 600 osób, a transmisję w kanałach społecznościowych obejrzało ponad 45 tys. Mistrz świata może zaś liczyć na międzynarodową sławę i intratne angaże.

Jeśli z ironicznym przymrużeniem oka pomyśleliście o zawodach winiarskich kelnerów, których zadaniem jest przecież zaledwie otworzyć butelkę wina i nalać je restauracyjnym gościom do kieliszka, jesteście w ogromnym błędzie. Sommelierzy to dziś grupa wysoko wyspecjalizowanych superprofesjonalistów, którzy na całym świecie dbają o nasz komfort i winiarską przyjemność. Ich rola w restauracji jest niewiele skromniejsza niż szefa kuchni. Razem z nim zresztą najczęściej opracowują dania, modyfikując ich smaki, aby lepiej pasowały do wina. Z szerokiej rynkowej oferty wybierają najciekawsze etykiety, coraz częściej też (z tej opcji korzysta już przeszło 50 proc. restauracyjnych gości) opracowują tzw. *pairing*, czyli zestaw degustacyjnych porcji różnych win do poszczególnych dań.

Nic dziwnego, że umiejętności sommelierów zademonstrowane w czasie mistrzostw świata zapierały dech. A była to nie tylko degustacja w ciemno różnych gatunków win i alkoholi mocnych – gdy przy tykającym zegarze trzeba rozpoznać prosecco, rieslinga, burgunda, primitivo, whisky, koniak i rum – czy skomplikowany serwis wina w rodzaju: rozlej podwójną butelkę szampana na 12 równych porcji bez dolewania. Sommelierscy mistrzowie musieli na scenie obsłużyć jednocześnie trzy stoliki gości, z których jedni zamawiali wyrafinowane koktajle, inni oczekiwali rekomendacji wina pasującego do dania z dziczyzny, grzybów i topinamburu, a butelka wina wybrana przez trzeci stolik okazała się zepsuta i trzeba było ją szybko wymienić. Jak w realu, tyle że pod krytycznym okiem komisji, presją czasu i 20 konkurentów.

Wszystko to wymaga lat praktyki i katorżniczych niemal ćwiczeń. Akurat nasi rodzimi sommelierzy i sommelierki w ostatnich latach na konkursach radzili sobie doskonale i w krótkim czasie wysforowali Polskę do światowej czołówki, czego świadectwem jest m.in. drugie miejsce Piotra Pietrasa na mistrzostwach Europy w 2017 r. oraz pięć prestiżowych tytułów Master Sommelier dla naszych rodaków. Międzynarodowe Mistrzostwa Polski też okazują się kuźnią czołowych zawodników: mistrz z 2023 r., Węgier Sebastian Giraldo Makovej, zajął w tegorocznych finałach piąte miejsce, siódme przypadło Holendrowi Lukasowi Wiegmanowi, Mistrzowi Polski A.D. 2026, a kronikarze wyłuskali nawet, że nowy mistrz świata Nikolai Haram Svorte międzynarodowy debiut zaliczył w... Warszawie w 2021 r.

Następne mistrzostwa – Europy – odbędą się za rok również w Polsce. ■



Wojciech Bońkowski – dziennikarz i krytyk winiarski od 1999, od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine.

Weingut Leth Wagram DAC Grüner Veltliner Terrassen, 59 zł (malawinnica.pl)
Pietro Nera Valtellina Superiore Inferno Efesto, 68 zł (magiadelvino.pl)
Le Manzane Prosecco Superiore Springo Black, 89 zł (lebarbatelle.com)
Chartron & Trebuchet Chassagne 1er Cru Les Embazées 2022, 549 zł (fine-wine.pl)

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Specjalista od mrożonek, pan Książulo, odwiedził moją restaurację w Gdańsku i się nie zachwycił. Jestem dumny, że mu nie smakowało.

▼

Pola Wiśniewska usunęła tatuaże po Michale Wiśniewskim. Przypomina mi się rozmowa: „Fajny tatuaż na łydce. Co oznacza? To żylaki".

▼

Były naczelny „Faktu" Grzegorz Jankowski wypłynął na mętne wody publicystyki kobiecej i zaliczył katastrofę. Szkoda. Ktoś, kto ogłaszał: „Czajnik grozy chciał nas zabić", zna się na wszystkim.

▼

Robert Lewandowski został twarzą napoju z syntetycznym barwnikiem wpływającym na aktywność i skupienie uwagi u dzieci. Chyba to wypiłem, bo nie mogłem patrzeć na ostatnie mecze.

▼

Marianna Schreiber przeprowadziła historyczny wywiad z detektywem Rutkowskim na tle samochodu pancernego. O jakości rozmowy najlepiej świadczy fakt, że auto przetrwało.

▼

„Oglądam TV Republika, bo z tej telewizji jedynie mogę dowiedzieć się prawdy" – powiedział Tomasz Adamek w TV Republika. Czyli jednak kłamią.

▼

Pojawił się trzeci i ostatni spot z serii „Poland. More than you expected". Logicznie spójny. Nikt, kto jedzie z zagranicy do Krakowa, nie spodziewa się spotkać tam Maryli Rodowicz.

▼

Wojciech Cugowski opowiedział o konflikcie z bratem i ojcem: „Myśmy ze sobą zerwali wszyscy". Rozmowa z cyklu „Odchodzę!": „Super. Nie znajdziesz drugiej takiej jak ja! – Jeszcze lepiej".

▼

Filip Chajzer z małżonką otworzyli nowy biznes. Stronę, za której pośrednictwem można zamówić spersonalizowane życzenia. Na przykład: „Myślałam, że jesteś doktorem. Sto lat".

▼

W 2024 r. sąd okręgowy wydał wyrok, że dzieci Liroya powinny mieszkać z matką. W 2026 r. sąd rejonowy wydał wyrok, że dzieci Liroya powinny mieszkać z ojcem. To lubię w hip-hopie. Zaskoczenie w każdej zwrotce.

▼

„Sztabowcy koalicji rządzącej zapomnieli o wiarygodności, autentyczności i przyzwoitości". To Agnieszka Holland. Ja bym to ekranizował. Już w „Bez znieczulenia" udowodniła, że ma dobrą rękę do scenariuszy.

▼

Agnieszka Woźniak-Starak udzieliła wywiadu Pudelkowi. Obejrzało go 15 tys. osób. To ważna informacja dla obu stron.

▼

27-letnia Agata Lewandowska poinformowała, że wydała ponad 20 tys. na lifting brwi. Doskonały ruch. Teraz naprawdę zobaczy, że nikogo to nie obchodzi.

▼

Przemysław Wipler ma nieruchomości warte 14,5 mln zł, akcje za ponad 2,5 mln, a Tomasz Karolak wciąż jest mu winien 20 tys. Na tym właśnie polega fenomen Karolaka.

▼

Katarzyna Nosowska i Bambi pojawiły się w nowej kampanii reklamowej Visa. Trudno. Tęsknię za hip-hopem, który reprezentował biedę.

▼

Wystartował nowy portal CIAO! poświęcony gwiazdom, popkulturze, trendom, czyli wszystkiemu, na czym nie trzeba się znać, żeby zostać redaktorem.

▼

Maryla Rodowicz odsłoniła swoją gwiazdę w Alei Gwiazd RMF i Miasta Krakowa. Pod Wawelem. Pamiętam taki nekrolog: „Ksiądz Zdzisław Sochacki nie żyje. Zabił dzwon Zygmunt".

Robert Makłowicz nie wypowiedział się o mrożonej pizzy Książula. Napisali o tym wszyscy. Milczenie jest jednym z najtrudniejszych argumentów do obalenia.



© PEDRO DIAS/ASI, RAFAŁ MASŁOW, ADAM GOLEC/FORUM, TVN

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



O co chodzi w protestach młodych

Na francuskich ulicach wrze, ale iskra przeskoczyła już do innych krajów – pisze na polityka.pl Jędrzej Winiecki. Zagniewana, zmęczona młodzież protestuje we Włoszech, w Hiszpanii i Portugalii, gorąco jest lub było również w Indiach, Albanii i Nepalu. Żale młodych obywateli mają wspólne mianowniki. Ale problemów, które zgłaszają, nie da się rozwiązać na ulicach. Więcej o tym w naszym serwisie.



Sieć radykalizuje

O młodzieży rozmawiamy też w „Polskim demo", zastanawiając się, na co jest narażona w sieci, również w kontekście ataków nożowniczych w polskich szkołach. Naszym gościem jest Magdalena Bigaj z fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. „Godzimy się na stratę pewnego pokolenia" – ocenia pomysł ograniczenia dostępu do social mediów osobom do 15. roku życia. Diabeł tkwi w szczegółach i o nich mówimy w podkaście.



Koronawirus się maskuje

Covid nie jest już apokaliptycznym najeźdźcą z Wuhanu, przed którym chowaliśmy się w domach. Należy do jesiennego repertuaru infekcji, ale nie przestał być groźny. „W dodatku nieźle się maskuje – pisze na polityka.pl Paweł Walewski. – Lekarze opisują przypadki, które potrafią zaskoczyć nawet osoby przyzwyczajone do kolejnych fal niedawnej pandemii". Przyglądamy się tym nowym obliczom koronawirusa.



Dokąd polecimy zimą?

Mimo drogiej ropy i jeszcze droższego paliwa linie przygotowały bogaty rozkład lotów z naszego kraju. Wciąż nie brakuje też biletów w korzystnych cenach, choć spore podwyżki są nieuchronne. **Dokąd będzie można się wybrać zimą? Które kierunki będą oblegane? Cezary Kowanda na polityka.pl sprawdza nowe połączenia.** „Lotniczy kryzys widać na horyzoncie, ale na razie u nas jeszcze nie wylądował", pisze.



Szlachcic bez grosza

Czy szlachcic zawsze był panem, a chłop poddanym? Czy herb gwarantował dostatnie życie? I jak to możliwe, że ludzie tak dumni z pochodzenia mieli często chłopskich przodków? Wszystko to wyjaśnia **w naszym studiu prof. Mateusz Wyżga, autor m.in. książki „Polska sarmacka. Historia zwykłych ludzi". Można słuchać i oglądać.** I doczytać w poświęconym szlachcie Pomocniku Historycznym POLITYKI.

© SHUTTERSTOCK (3), LESZEK ŻYCH (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl 9f2fdbac8e

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ



Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl 9f2fdbac8e

Albatros travel

Albatros 40 lat



Rejs po Renie: Kolonia, Amsterdam i Bazylea

Wyjątkowy rejs po najciekawszym odcinku Renu, gdzie zobaczymy wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO oraz piękne krajobrazy z winnicami na wzgórzach.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Transport autokarem do Kolonii, zakwaterowanie na statku i wypłynięcie w rejs. **Dz. 2** Amsterdam (Zaandam), Holandia. Rejs kanałami z przewodnikiem (dodatkowo płatne). **Dz. 3** Nijmegen, Holandia. Spacer po hanzeatyckim Nijmegen. **Dz. 4** Kolonia, Niemcy. Możliwość zwiedzania Kolonii z wizytą w Katedrze Kolońskiej i degustacją piwa (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Koblencja, Niemcy. Zwiedzanie miasta oraz wjazd kolejką linową do twierdzy Ehrenbreitstein. Dolina Loreley. Wycieczka w Rüdesheim am Rhein (dodatkowo płatna). **Dz. 6** Mannheim, Niemcy. Piesza wycieczka po Mannheim lub dodatkowa wycieczka do Speyer (opcjonalnie). **Dz. 7** Kehl, Niemcy. Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO (opcjonalnie). **Dz. 8** Kembs/ Francja lub Bazylea/ Szwajcaria. Zwiedzanie Bazylei. Wyjazd na lotnisko, powrót do Warszawy.

8 dni | Wyloty z Warszawy 29/06, 18/09 2027 | od 9.298,-





Rejs po Rodanie i Saonie – z Burgundii do Prowansji

Relaksujący rejs przez najpiękniejsze regiony południowej Francji: Burgundię i Prowansję.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lyonu. Zaokrętowanie na statku. **Dz. 2** Viviers, Francja. Wycieczka krajoznawcza wokół wąwozu Gorges de l'Ardèche (dodatkowo płatna). **Dz. 3** Arles. Piesza wycieczka po Arles ze zwiedzaniem ruin rzymskich oraz wielkiej areny. **Dz. 4** Awinion. Zwiedzanie Awinionu oraz pałacu papieskiego, słynnego mostu Pont d'Avignon i średniowiecznych murów miejskich. **Dz. 5** Awinion i Châteauneuf-du-Pape. **Dz. 6** Tournon-sur-Rhône. Możliwość zwiedzania miasta pieszo. **Dz. 7** Trévoux i Lyon. Możliwość pieszej wycieczki po Lyonie. **Dz. 8** Lyon, Francja – Powrót do domu.

8 dni | Wyloty z Warszawy 16/05, 22/08 2027 | od 9.998,-

Rejs po Morzu Śródziemnym

Odkryj największe atrakcje Morza Śródziemnego – od wiecznego Rzymu, przez urokliwe wybrzeże Amalfi i Sycylii po Francuską Riwierę oraz Monako, a także zabytki Pizy i Lukki.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa–Rzym. Zakwaterowanie w hotelu. **Dz. 2** Bazylika św. Piotra i zwiedzanie Rzymu we własnym tempie. **Dz. 3** Wejście na pokład i wypłynięcie w rejs. **Dz. 4** Salerno na Wybrzeżu Amalfi i wycieczki fakultatywne. **Dz. 5** Katania na Sycylii. Możliwość spaceru po Katanii. **Dz. 6** Dzień na morzu. **Dz. 7** Livorno. Możliwość wycieczki do Pizy i Lukki. **Dz. 8** Villefranche-sur-Mer. Możliwość wycieczki do Monako. **Dz. 9** Marsylia. **Dz. 10** Barcelona i powrót do Warszawy.

10 dni | Wyloty z Warszawy 04/06, 30/07 2027

od 10.998,-

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL41**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., pełne wyżywienie na statku i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 9f2fdbac8e